

WNUCZKA WARIATKI

Danuta
NOSZCZYŃSKA



Pola

Zabawnie opowiedziana historia
trzech pokoleń kobiet,
która mogła potoczyć się inaczej.

Prószyński i S-ka

W N U C Z K A W A R I A T K I

Danuta
NOSZCZYŃSKA

Pola

Prószyński i S-ka

Copyright © Danuta Noszczyńska, 2022

Projekt okładki
Magdalena Zawadzka

Zdjęcia na okładce
Ruben Ramos/[Istockphoto.com/](https://www.istockphoto.com/)
anandaBGD/[Istockphoto.com/](https://www.istockphoto.com/)
Lightstar59/[Istockphoto.com/](https://www.istockphoto.com/)
enterphoto/[Shutterstock.com/](https://www.shutterstock.com/)
Rockweeper/[Shutterstock.com/](https://www.shutterstock.com/)

Redaktor prowadzący
Michał Nalewski

Redakcja
Jan Fręś

Korekta
Katarzyna Kusojeć
Bożena Hulewicz

ISBN 978-83-8295-632-0

Warszawa 2022

Wydawca
Prószyński Media Sp. z o.o.
02-697 Warszawa, ul. Rzymowskiego 28

www.proszynski.pl

Spis treści

Strona tytułowa

Karta redakcyjna

ROZDZIAŁ I. Jesteś jak moja matka...

ROZDZIAŁ II. Uśmiechnięty

ROZDZIAŁ III. Babunia

ROZDZIAŁ IV. Dary natury, w tym bimber i małosolne

ROZDZIAŁ V. Odsiecz

ROZDZIAŁ VI. Medycyna niekonwencjonalna: hit czy kit?

ROZDZIAŁ VII. Z pokojową wizytą

ROZDZIAŁ VIII. Tajemnice Dziuni

ROZDZIAŁ IX. Na wsi wszystko widać wyraźniej

ROZDZIAŁ X. Między panem, wójtem a plebanem

ROZDZIAŁ XI. Korpus dyplomatyczny

ROZDZIAŁ XII. Aisza

ROZDZIAŁ XIII. Jesteś u siebie, Pola

ROZDZIAŁ XIV. Komu w drogę, temu... parafraza

ROZDZIAŁ XV. Dziunia nie jest taka, jak każdy widzi?

ROZDZIAŁ XVI. List

ROZDZIAŁ XVII. Sezon na love story

ROZDZIAŁ XVIII. Świat bywa czasem bardzo, bardzo małeńki

ROZDZIAŁ XIX. Kobieta z portretu

ROZDZIAŁ I

Jesteś jak moja matka...

Niedaleko pada jabłko od jabłoni...

Matka Poli w nerwach często posiłkowała się tym powiedzeniem, Pola zaś z przykrą dla matki logiką za każdym razem poddawała je upierdliwej analizie.

– Czyli? – pytała z udawanym zdziwieniem.

– Czyli świetnie wiesz. Że jesteś taka sama jak moja matka.

– To raczej daleko padło. Blżej miało do ciebie czy ojca...

Wspomnienie o ojcu jeszcze bardziej wytrącało matkę Poli z równowagi.

– W tym domu słowo „ojciec” nie ma racji bytu! Więc proszę, jak już wiele razy prosiłam, omijaj je szerokim łukiem, a jeszcze lepiej raz na zawsze wyrzuć ze swojego słownika!

– Owszem, wiele razy prosiłaś, ale dotąd nie dowiedziałam się, dlaczego miałabym to zrobić. Czasem przychodzi mi na myśl, że kobiety w naszej rodzinie są dzieworódkami, wiesz?

– Pola!

– No sama spójrz, skoro ja nie miałam ojca, ty nie miałaś ojca, babcia pewnie też, bo jak tradycja, to tradycja, co mam o tym sądzić?

Matka pokręciła się po kuchni i w końcu wyszła bez słowa, okazując emocje dźwiękiem zatrzaśniętych z hukiem drzwi.

Pola była w swoim mniemaniu solą w oku własnej matki. Dzisiejsza wymiana zdań miała miejsce po tym, jak ją poinformowała, że zamierza przesunąć obronę pracy magisterskiej o rok. A miała już na koncie dwie

dziekanki oraz roczny poślizg w obronie licencjatu. Dziewczynie nie śpieszyło się do – jej zdaniem – nikomu niepotrzebnego tytułu i zmierzała ku niemu opornie, wręcz ze wstrętem.

– Jak niepotrzebnego? Mnie potrzebnego! – wykrzyczała matka, gdy poznała po raz pierwszy jej pogląd na sprawę.

– To sobie sama zrób. Podobno na naukę nigdy nie jest za późno. Będzie ci o wiele przyjemniej, mówiąc JA magister, niż gdy będziesz gdzie popadnie tytułowała tak mnie.

– Owszem, mogę pójść na studia, ale jak świetnie wiesz, zawsze kierowałam się TWOIM dobrem, siebie stawiając na drugim miejscu.

– A jakie jest to **moje** dobro?

– Dobra praca, dobre, spokojne życie.

– O mój Boże...

– Co?

– Ale mnie do tego wykształcenie jest całkowicie zbędne! Dobrą pracę już mam, a spokojne życie będę miała wtedy, kiedy mi je przestanieś układać po swojemu.

– Taaa... Stanie za ladą...

– I w tym się właśnie realizuję. Na siebie zarabiam, dokładam się do opłat i zarcia, a po to chyba człowiek pracuje. Żeby miał z czego żyć.

– ...na poziomie – dodała z przekąsem matka.

– Poziom każdy sam sobie wyznacza. Mnie mój satysfakcjonuje.

– I właśnie dlatego, jak to nazywasz, „układam ci życie”, a tak naprawdę dbam o to, żebyś była kimś poważanym. I poważnym. A nie być... przez całe życie... jak...

– Twoja matka – tym razem Pola pośpieszyła z konkluzją, nie dając kobiecie dokończyć zdania.

* * *

Dziewczyna niespecjalnie przejmowała się wywodami matki, nieskutecznie wywieraną presją ani emocjonalnym szantażem. Po prostu przywykła do tego typu technik, a ponieważ nigdy dotąd nic z nich nie

wynikało, zasiadła do śniadania, jak zwykle przeglądając w jego trakcie internet w komórce. I już byłaby zapomniała o całej wymianie zdań, gdyby matka nagle nie wyrosła nad nią, z miną, jakiej dziewczyna nigdy dotąd nie widziała. To było dość niepokojące.

– À propos twoich wakacji – zaczęła, a z jej stalowoniebieskich oczu posypały się iskry.

– Taaak?

– Nie będzie żadnej Hiszpanii. Spędzisz je w zupełnie innym miejscu.

– Jak to? – Pola niemal udławiła się ostatnim kęsem kanapki.

– Tak to. Hiszpania miała być nagrodą za obronę dyplomu, pamiętasz?

– Owszem, ale...

No właśnie. Podobne „ale” miało miejsce kilka lat temu, kiedy kobieta zagroziła córce, że za opieszałość w obronie licencjatu nie wyjedzie do Grecji. To też miała być nagroda, ale mimo niewywiązania się z zadania Pola do Grecji pojechała.

– Żartujesz, prawda?

– Owszem, o ile ty żartujesz, że nie podejdziesz w czerwcu do obrony.

– Nie.

– Co nie?

– Nie podejść.

– Wobec tego JA nie żartuję. Mało tego, ty zaakceptujesz fakt, że cały sierpień spędzisz u swojej babki. To będzie najlepsza lekcja na przyszłość, kiedy zobaczysz z bliska, o czym mówię i przed czym cię od zawsze ostrzegam.

– Nie chcę!

– Tupnij jeszcze nóżką dla lepszego efektu. – Matka spojrzała na Polę z zimną ironią i zamilkła.

* * *

– Coś taka wściekła? – spytała Aurelia, kiedy Pola kolejną klientkę potraktowała jak zło ostateczne.

– Tak uważasz?

– Nie uważam, tylko widzę. Powiedziałaś przed chwilą dziewczynie, że nie mamy jej rozmiaru džinsów z wystawy, a przecież mamy. I świetnie o tym wiesz, to nie była pomyłka z twojej strony.

– A po cholere jej takie džinsy? – wybuchnęła Pola. – Wyglądałaby w nich jak baleron, na takie brzuszysko tylko wysoki stan, a nie biodrówki!

– Owszem. Ale co ciebie to obchodzi właściwie? Jesteś ekspedientką czy wizażystką? Szefowa by się wściekła, jakby to zobaczyła i usłyszała.

– Ale n i e zobaczyła i n i e usłyszała. I daj mi spokój. – W oczach Poli zaszklily się łzy.

– Co jest? – Aurelia położyła dłoń na jej ramieniu i próbowała Polę przytulić, ponieważ była nie tylko koleżanką z pracy, ale i jej osobistą wieloletnią przyjaciółką.

– Wiesz co? Ja już czasem nie daję rady... Z tą moją matką. Nie ma jak tobie, ty masz w rodzicach zrozumienie i wsparcie, jakies takie... ciepłe i serdeczne relacje, a ja mam od zawsze wrażenie, że moja matka żałuje, że w ogóle jestem. I się na mnie za to odgrywa.

– Możesz jaśniej?

– Nie polecę do Hiszpanii. I wygląda na to, że całkiem na serio.

– Dyplom?

– No.

– To przykre. Ale z drugiej strony, daruj, czasem trochę ci się dziwię. Lada moment stuknie ci trzydziestka. Ja bym na twoim miejscu odwalila te studia w terminie i miała już od kilku lat święty spokój. Przecież to nie jest, do cholery, dla ciebie takie trudne.

– Święty spokój? Ja bym nie miała. I owszem, to jest trudne, bo... bo... ja nimi rzygam po prostu! Po cholere mi ta rewitalizacja terenów zdegenerowanych? Nie cierpię tego! Duszę się na tych studiach.

– Sama sobie taki kierunek wybrałaś.

– Bo było się najłatwiej dostać?

– Wiesz... A może znalazłoby się coś takiego, co studiowałabyś z przyjemnością? Nie znalazło się?

– Owszem. Kryminologia. Ale matka, jak tylko o tym usłyszała, tak się rozdarła, że natychmiast zmieniłam zdanie. Dziś bym nie zmieniła, ale stało się.

– I co? Zamierzasz ot tak odpuścić lata edukacji czy przemóc się i skończyć?

– Skończę. Matka ma to jak w banku. Ruskim, bo sama nie wiem kiedy, co i jak. A tymczasem cały najlepszy miesiąc lata spędzę na jakimś totalnym zadupiu z osobą, którą jestem straszona od dnia narodzin. Nawet nie mam pojęcia, jak wygląda.

– Jestem mocno zaniepokojona...

– Spoko, to moja rodzona babka, więc pewnie ujdę z życiem.

– Aureliaaaa!!!

W Polę nagle wstąpił nowy duch.

– O mój Boże... Co?

– Pojedź tam ze mną. Proszę. Błagam.

– Nawet gdybym chciała, Dziunia nie da nam urlopu w tym samym terminie.

– Da. To znaczy ja mam już klepnięte, a ty kilka dni po mnie pójdziesz na chorobowe.

– Kiepsko to widzę. A co ze sklepem?

– No wiesz... parafrazując twój tekst, powiedziałabym: jesteś ekspedientką czy niewolnicą? Poza tym Dziunia może sama stanąć za ladą. Sztuczny włos z doczepki jej z tego tytułu nie spadnie.

– Ani sztuczna rzęsa...

– Ani sztuczny cycek...

– Ani... Co ona jeszcze ma sztuczne?

– Usta. Z tego, co widać gołym okiem.

Dziewczyny nagle popadły w jakąś głupawkę, skutkującą tym, że gdy pojawiały się w sklepie kolejne osoby, żadna z nich nie miała już śladu po starannym „służbowym” makijażu.

I taki właśnie niczym nieuzasadniony brak powagi miała za złe swojej córce pani Alina Sowiłow, kobieta chcąca za wszelką cenę uwolnić się

od demonów przeszłości: miejsca, w którym się urodziła i spędziła tak zwane „najlepsze lata” swojego życia, ludzi z tamtejszej społeczności oraz, a może przede wszystkim, od swojej własnej matki.

Niepokój o córkę zaczął w niej stopniowo i regularnie rosnąć, gdy dziewczynka w wieku pięciu lat zaczęła przejawiać fizyczne podobieństwo do swojej babki. Pani Alina wyczuliła się wówczas na innego rodzaju podobieństwa: charakteru, temperamentu, mentalności, i z coraz większym przerażeniem konkludowała, że i te zaczęły się u córki z czasem pojawiać. Najbardziej nienawidziła u swojej rodzicielki tego niepojętego luzu, w każdej, nawet najbardziej poważnej sytuacji, niezależnego stylu bycia, mocno rażącego w jej mniemaniu opinię publiczną, oraz niczym nieograniczonej swobody poczynać.

Kiedy pani Alina stała się nastolatką, zaczęła się zwyczajnie wstydzić swojej matki i stopniowo się od niej odwracać. Nieszczęsna Carmen Sowiłow (bo tak, jakby wszystkiego innego było mało, miała na imię matka pani Aliny) do pewnego momentu starała się robić, co mogła, by wytrącić irytujący „kij w dupię” swojej córki, upatrując w tym z kolei podobieństwa do jej ojca. Taka karma. Obie kobiety po prostu walczyły z niczym innym, jak z genami i były rzecz jasna na z góry straconej pozycji.

Mała Alinka wyrastała na dziewczynkę bardzo ułożoną, ambitną, pragnącą społecznej akceptacji i uznania w oczach innych, Carmen zaś miała opinię ludzką głęboko w nosie. Alinka bardzo dobrze się uczyła, udzielała społecznie, była miła dla wszystkich i grzecznie kłaniała się nawet tym, z którymi Carmen miała na pieńku. Matka nie była jej w stanie przekonać, by zamiast mówić dzień dobry temu czy owemu, spluwać mu po prostu pod nogi.

Nie było we wsi człowieka, z którym Carmen żyłaby w przyjaźni; ludzie albo jej nie cierpieli, albo zwyczajnie się jej bali. Trzeba jednak przyznać, że gdy ktoś stanął wobec jakiegokolwiek poważniejszego problemu, po pomoc walił zawsze do Carmen i tylko do niej, była bowiem niezwykle skuteczna w działaniu, nawet w tych z kategorii niemożliwych. Kim była? Dziś po prostu emerytowaną milicjantką, oddającą się z pasją swemu

zawodowi w czasach PRL-u, wielokrotnie odznaczaną za swoje (wy)czyny na polu walki z przestępczością, a jednocześnie wielokrotnie stającą przed perspektywą wylania z tej pracy na zbitą twarz. Nigdy jednak do tego nie doszło, ponieważ sam komendant główny z komendy stołecznej darzył Carmen ogromnym sentymentem i zawsze amortyzował tego typu zagrożenia. Pani Alina podejrzewała nawet, że jest owocem owego sentymentu, ale nigdy specjalnie tego nie dociekała.

ROZDZIAŁ II

Uśmiechnięty

Ico? Podjęłaś już decyzję? – spytała pani Alina, dając wcześniej córce jakieś dwa dni do namysłu.

– Owszem. – Pola spojrzała matce głęboko w oczy, chcąc jak najlepiej przyjrzeć się jej reakcji na to, co powie. Zobaczyć, jak ta ironiczna pewność siebie przerodzi się najpierw w zdumienie, potem rozczarowanie, a na koniec we wściekłość.

– Nie może ci przejść przez gardło?

– Jadę.

– Pytałam o dyplom.

– No właśnie ci odpowiedziałam. **Dyplomatycznie.** – Pola się zaśmiała.

– To znaczy?

– Jadę do babki, możesz uznać to za odpowiedź na twoje pytanie.

– Nie...

– Jak nie? Przecież to był twój pomysł!

– Nie wierzę... Żebyś... żebyś była taka bezmyślnie uparta, ale dobrze, rób, co chcesz. Zapewniam, że czas spędzony na tej zabitej dechami wsi, w towarzystwie klinicznej wariatki będzie dla ciebie najlepszą szkołą. Nabierzesz pokory, zrozumiesz moją postawę, docenisz trud i poświęcenie.

– Mówisz o własnej matce!

– Niestety. O własnej. I nie oceniaj mnie, zanim sama się nie przekonasz, o czym mówię.

Pola uzyskała pewną satysfakcję, bo matka zapewne nie spodziewała się takiego obrotu sprawy, a to dziewczynie sprawiło nieklamana przyjemność. Co zaś się tyczy spędzenia wakacji na „zabitej dechami wsi” i poznania rodzicielki swojej rodzicielki, perspektywa ta zaczynała być coraz bardziej intrygująca. W końcu nie była ubezwłasnowolniona i gdyby rzeczywiście pobyt tam miał być dla niej przykry, mogła w każdej chwili wrócić. W zasadzie wcale nie musiała tam jechać, wystarczającym wyrazem niezadowolenia matki było wycofanie się z obietnicy sfinansowania wyjazdu do Hiszpanii i tylko tyle naprawdę mogła, ale skoro już palnęła o tych wakacjach u babki, niech ma. I niech jej się nie wydaje, że to będzie jakaś kara, bo Pola za nic w świecie by się nie przyznała, że matce udało się postawić na swoim.

– Ile babcia ma lat? – Pola uświadomiła sobie, że nie wie o niej nawet tego.

– Dobiega osiemdziesiątki.

– A precyzyjniej?

– Powinna mieć... teraz... siedemdziesiąt osiem. Albo dziewięć – odparła pani Alina po namyśle. – A co?

– To już, kurczę, staruszka! Wiesz, ja nie umiem sobie wyobrazić takiej sytuacji, w której zerwałabym z tobą kontakt na zawsze, nie wiem, co musiałabyś zrobić... Chyba że... nie, no naprawdę nie wiem. Ciebie serio kompletnie nie interesuje, co się z twoją mamą dzieje? Czy jest zdrowa, czy ma za co żyć, bo przypuszczam, że żyje z jakiejś marnej emerytury. A może cię potrzebuje, jesteś jedynaczką, więc ma tylko ciebie...

Pani Alina uśmiechnęła się ironicznie.

– Daje sobie świetnie radę, zapewniam cię. I jest zdrowa jak koń.

– Skąd wiesz? – Dziewczynie przebiegło przez myśl, że może jednak matka ma z nią jakiś sporadyczny kontakt.

– Bo ją znam. A jeśli tobie się wydaje, że wyjeżdżasz do miłej, ciepłej, leciwej kobieciny, to lepiej od razu skoryguj swoje wyobrażenie.

– Sama mi skoryguj. Opowiedz, jaka jest, co się tak naprawdę stało, że zostawiłaś ją samą i do dziś masz jakiś irracjonalny uraz. Nie widziałaś jej

mniej więcej tyle, ile ja mam lat, podobno czas leczy rany, jeszcze ci nie przeszło?

– Pola... – Pani Alina spojrzała na córkę jak na kogoś, kto nie ma pojęcia, o czym mówi. – Nie chodzi o czas i o rany. Rzecz w tym, że z nią się po prostu nie da żyć, ta kobieta to generator notorycznych problemów, ale nie takich zwyczajnych, jak to w rodzinie bywa.

– Tylko jakich?

– Sama zobaczysz, bo jestem przekonana, że z wiekiem jej nie przeszło.

– Powiedz mi chociaż, jak wygląda, żebym sobie umiała ją jakoś wyobrazić.

– Jak... wygląda? Nie wiem, jak wygląda teraz, pewnie dokładnie tak samo jak zawsze.

– Czyli?

– Jak wariatka.

* * *

– Coś ty taka głodna ostatnio? – spytała Aurelia, kiedy Pola zaraz po przyjściu do pracy zabrała się do robienia sobie kanapek.

– Nie bardziej niż zwykle, unikam po prostu ostatnio przebywania w kuchni.

– Unikasz matki, powiedz lepiej szczerze.

– Na jedno wychodzi. To są pojęcia tożsame. Moja matka zawsze jest w kuchni, tak ma. O ile nie jest w pracy.

– Tak lubi pichcić?

– A skąd. Lubi siedzieć w kuchni.

– Przez cały czas? Czemu?

– Gdybym mogła zapytać ją o cokolwiek i uzyskać normalną odpowiedź, tobym może wiedziała. Ale nie wiem i nie pytam.

– Idzie Uśmiechnięty – oznajmiła Aurelia, która stojąc w drzwiach od zaplecza, monitorowała sytuację w sklepie. – Wytrzymaj sobie oblicze z majonezu.

Pola natychmiast wykonała sugestię koleżanki.

– Ja go obsłużę – zarządziła i błyskawicznie znalazła się za ladą.

– No spoko, nie odbiorę ci jedyne go faceta, który tu zagląda.

– Sugerujesz, że coś z nim nie tak?

– A skąd, stwierdzam tylko fakt.

– Gdyby choć raz zapłacił kartą, wiedziałabym chociaż, jak się nazywa...

– To mu powiedz, że ci się szuflada na gotówkę zacięła i musi kartą.

– Taaa... Jasne...

– A swoją drogą to też jest trochę dziw... – Aurelia nie dokończyła, gdyż temat powyższej rozmowy wkroczył w tym momencie do butik.

Mężczyzna, o którym mowa, był na pierwszy rzut oka dość przeciętny wizerunkowo, a szczególnie z twarzy, ale gdy się uśmiechnął, wymiękała na ten widok nie tylko Pola, która była singielką, ale i jej zakochana w swoim chłopaku koleżanka. Stąd ksywka „Uśmiechnięty”, bo żadna inna jego cecha nie była na tyle wyrazista, żeby ją do niego przykleić.

– Witam panie – powiedział jeszcze nieuśmiechnięty Uśmiechnięty.

Bo rzecz na tym polegała, że brał tym swoim uśmiechem z zaskoczenia. Dopóki jego twarz nosiła znamiona zamyślanej powagi, człowiek (czytaj: kobieta) zdaniem Poli mógł prowadzić z nim merytoryczną rozmowę, skupiając się wyłącznie na temacie. Ale kiedy znienacka pojawił się ten eteryczno-erotyczny blask – przepadło. Dopiero wówczas widać było w pełnej krasie, jak zmysłowe ma usta, jakie ma piękne, równe i bieluteńkie zęby, jakie skry sypią jego nieco zwężone w uśmiechu oczy.

Kiedy Pola po raz pierwszy zaznała tego zjawiska, zamarła. Przestała mówić i reagować. Będąca świadkiem zajścia Aurelia postanowiła uratować z opresji koleżankę, ale kiedy podeszła bliżej, facet, wyraźnie ubawiony nagłą martwicą Poli, uśmiechnął się jeszcze szerzej i ta również przepadła...

– Emmm... Czym mogę dzisiaj panu służyć? – Pola zaczęła od chrząknięcia, obawiała się bowiem, że głos uwiązał jej w gardle.

– Rozejrzę się, dobrze? – zapytał mężczyzna, ekspedientka zaś szybko spuściła wzrok w obawie, że się uśmiechnie, a ona jeszcze nie była gotowa wziąć tego na klatę.

Uśmiechnięty się więc rozglądał, dziewczyna zaś wodziła za nim wzrokiem dopóty, dopóki stał do niej tyłem.

– Od tej strony wcale nie jest taki fascynujący – szepnęła jej na ucho Aurelia, która także wkroczyła za ladę, niby tylko po długopis.

– To mu, kuźwa, powiedz, żeby już tak został – warknęła niemal mimicznym szeptem Pola za znikającą na zapleczu przyjaciółką.

– Ta sukienka... – zapytała facet i się odwrócił – jaki to rozmiar?

– Eska.

– Wydawałaby się większa...

– A pan chciałby większą?

– Nie, taką właśnie. Chyba ją wobec tego wezmę i może jeszcze...

– Coś z biżuterii? – podrzuciła Pola.

– Nie – **uśmiechnął** się mężczyzna – biżuterię kupię u jubilera.

– Pierścioneek? Zaręczynowy jakiś? – nie wytrzymała Aurelia podsłuchująca do tej pory na zapleczu.

– Myślałem raczej o naszyjniku, dyskretnym, ale wytwornym.

– Dziewczyna, dla której robi pan zakupy, jest szczęściarą – pojechała po bandzie.

Facet spowaźniał.

– Niestety nie... dlatego staram się od czasu do czasu zrobić jej tego typu przyjemność.

– I co? Działa? Cieszy się, znaczy?

– Raczej świetnie odgrywa radość. Ktoś inny by się z pewnością nabrał.

– Wobec tego może apaszka? Mamy prawdziwy jedwab, nietani, ale naprawdę z klasą. – Pola weszła między nich, bo jej zdaniem koleżanka zaczęła posuwać się za daleko.

– Doskonały pomysł. Proszę mi coś dobrać.

Mężczyzna zapłacił, ale kiedy Pola zabrała się do pakowania jego zakupów, koleżanka podbiegła do niej i wyrwała jej z dłoni ozdobną

papierową torbę.

– W to zapakuj. – Wcisnęła jej w rękę inną.

– Przecież jest taka sama...

– Nie jest.

– Jak nie... – Zdezorientowana Pola zaczęła oglądać torbę ze wszystkich stron, a kiedy ją rozchyliła, dostrzegła siedzącego w niej... wielkiego, włochatego pajaka.

– Jezus Maria!!! – wrzasnęła, rzuciła torbę i odskoczyła najdalej, jak się dało, czyli wprost w ramiona Uśmiechniętego.

– Dobrze i to – mruknęła pod nosem Aurelia i ruszyła w pogoń za nieoczekiwanie uwolnionym stworzeniem.

– Co się pani stało? – spytał mężczyzna, ale rozdygotana Pola nie była w stanie wykrztusić z siebie słowa.

– Urznęła się w palec – odpowiedziała za nią Aurelia. – To znaczy ukłuła. Agrafką. Zardzewiałą. Właśnie jej szukam, żeby już nikt inny się nie ukłuł.

Teraz już mogła zacząć całkiem jawnie pełzać po podłodze, nie budząc większych podejrzeń.

– O cholera... Zwiał... ła gdzieś...

– Agrafka? – zdziwił się Uśmiechnięty.

– To znaczy... Wpadła za regał.

Słyszac to, Pola wrzasnęła jeszcze raz, a właściwie zawyła.

– Tak bardzo cię boli? – spytała z przerysowaną troską w głosie Aurelia.

– Trzeba by zdezynfekować, a może nawet zawiązać w bandaż.

– Proszę pokazać. – Uśmiechnięty oderwał dłonie Poli od swojej szyi, próbując je obejrzeć.

Tyle tylko, że Pola nie miała niczego do pokazania, zacisnęła więc dłonie w pięści i odruchowo schowała je za siebie.

– Spokojnie, chciałem tylko zobaczyć...

– Ma niezrobione paznokcie – wyjaśniła mu ten nieoczekiwany gest koleżanki Aurelia. – I się wstydzi. Słusznie zresztą, bo paznokcie to wizytówka każdej szanującej się kobiety.

Tego było już dla Poli za dużo. Wyszła bez słowa na zaplecze i wróciła po wyjściu klienta.

– Brak mi słów... wiesz? – Pewnie by to wykrzyczała, ale wściekłość nie pozwoliła jej na operowanie pełnym głosem.

– Działalam dla twojego dobra – odparła Aurelia bez mrugnięcia powieką.

– Czyli chciałaś mnie zabić? Tak widzisz moje dobro? Wiesz, jak panicznie boję się pajaków!

– Nie ciebie, durna. Tę jego... flamę. Miałabyś go wtedy jak na tacy. A pająk był przeznaczony dla Dziuni, więc docenij moje poświęcenie. Drugi taki okaz mi się już nie trafi.

– Hodowałaś go tutaj?!

– Oj tam, zaraz hodowałaś. Utrzymywałam przy życiu.

– Aurelia... Daruj, ale czasem mnie zastanawia, jak dwudziestoosmioletnia kobieta może odpierniczać takie akcje. Bo ta nie była pierwsza.

– A ja się zastanawiam, jak inna dwudziestoosmioletnia kobieta może żyć pod takim wpływem swojej matki. Ja bym na twoim miejscu raz a porządnie skończyła te studia i byłaby to ostatnia rzecz, jaką bym zrobiła wbrew swojej woli, albo bym jej wprost powiedziała, że chrzanię tego całego magistra i niech mi da święty spokój.

– Nie ma takiej opcji. To znaczy świętego spokoju bez magistra.

– To się wyprowadź.

– Dokąd? I za co?

– Może do ojca?

– Przestań! Dobrze wiesz, że jestem dzieckiem z próbówki.

– Nie jesteś.

– Ale taką mam koncepcję. Matka zafundowała mnie sobie, żeby mieć się nad kim pastwić.

– Gadaj sobie, co chcesz, a ja bym się na twoim miejscu zainteresowała, kto mnie zmajstrował. Może gość śpi na kasie i pojęcia nie

ma o twoim istnieniu? Albo ma, ale woli to ukrywać, bo jest na przykład bardzo ważną osobą publiczną i zrujnowałabyś mu wizerunek?

– Bym, bym, bym... Brzmisz jak dzwon kościelny.

– Mówię serio. Nigdy o tym nie myślałaś?

– A nawet jeśli, to co? Ojca sobie nie wymyślę. Od matki niczego się nie dowiem. Wiesz... – Pola ściszyła głos i sposępniała. – Przeszukałam kiedyś cały dom, jak byłam taką młodą, zbuntowaną nastolatką. I nic. Żadnych zdjęć, dokumentów, pamiątek, czegokolwiek...

– Znalazłaś za to próbkę...

– Chrzań się! – W oczach Poli zaszklily się łzy. – Bo nie wiesz, o czym mówisz.

* * *

Pola wróciła do domu smutna, zła i rozgoryczona. Dokładnie tak. Aurelia, zamiast ją wspierać w newralgicznych chwilach jak normalna, porządna przyjaciółka, tylko ją zdołowała. Dziewczyna wystarczająco dużo doznawała krytyki z ust własnej matki, żeby mieć jeszcze siłę odpierać bzdurne uwagi przez całą dniówkę w pracy. Ponadto czuła się totalnie skompromitowana w oczach faceta, który jako jedyny samiec gatunku ludzkiego na tej planecie był w stanie spowodować u niej szybsze bicie serca.

– Co się stało? – takim pytaniem powitała ją matka, która od razu dostrzegła jej nastrój.

– Nic. Nic więcej niż zwykle.

– O? A co takiego ci się zdarza „zwykle”? Jakoś nigdy o tym nie wspominałaś?

– Bo nie ma o czym. Skoro coś dzieje się „zwykle”, to znaczy, że jest to stan normy, czyli nic nadzwyczajnego.

– No dobrze, ale może ubierz to jakoś w słowa, opisz mi ten stan, bo wygląda na to, że niewiele wiem o codzienności własnej córki.

– Przeciwnie, wiesz doskonale, bo to ty stanowisz całą moją codzienność. Plus Aurelia i klientki w pracy, ale to już raczej margines

mojego życia.

– Aurelia... Tyle razy ci mówiłam, że to nie jest koleżanka dla ciebie. Zawsze miała na ciebie zły wpływ. Ona jest zwyczajnie stuknięta.

– A ja uważam, że przeciwnie. Owszem, bywa irytująca, ale w sposób, jak by to powiedzieć... nietuzinkowy. Wkurza, ale i imponuje. Czasem chciałabym być taka jak ona.

– Czyli?

– Wolna. Od presji otoczenia, potrzeby udawania kogoś, kim nie jest, kreatywna i odważna. Ja mam same przeciwieństwa tych cech.

– Dokładnie – nieoczekiwanie zgodziła się matka.

– Ciekawe, jak TY to widzisz?

– Tobie wolność odbiera głupi upór, odwagę kompletny brak ambicji, a kreatywność stanie za ladą. Sama sobie zamykasz drogę do bycia kimś, kto zasługuje na szacunek i podziw, przede wszystkim w twoich własnych oczach.

– Dzięki, mamu. Nikt tak jak ty nie umie podnieść mnie na duchu...

– Podnoszenie na duchu to nic innego jak utwierdzanie kogoś w jego błędach. Nie taka jest rola matki.

– Ano tak, oczywiście, zwłaszcza mojej. Ale wiesz co? Coraz bardziej się cieszę na ten wyjazd do babci. Może tam się czegoś o sobie dowiem.

Pani Alina zaśmiała się ironicznie.

– Tak sądzisz? Ona do ósmego miesiąca nie zauważyła, że jestem w ciąży. A przez pierwszy miesiąc twojego życia nie była w stanie zapamiętać, czy jesteś chłopcem, czy dziewczynką.

– Ale może zauważyła, z kim kręcisz.

– Pola!

– No co? Uważasz, że dociekanie, skąd wzięłam się na tym świecie, jest jakieś karygodne?

– Karygodny jest twój brak szacunku dla ustalonych przeze mnie granic. Świetnie wiesz, że nie życzę sobie rozmów na ten temat.

– Ty nie, ale może ktoś inny będzie sobie życzył...

Pola jeszcze nigdy nie widziała matki aż tak wściekłej. Pani Alina pobladła, rozdygotanymi dłońmi przetarła twarz, rozmazując swój idealny na co dzień makijaż.

– Wygrałaś – szepnęła ledwie dosłyszalnie. – Jeśli masz zamiar robić jakiś syf, leć do tej swojej Hiszpanii.

– Powiedziałaś „syf” – uświadomiła ją Pola.

– No i widzisz? Widzisz, do czego jesteś mnie w stanie doprowadzić?

– Teraz już niestety za późno. I raczej niewykonalne.

– Co?

– Aborcja. A za Hiszpanię dziękuję, jadę do babci, wystarczająco mnie zmotywowałaś.

Pani Alina zrobiła krok w stronę córki i dosłownie w ostatniej sekundzie cofnęła dłoń, którą zamierzała uderzyć ją w twarz. Zamiast tego złapała wiszącą na oparciu krzesła torebkę i nie zważając na oplakany stan swojej twarzy i włosów – wyszła.

ROZDZIAŁ III

Babunia

Pociąg włókł się niemiłosiernie. Do celu podróży Pola miała jeszcze jakieś pięć godzin, co z jednej strony wprawiało ją w stan irytującego zniecierpliwienia, z drugiej zaś dawało jeszcze trochę czasu na oswojenie się z zaistniałą sytuacją. Jechała do babci. Tak, już nie było odwrotu. Teraz, gdy zabrakło motywacji robienia matce na złość i żywienia się jej reakcjami, dziewczyna nie była już taka pewna siebie. Ale była ciekawa osoby, o której słyszała tak wiele negatywnych wypowiedzi, i tego, co ją tam czeka.

– Cuś pani jakby niezadowolona, że jedzie? – spytała ni stąd, ni zowąd pasażerka z naprzeciwka, która do tej pory, czyli przez jakieś czterdzieści minut, nie wyglądała na zainteresowaną rozmową.

– Że... jadę? Nie, zadowolona jestem. Siedzę wygodnie, tłoku nie ma, jest całkiem okej.

– Nie o to ja się pytam. Bo normalnie jak się jedzie na wakacje, to raczej człowiek na ucieszonego wygląda, a pani jak... za karę.

– Trafiała pani w punkt. – Pola uśmiechnęła się oszczędnie. – A skąd pani wie, że jadę na wakacje?

– Po tobołach. Jakby pani jechała na przykład na pogrzeb, tyle by tego nie było.

– Jest pani bardzo spostrzegawcza – rzuciła dziewczyna, licząc, że tym zakończy rozmowę. Nie miała nastroju na pogaduchy z obcą osobą.

– To prawda. Mnie nigdy nic nie umknie, zawsze wyczuwam pismo nosem. A co pani takiego nawywiijała? Jeśli można?

– Echch... Uczyć mi się nie chciało. – Pola westchnęła, bo szło w kierunku wręcz przeciwnym.

– No tak, tak. – Kobieta pokiwała głową ze zrozumieniem. – Znam ten ból, syna mam, jemu też się nie chciało. Tyle że nie wyszedł na tym najgorzej, w politykę poszedł i jest teraz radnym w gminie. A w końcu też i magistrzem został. Elegancki zrobił się, poważany, obrotny życiowo. A pani co porabia?

– Jestem ekspedientką w butiku odzieżowym.

– Aaaa... też niezgorzej, robota letka, elegancji wymagająca i obycia. A rodzice co by chcieli?

– Matka. Bo tylko matkę mam. Marzy jej się, żebym została magistrzem.

– A co to za kłopot? – zdziwiła się kobieta. – U nas we wsi połowa magistrów, i to takich, co by pani nigdy nie spodziewała się. No to chyba za trudne nie jest, a pani mi nawet dość inteligentnie wygląda.

– Wie pani... w moim przypadku to o wiele bardziej skomplikowane. Tak bardzo, że nie chce mi się nawet o tym gadać.

– No pewnie, takie pani prawo. To już się o nic nie pytam. A ta kara to jaka? Dokąd panią wysłali?

– Do babci, na wieś, aż za Gołdap.

– Taka hetera?

– Nie wiem, nie znam jej, nigdy nawet jej nie widziałam.

– No to ja powiem pani tak: może być całkiem przyjemnie na tej karze albo całkiem przeciwko, zależy, jaka ta pani babka jest.

– Bardzo słuszny wniosek – odparła Pola z przekąsem.

– No nie inaczej. Stara?

– Dobiega osiemdziesiątki.

– No to nie musi wcale być tak źle, w tym wieku już nawet największe wredoty odpuszczają i zaczynają myśleć o życiu wiekuistym.

– Moja podobno nie. Z tego, co wiem, jest bardzo... żwawa.

Pasażerka na chwilę się zamyśliła.

– A, to już gorzej... Moja świętej pamięci teściowa była żwawa, i to do samiuńskiego końca. Niech jej ziemia letką będzie, choć krwi napsuć

umiała i za życia najlepiej jej nie życzyłam.

– Co będzie, to będzie. – Pola wzruszyła ramionami. – Jakoś wytrzymam.

– A no pewnie, pewnie, człowiek to twarda gadzina, mój dziadek na ten przykład w łagrze u ruskich siedział i tyż wytrzymał, a potem dożył prawie do setki.

– To bardzo pocieszające...

– A, dziękuję. Staram się, jak mogę. Chce pani klapsa?

– Ccc... cccooo? – Poli omal oczy nie wyskoczyły z orbit.

– Się częstuje, na zdrowie. – Kobieta podsunęła jej pod nos dorodną gruszkę. – Mam jeszcze parę, śmiało!

Dziewczyna sięgnęła po owoc z niejaką ulgą i z przyjemnością wgryzła się w soczysty miąższ. Pociąg zatrzymał się na kolejnej stacji i do przedziału dokooptowała para, chłopak i dziewczyna. Oboje z napakowanymi plecakami.

– A wy tam czy z powrotem? – Towarzyszka Poli natychmiast zmieniła obiekt zainteresowania.

– Tam – bąknęła niepewnie dziewczyna.

– No patrzcie państwo, jakie też te moje okolice teraz rojne, turysta na turystę, a jeszcze do niedawna każdy krzywił się, że atrakcji mało, okolica ponura, ludzie nieobycie po miejsku... A teraz każdy jeden zacisza szuka i...

– Okolic ponurych i ludzi nieobitych – zarechotał chłopak.

– No to chyba takich coraz mniej – wtrąciła Pola – skoro w tej pani wsi połowa magistrów.

– A co ma piernik do kozucha? – zdziwiła się kobieta.

– No coś chyba ma. – Chłopak najwyraźniej zmierzał do polemiki. – Studia kształcą, rozwijają, już samo środowisko akademickie w jakiś sposób człowieka uszlachetnia.

– Naszych jakoś nie uszlachetniło. Może kierunek nie za dobry obrali, bo wszyscy skończyli jeden i ten sam.

– Cała wieś? – zdumiała się Pola. – To znaczy... całe pół wsi?

– No.

– A można wiedzieć, jaki to był kierunek? – spytała dziewczyna.

– Jakiś... taki... a, socjopatia! Albo socjologia, choć nie wiem już sama. Para spojrzała na siebie z niedowierzaniem.

– A co ty myślisz, młodzieńcze, że na wsi ludzie głupsze jak w mieście?

– Nie, skąd, ale to... jakby samo sobie zaprzecza. Powiedziała pani przecież, że nauka nic tym osobom nie dała.

– Ja tak powiedziałam? Magistry im dała, ot co.

Pola postanowiła się z dyskusji wycofać, po cichu, acz wymownie: podpięła do telefonu słuchawki, włożyła je do uszu, oparła się wygodniej i zamknęła oczy. Nie spodziewała się nawet, że w takim gwarze będzie mogła zasnąć, ale źle przespana noc zrobiła swoje. Kiedy się obudziła, była już niemal u celu podróży, kobieta z naprzeciwwka wpatrywała się w nią przenikliwie, pary młodych ludzi już nie było.

– No, ja się tak zastanawiałam, tyrpnąć czy nie tyrpnąć – oznajmiła współpasażerka – coby stacji swojej przejechała. A tak w ogóle to dokąd konkretnie jedzie? Jaka to wieś?

– Zaciąż. I pojęcia nie mam, jak się tam dostanę. Z tego, co wyszukałam w Googlach, wynika, że z Gołdapi autobusem do Poniechajek, a potem to już... stopem, o ile po tamtejszych drogach w ogóle jakieś auta jeżdżą, albo na piechotę. Ale to aż całe osiem kilometrów...

– Prędzej traktorem albo furą, a to całkiem możliwe, bo o tej porze sporo tego porusza się, żniwa są... A ludzie uczynne, nie odmówią.

– Mówi pani serio?

– A co, nie wyglądam?

– Przepraszam, ale dla mnie łapanie traktora na stopa nie jest codziennością...

– Babka nikogo po panią nie pośle? Na pewno zna kogoś, kto ma auto albo jaki inny pojazd na czterech kołach.

– No właśnie... W tym kłopot, że ona nie wie o moim przyjeździe.

– Nie wie?! To jej ani matka, ani pani nie uprzedziła?

– To... również bardzo skomplikowane... Ja nawet nie wiem, gdzie babcia konkretnie mieszka, znam tylko nazwę wsi i liczę na to, że ludzie ją tam znają.

– A to na pewno, tam będzie z górą trzydzieści chałup.

Kobieta zamilkła i zaczęła coś intensywnie rozważać.

– No ale jak to... Matka wysłała panią za karę i nie powiedziała dokąd?

– Nie zdążyła, bo się na nią pogniewałam i wyjechałam wcześniej. Ona pewnie... – Pola spojrzała na zegarek – dopiero teraz się zorientowała, że mnie nie ma.

– A to dobre. – Współpasażerka zarechotała ubawiona. – To się pewnie ucieszy, że pani tak skwapliwie jej polecenie wykonała.

– Może. – Poli naprawdę nie chciało się wchodzić w szczegóły.

Zbliżała się stacja docelowa i kobieta zajęła się ściąganiem swojego bagażu z półki.

– To co pani teraz zrobi? Taryfę weźmie?

– Najprawdopodobniej. Innego wyjścia pewnie nie mam.

– A jak godność babki, jeśli można?

– Carmen Sowiłow. Może ją pani zna? To podobno... dość popularna w okolicy postać...

Współpasażerka na chwilę się zadumała, patrząc przy tym, pewnie nieświadomie, bardzo uważnie w twarz Poli.

– Nie musi pani brać taryfy. Przyjeżdża po mnie syn, to zawiezie, gdzie trzeba.

– Serio?

– No. On zna tu całe okolice i wszystkich. Pani babkę pewnie też...

– Dziękuję. Będę bardzo wdzięczna.

– No mam nadzieję – rzuciła kobieta dość tajemniczo.

* * *

– Ale, mam, wiesz, że mam za chwilę sesję w gminie – odpowiedział dość młody człowiek na wyszeptaną mu na ucho prośbę.

Tym razem kobieta również na tyle ściszyła głos, że Pola już nic nie usłyszała.

– Zapraszam. – Facet niespodziewanie się rozpogodził i otworzył szeroko drzwi samochodu. – Dokąd pani sobie życzy?

– Tak szczegółowo to nie wiem. Do Zaciąż. A potem rozpytam.

– O kogo?

– O Carmen Sowiłow.

Mężczyzna wymienił porozumiewawcze spojrzenia ze swoją matką.

– Ależ oczywiście. Znam panią Sowiłow i bardzo ją cenię, więc tym chętniej pomogę.

Na Poli cała ta sytuacja nie wywarła wrażenia zbyt szczerzej, ale póki co nie było powodu do niepokoju.

Pola usadowiła się na przednim siedzeniu, bo to właśnie miejsce wskazał jej właściciel auta, matkę wraz z dobytkiem, którego za nic w świecie nie chciała włożyć do bagażnika, upchnął z tyłu.

– Będzie pani lepiej widziała pejzaże za oknem – wyjaśnił. – Mamusia zna je na pamięć.

Pejzaże zaś, w miarę oddalania się od Gołdapi, zmieniały się w coraz bardziej wyludnione połacie ziemi bądź gęste, mroczne lasy. Od czasu do czasu pojawiały się niewielkie skupiska domów, wyglądających, jakby czas zatrzymał się tu jeszcze w PRL-u.

– To są jakieś wsie, to, co mijamy po drodze? – zapytała Pola, bo trudno było jej sobie wyobrazić, że te parę chałup na krzyż mogłoby mieć jakieś usytuowanie na mapie pod wspólną nazwą.

– Owszem. – Kierowca się uśmiechnął. – To, co teraz mijamy, to Jurkiszki, potem będą Galwiece i Pluszkiejmy.

– Zaciąż też tak wygląda?

– Mniej więcej.

– A państwo mieszkają...?

– W Piszczkach. Niedaleko, graniczymy z Zaciążem.

– To pewnie znacie tamtejszych mieszkańców?

– A i owszem – wtrąciła mamusia. – I nawet żyjemy jako tako.

- To znaczy?

- Teraz - rzucił syn mamusi. - Do niedawna było sporo niesnasek, ale wraz z cywilizacją ustały prawie całkowicie.

- Czemu? To znaczy... skąd te niesnaski?

- Znikąd. Ot, patryjotyzm taki, że jak obcy, to wróg - wyjaśniła mamusia.

- Więc pewnie zna pani moją babcię? Bo chyba nie dosłyszałam przedtem odpowiedzi...

- No oczywiście.

- Jaka ona jest?

- Sama pani zobaczy.

- Nie brzmi to zbyt optymistycznie...

- Ano nie. I myślę, że pani mama miała świetny pomysł na karę i szybko pani zatęskni za studiowaniem.

- Mamo! - zgromił kobietę syn. - Nie strasz pani, zresztą pani Sowilów to bardzo miła starsza pani. Moim zdaniem.

Mamusia zaśmiała się cicho, ale nie skomentowała jego słów.

- Jesteśmy na miejscu - oznajmił znieścacka, zatrzymując się przy ogrodzeniu z żerdzi.

Teren był bardzo duży, porośnięty trawą i chwastami, gdzieś górował nad nimi przypadkowy krzak lub mizerne drzewko. Zza wzniesienia, na którym znajdował się ów „ogród”, widać było kawałek dachu z kominem, z którego unosił się dym.

- To... tam? - Pola wskazała ręką w powyższym kierunku.

- Tam. A ona jak zwykle w piecu pali, choć na dworzu upał...

- Mamusiu! - zgromił rodzicielkę po raz drugi mężczyzna. - Lubi, niech pali. Tyle razy mamusi mówiłem, że tolerancyjnym należy być. Czyli że jeśli mamusi osobiście coś nie szkodzi, to nie mamusi sprawa.

Pola wysiadła, zaczekała, aż syn współpasażerki wyjmie z bagażnika jej walizkę, po czym pochylając się pod żerdzią, weszła na teren swojej babci. Furtki nie było, nie z tej strony, jak się nieco później okazało. Dziewczyna szła wąską ścieżynką, starając się omijać pokrzywy i osty, a serce biło jej

coraz mocniej. Teraz naprawdę zaczęła odczuwać lęk, ale cóż, nie było odwrotu.

Dom babci Carmen okazał się czymś w rodzaju długiego murowanego pawilonu, połączonego chyba ze stodołą lub stajnią. Obok trzy podobne budynki wolnostojące plus szopa wyglądająca na totalną prowizorkę. Nie było dzwonnka przy drzwiach, więc Pola najpierw dość nieśmiało zapukała, potem mocniej i mocniej, ale nic się nie zadziało. Zdesperowana nacisnęła na klamkę i... okazało się, że drzwi nie były zamknięte. W domu nikogo nie było, ostrożnie przemierzyła wszystkie pomieszczenia i nie znalazła żywego ducha. W kuchni pod piecem tlił się jeszcze ogień, na blasze stał wielki garnek z czymś, co niezbyt zachęcająco pachniało.

Pola postawiła na podłodze walizkę i usiadła na kraciastym szezlongu, którego obecność w kuchni była dla niej swego rodzaju ekstrawagancją. Dopiero teraz odczuła zmęczenie kilkugodzinną jazdą w pociągu, skorzystała więc z okazji, by rozprostować ciało.

Jeszcze raz ogarnęła wzrokiem to, co miała w jego zasięgu, i uznała, że choć dom sprawiał wrażenie raczej rudery niż wiejskiej willi, miał w sobie jakąś przyjemną przytulność. Jego wnętrza, mimo że urządzone całkowicie „od czapy”, stanowiły tak jednolitą konsekwencję kiczu i pstrokacizny, że miało to swój nieodparty urok.

Dziewczyna nie wiedziała nawet, kiedy zdarzyło się jej zasnąć, w innym przypadku z pewnością by się przed tym broniła. Nie była u siebie, była nieproszonym gościem, intruzem, a może nawet, mimo otwartych drzwi, włamywaczką.

– Hola, hola! – Nagle jakiś gromki niski głos wyrwał ją z miłego błogostanu.

– Prze... przepraszam pana bardzo – wymamrotała Pola, dość szybko uświadamiając sobie, gdzie jest. – Ooo... panią – poprawiła się, widząc nad sobą malutką, drobną starszą kobietkę.

Wcale nie wyglądała na wiedźmę ani też wariatkę. Miała na sobie jasny kostium ze spódniczką przed kolano, białą bluzkę i włosy starannie upięte w kok. Siwe, ale takie ładne, gołąbkowe... Z twarzy wyglądała na całkiem

miłą i dość młodą, o ile można tak powiedzieć o prawie osiemdziesięcioletniej kobiecie. Jeśli to była matka jej matki, to można byłoby się zdziwić. Pani Alina była bowiem wysoka, solidnie zbudowana, o bardzo wyrazistych, surowych rysach.

– Wiem, powinnam uprzedzić, że przyjadę, ale tak jakoś wyszło.

– Kogo uprzedzić?

– No, panią babcię...

Kobietka zmierzyła Polę z góry na dół albo raczej wzdłuż i w poprzek i zmarszczyła brwi.

– Tylko jedna osoba mogłaby tak do mnie mówić – skonkludowała. – To ty?

– Ja.

– Ula? Czy jak ci tam?

– Pola. – Dziewczynie zrobiło się przykro, że babcia nie pamięta nawet jej imienia.

– A co się stało? Matka cię z domu wyrzuciła?

– Coś w tym rodzaju... To znaczy... owszem, wyrzuciła, ale nie na zawsze, na parę tygodni tylko.

– Zmalowałaś coś? – spytała kobietka z radosnym błyskiem w oku. – Opowiadaj! Albo nie, zrzuć z siebie najpierw tę maskaradę.

Babcia wróciła po chwili ubrana w... sprane dżinsy i czarną koszulkę z napisem... „Fuck the cannibals”. Uwolnione z koka włosy spływały jej z ramion bujnymi siwymi lokami...

– No to teraz już wiem, po kim mam te strąki – bąknęła Pola, starając się niczemu nie dziwić.

– Tylko strąki? – Babcia się uśmiechnęła.

Dziwnie było Poli tak myśleć o kobiecie, która absolutnie nic z babci w sobie nie miała.

– Podobno nie tylko...

– Serio?

– No nie... Ale wolałabym...

– Jasne, nie musisz nic mówić, umiem sobie wyobrazić, jak mnie odmalowała własna jednorodna córka. I co masz tu niby robić?

– Nie wiem. Być i tyle. No, chyba że znajdziesz dla mnie jakieś zajęcie.

– Nawet nie wiesz, jak bardzo byś mi się przydała. – Babcia jeszcze raz uważnie przyjrzała się dziewczynie. – O ile masz odpowiednie predyspozycje.

– To zależy do czego. Bardziej wiem, do czego nie mam, niż mam.

– A, to się okaże w takim razie. Głodna jesteś?

Pola odruchowo spojrzała w stronę gara z nieciekawie woniejącą potrawą.

– A nie! To dla gadziny. My sobie zamówimy pizzę. Chcesz?

– Chętnie.

– Tylko że ja truchła nie jadam, więc moja będzie bez.

– Jesteś... wegetarianką?

– Owszem.

– Ja też!

– Wiesz co? Może cię nawet polubię, mimo że urodziła cię najbardziej wredna baba na tej ziemi.

– A gdzie ta gadzina? – spytała Pola, kiedy babcia złożyła już kompletne i bardzo skomplikowane zamówienie.

– Za wzgórzem pasie się, pod wieczór przygnamy całe towarzystwo do spania.

– Pasie się?

– No. Przecież zreć musi, co nie?

– Tylko... myślałam, że to raczej jakieś psy, koty czy coś takiego.

– Bo?

– Jesteś wegetarianką...

– A co ma jedno do drugiego? – zdziwiła się babcia. – Myślisz, że ja ich zjadam?

– Z tego, co wiem, po to ludzie trzymają roślinożerne stworzenia.

– **Ludzie**, tfu, może tak, ja nie. Oni wszyscy są tu z przypadku, to nie jest żadna hodowla, ale przytułek. Dwa konie są, krowa, baran, psy i koty

owszem też, no i kury. Ale one nie są z przypadku, jajka mi niosą.

– Rozumiem...

– No i dobrze. Dogadamy się jakoś wobec tego.

– I na to ja mam się przydać? Do pomocy przy zwierzętach?

– A nie. Włączysz się w misję. We dwie zdziałamy więc.

Pola nie miała okazji dowiedzieć się niczego ponadto, bo przyjechał dostawca pizzy. Błyskawicznie jak na te warunki, a nawet jak na standardy miejskie. Trochę to dziewczynę zdziwiło, ale ponieważ postanowiła walczyć z tym uczuciem, o nic nie zapytała.

– A powiedz ty mnie, jak tu trafiłaś w ogóle? – spytała babcia z pełnymi ustami. – Bo to kawał drogi od najbliższej stacji.

– Podwiózł mnie jakiś miły młody facet. Jego matka jechała razem ze mną w przedziale i tak się jakoś zgadałyśmy, że mieszka prawie po sąsiedzku i nawet cię zna. Niesamowity przypadek, nie?

– To się okaże. Mów dalej. – Kobieta zrobiła nieodgadnioną minę.

– Przyjechał po nią autem syn, więc zabrali i mnie. Podwiózł mnie pod sam twój dom.

– Po sąsiedzku?

– No, z sąsiedniej wsi... Piszczki czy coś takiego...

– Jak wyglądał? – rzuciła babcia skrótami myślowymi, w których Pola usiłowała się jakoś połapać.

– Nie przyjrzałam mu się zbyt dokładnie, ale bardzo wysoki, szczupły...

– Samochód! – rzuciła babcia.

– Granatowe bmw.

– A to buc!

– Ten pan? Ale przecież... zrobił mi przysługę, a o tobie wyrażał się w superlatywach...

– I szuja fałszywa, ale czego się spodziewać po synalku jeszcze fałszywszej szui...

Kobieta mocno się wkurzyła, odłożyła niedojedzony kawałek pizzy i zaczęła krążyć po kuchni, prychnając i fukając.

- Ale o co chodzi, babciu? - Pola popadła w niejasne poczucie winy. - Zrobiłam coś złego? Albo powiedziałam?

- Nie, ty nie. Przecież nie mogłaś wiedzieć, co to za gnidy, nie urażając gnid.

- Wobec tego mi powiedz, kto to taki i czemu ich tak nie lubisz?

- Nie lubię?! Kałasznikowem bym potraktowała, a potem posoliła i zakopała żywcem. Ale nie mam kałasznikowa - dławiała się złością. - Chcieli sobie ciebie przygruchać i wykorzystać przeciw mnie. Ale...

Babcia przystanęła na chwilę, a na jej twarzy nagle pojawił się uśmiech.

- ...my możemy to wykorzystać przeciw nim. Jasne! Jeśli masz po mnie nie tylko strąki, dobra nasza!

ROZDZIAŁ IV

Dary natury, w tym bimber i małosolne

Pola była przekonana, że jej matka doskonale wie, gdzie się nagle podziała, dlatego odrzuciła połączenie z zamiarem zablokowania jej numeru, ale ostatecznie najpierw wysłała jej wiadomość, że dojechała na miejsce bezpiecznie, i dopiero wówczas wprowadziła swój zamiar w czyn.

Dziewczyna obudziła się przed południem. Nikt jej nie niepokoił, zza uchylonego okna dochodził śpiew ptaków i zapach świeżo skoszonej trawy. Podniosła leniwie głowę i spojrzała na zewnątrz. Jej oczom ukazał się dość abstrakcyjny widok: babcia, odziana w krótkie spodenki, koszulę w kratę i czapkę z daszkiem... rażno wymachiwała kosą. Za nią snuł się paskudnie szpetny pies i tłusty rudy kot.

– Paszli, bo łapy przypadkiem poobrzynam – strofowała zwierzaki kobieta, one zaś nic sobie z tego nie robiły.

Pola, jednocześnie ubawiona i zszokowana tym obrazkiem, pobiegła za dom.

– Cześć, babciu – zawołała – i cała reszto!

Kobieta odłożyła narzędzie, opierając je o murowaną cembrowinę studni, i wytarła dłonie w koszulę.

– A już myślałam, że dziś na śniadanie przyjdzie mi obiad podawać – powitała wnuczkę, jednak bez specjalnego zgorszenia.

– Przepraszam, ale tak dobrze się spało...

– Przecież ci nie bronię, śpij ile wlezie, widać powietrze ci służy.

– Bardzo. Głodna jestem jak wilk.

– Chodź, nasmażymy jaj. Ja skoczę do kurnika, a ty narwij dymki i pietruszki.

Ponieważ poprzedniego wieczoru babcia oprowadziła Polę po całutkim gospodarstwie, dziewczyna mogła spełnić jej polecenie bez większego stresu.

– Nie chcesz się umyć? – spytała kobieta, krzątając się przy kuchni, ponieważ wczoraj Pola padła, jak stała, bez wieczornej toalety.

– No pewnie, że chcę, ale nie wiem, gdzie jest łazienka. Siku zrobiłam w tym... e... czymś... co wczoraj, na dworze.

– W wychodku. Innych luksusów nie będzie, a łazienka jest o tu. – Wskazała dłonią na kąt, gdzie w drewnianym meblu z okrągłą dziurą stała miska z wodą, metalowy dzban i ułożony w kostkę ręcznik. – Jak ci braknie wody, leć do studni.

Dziewczyna za nic w świecie nie przyznałaby się, że może mieć z tym wszystkim jakiś problem, ochlapała się więc jako tako za pomocą dostępnego sprzętu, do minimum oszczędzając wodę.

Śniadanie było wyśmienite, okazało się, że babcia jest kulinarnie samowystarczalna; wszystko, co spoczęło na stole, było dziełem jej samej bądź jej zwierzaków. Nie tylko jajka, bo i mleko, sery, powidła, chleb, a nawet... miód. No i oczywiście mnóstwo warzyw i owoców z własnego ogrodu.

– Jesteś bardzo zaradna, babciu – pochwaliła Pola z pełnymi ustami. – To niesamowite, że można samemu produkować całe jedzenie i... w ogóle być takim niezależnym od cywilizacji...

To ostatnie dziewczyna wypowiedziała już bez przekonania, chciała po prostu podkreślić, że pewne braki nie są dla niej problemem. Nie aż tak wielkim, by miała stąd uciekać.

– Całego nie, kawy nie uprawiam, choć próbowałam. I niestety, dobrej mocnej fusiary nie da się niczym zastąpić, prądu też sobie w ziemi nie wykopię, jak wody. Co do reszty, powiem tak: człowiek jakoś radził sobie, zanim wymyślił te wszystkie cuda techniki, z głodu też nie umarł.

– Fakt. Ale nie jestem pewna, czy mogłabym tak na stałe... na zawsze...

– A to już zależy od potrzeb i celów. Jak te pierwsze są skromne, a te drugie wielkie i ważne, przestajesz się skupiać na bzdurach.

– Czyli rozumiem, że ty masz wielkie...

Babcia zerwała się nagle na równe nogi, niemal doprowadzając dziewczynę do zawału.

– Powiedziałam coś nie tak? – spytała przestraszona.

– Chodź, sama zobaczysz, jakie ja mam cele – odparła i ruszyła energicznie ku drzwiom.

Ku domowi zmierzała przysadzista dość młoda kobieta w garniturku w kratkę i z włosami upiętymi w kok à la lata dziewięćdziesiąte. Babcia chyba wypatrzyła ją z okna i raczej nie była zbyt rada z tej wizyty.

– A co tam Siarczkową sprowadza w moje skromne progi? – krzyknęła, zanim ta zdołała podejść bliżej.

– Siarkowska się nazywam i pani świetnie o tym wie, pani Sowiłow – odkrzyknęła niewiasta, nie zwalniając kroku.

– Jak zwał, tak zwał, mnie wszystko jedno. Nie mam pamięci do bzdur.

– Jeszcze nie zdążyłam się przywitać, a pani szanowna już z obelgami – wysapał gość, stając na wprost staruszki.

Wyglądało to dość groźnie, zwłaszcza że babcia ze swoim mikrym wzrostem sięgała jej zaledwie do biustu.

– O co się rozchodzi, niech powie. Witac się nie musi.

– Naprawdę? Nie domyśla się pani?

– Czytać z oczu nie umiem.

– No to ja powiem. A to kto taki? – Kobieta wskazała palcem na Połę.

– Nie jej sprawa. Mówi albo won – złożyła jej babcia propozycję, sądząc z tonu, nie do odrzucenia.

– O tę rozróbę, którą była pani łaskawa wykonać dziś na radzie gminy.

– To nie była rozróżba, tylko protest. Jako wolny obywatel wolnego kraju mam prawo do tego. Nie czytała?

– Czego?

– „Gościa Niedzielnego”, kuźwa. Konstytucji, a co?

– Były obelgi – stwierdziła kobieta. – I wulgaryzmy. A o tym nie ma w konstytucji, nawet jak nie czytałam.

– Gdzie? – zdziwiła się babcia bardzo uprzejmie.

– Na tych... no... transparentach. Pod adresem wójta gminy. Na zdjęciu mam.

– Oj... chyba nie. Mogę rzucić okiem?

Kobieta wyjęła z torebki telefon i podsunęła go babci pod oczy. Pola wyciągnęła szyję, by również przyjrzeć się zdjęciu. Widniała na nim babcia, dzierżąc w dłoniach karton z napisem: „Cap to bucefał i Adolf”.

– To jest wulgaryzm jakiś? I pod czyim adresem, jeśli można? Mówi pani, że wójta?

– No... tak... – Niewiasta nagle się jakby zmieszała.

– A gdzie tu o wójcie jest, co? Palcem pokaże, bo nie widzę.

Kobieta wzniosła palec ku górze, jaszczere raz spojrzała na zdjęcie i opuściła go z powrotem.

– Ha! – krzyknęła babcia z satysfakcją. – I po co się tak fatygowała oraz z czyjego ramienia, ja się pytam.

– Z mojego własnego, przewodniczącej rady gminy.

– Aaa... z własnego... A co chciała tym ramieniem osiągnąć, bo nie wiem?

– Zaapelować do pani rozsądku, a także ciemnoty i zabobonu. Pani działa przeciw interesowi ludzi stąd, jako wróg postępu i rozwoju. Z zamiarem odebrania szans młodym na godne zarabianie i życie, nie wiadomo po co.

– Godne, tak? Bo że nie wiadomo po co, to się zgadzam.

– Godne.

– No to ja apeluję teraz do jej... nie, nie rozsądku, bo to próżna sprawa, ale z propozycją, niech choć przez chwilę pomyśli. Wiem, że to może boleć, ale może łyknąć proszek albo golnąć setkę. Jedno z dwóch może pomóc. Ale ja powiem jedno, po moim trupie, rozumie?!

– Chętnie – warknęła kobieta, odwróciła się i ruszyła do furtki znacznie prędzej, niż przyszła.

– A to już była groźba karalna – zwróciła się babcia do Poli. – Wejdz do domu, ja skoczę do piwnicy.

Po chwili kobieta zjawiła się w kuchni, trzymając w obu dłoniach po flaszcze i słoik ogórków pod pachą.

– Wolisz wino czy samogon? – spytała.

– Aaa... – Zdumiona Pola zawiesiła się na chwilę.

– No co? Obu nie otworzę. Ja proponuję samogon, to był mocny polityczny akcent, więc trzeba się mocniej ustosunkować do sprawy. Sama pędziłam, kaca mieć nie będziesz.

– Wierzę, tylko że ja... nie piję za bardzo.

– A kto tobie każe za bardzo? Ot, połówkę tylko obalimy, i to na dwie.

– O tej porze?

– A co tobie pora przeszkadza? Nie mogłam przecież przesunąć tej wizyty na lepszą porę, bo pijawa nieproszona przylazła.

– Przewodnicząca rady gminy?

– Jak z koziej dupy trąba, ale tak się jej stołek nazywa, a ona po nim.

– Dziwnie się do niej zwracałaś... W trzeciej osobie...

– Bo więcej w polskim języku nie ma. „Pani” nie przeszłoby mi przez usta, a na ty z nią broń Boże nie jestem. No, dawaj i zaraz zakąś małosolnym, bo trunek diabelsko piekący...

Babcia podała dziewczynie kieliszek, swój wychyliła do dna i popiła wodą spod ogórków, wprost ze słoika. Pola również wychyliła swój, ale zanim sięgnęła po „małosolnego”, straciła oddech na dobre pół minuty.

– Mówiłam, że piekący. Masz, popij. – Przystawiła dziewczynie słoik do ust.

– A... przeciw czemu ten protest? – spytała Pola ochrypłym głosem. – Bo wiesz, z tej twojej pisemnej odezwy nic dla mnie nie wynikało...

– Przeciw głupocie, podłości i łapówkarstwu. Przetłumaczę ci: „Baran to buc i barbarzyńca”. Baran raczy się nazywać wójt, tekst trochę zakamuflowany, żeby się nie było do czego przyczepić, ale dla miejscowych zrozumiały. A ta się wyrwała jak durnowata. Widziałaś, jak jej ten paluch opadł?

– No...

Pola pomyślała, że nieźle się zaczyna wakacyjna przygoda z babcią. Do tej pory nie miała zamiaru dopuszczać do siebie opinii matki na jej temat, ale powoli zaczynała myśleć, że pani Carmen może być w istocie, dość... trudną, delikatnie mówiąc, osobą.

– Na drugą nóżkę. – Babcia napełniła kieliszki, jeden z nich wcisnęła Poli do ręki, w drugą zaś wepchnęła jej ogórek. – No, ciach!

– Zaraz padnę... – jęknęła dziewczyna.

– Na tym polega życie – zarechotała babcia. – Na wzlotach i upadkach. Poza tym nic ci nie będzie, sama czysta natura, bez żadnej chemii.

– Powiedz mi, proszę, o co tu chodzi, póki jeszcze łapię.

– Ale to proste jak konstrukcja cepa. Choć może ty nie widzisz, co się dzieje na tym świecie, bo chodzisz po betonie, mieszkasz w betonie, z każdego okna oglądasz tylko beton. Otaczasz się badziewiem, kupujesz go coraz więcej i więcej, badziew jesz i pijesz. I nic cię poza tym nie obchodzi, jak większości ludzi, aby się tylko napchać, aby m i e ć, a do tego trzeba naszarpać jak najwięcej kasy, bo bez niej mieć się nie da. Ale to nie jest życie, to nie jest świat. To jest barbarzyństwo właśnie i każdy się do niego przyczynia. Ciebie nie winię, bo kto cię niby miał ukształtować na wrażliwą osobę? Twoja wredna matka? Winię takich... Baranów, mniejszego i większego kalibru, bo oni świetnie wiedzą, w co się w tej chwili na ziemi gra...

– Należysz do jakiegoś ugrupowania ekologów czy coś w tym rodzaju?

– Nigdzie nie należę! Jestem sama ze sobą, nie potrzebuję żadnych świrów, którzy działają bardziej dla rozróby niż dla idei. Ja nie szukam rozgłosu, chcę tylko osiągnąć swój cel. I wiesz, co ci powiem?

– No?

– Nie przebieram w środkach, jadę jak walec, jak spych i niech mi tu Baran nie podskakuje, bo naprawdę nie cofnę się przed niczym.

– Za... za... zabijesz go, jakby trzeba było? – Poli dość trudno było już mierzyć się z własnym językiem.

– O śmierć to on będzie prosił albo sam się zabije, zobaczysz. Bardzo by mi się ktoś przydał czasem. Jeśli masz w sobie choć kroplę mojej krwi, to będzie nas już dwie.

– Czy...

– Czy co?

– Ttt... trzy... – poprawiła się z trudem Pola. – Znam jeszcze kogoś, co... umie takie rzeczy, taaakie rze... czy... A teraz daj na szczęcią nóżkę i ja chyba... zaliczam upadek...

* * *

Pola podniosła obolałą głowę znad poduszki i spostrzegła, że za oknem panuje zmierzch. Nie miała pojęcia, która godzina, ba, nie bardzo wiedziała, gdzie jest i dlaczego. Dobrą chwilę trwało, zanim to wszystko ogarnęła. Sięgnęła po komórkę, która powinna być na szafce przy łóżku, i na szczęście tam była. Dochodziła dwudziesta druga, a na ekranie widniało sześć nieodebranych połączeń od Aurelii...

– No, to chyba poszło mi również na słuch – mruknęła sama do siebie, wygramoliła się z posłania i ruszyła w stronę, gdzie spod drzwi sączyło się światło.

– Mówiłaś, że nie będzie kaca – zwróciła się z pretensją do babci siedzącej przy stole nad jakimś zajęciem. – A mnie tu dyńka napiernicza jak nie wiem co.

– To nie jest kac – oznajmiła babcia.

– Tylko?

– Dyńka cię napiernicza – zarechotała. – Siadaj, pomożesz mi drylować wiśnie.

– Sama to obaliłaś? – Dziewczyna spojrzała zdumiona na pustą flaszkę po samogonie.

– A miałam z kim? Mój jedyny kompan poległ po marnych trzech kolejkach...

– I... jeszcze nazrywałaś wiśni? Nie mów tylko, że wchodziłaś na drabinę!

– Spokojna twoja **dyńka**. Nie wchodziłam, nie ma takiej potrzeby. Są przecież gałęzie.

– Mówisz serio?!

– Posłuchaj mnie teraz. – Babcia spoważniała niepokojąco. – Jest coś, czego bardzo nie lubię, i proszę, przyswój sobie to raz a porządnie. **Stereotypów!** To jest właśnie największy zabobon na tym świecie. Bo ktoś sobie dawno temu ustalił jakieś opinie na dany temat albo uznał, że coś jest, jakie jest, i inne być nie może, a jeśli już, to jest nienormalne i nie do zaakceptowania. Na przykład że osiemdziesięcioletnia kobieta nie wlezie na czubek wiśni jak zwinna piętnastolatka, a nawet gdyby była w stanie, to tego nie zrobi, bo to uwłacza jej godności. To tak po miastowemu. A po naszymu: ma nasrane we łbie.

– O mój Boże...

– No co?

– Nic. Tylko muszę ci koniecznie kogoś przedstawić... Jest tu zasięg?

– No pewnie. Weź, dryluj. Już mi przeszło, ale skoro tu jesteś, musisz wiedzieć, na co jestem uczulona i co musisz bezwzględnie uszanować.

– Okej, ale najpierw zadzwonię.

Pola wybrała numer Aurelii z nadzieją, że przyjaciółka jeszcze nie śpi, i ustawiła aparat na głośnik.

– No wreszcie, cholera jasna! – takie usłyszała powitanie. – Czy ja mam sobie pomyśleć, że cię na tym zadupiu niedźwiedzie zżarły?

– Ej, nie wyrażaj się tak o tym magicznym miejscu – zwróciła dziewczynie uwagę przez wzgląd na słyszającą tę rozmowę babcie.

– O tym magicznym zadupiu – krzyknęła babcia w stronę aparatu. – Tak się możesz wyrażać, kimkolwiek jesteś.

– O, witam serdecznie! – odkrzyknęła Aurelia. – Pani babcia?

– A i owszem, drylujemy wiśnie – dodała nie wiadomo po co.

– Na winko?

– Winko, naleweczkę, likierek.

– Super! Zrobi się w tydzień?

– A co?

– No właśnie, babciu – przerwała im tę pogawędkę Pola. – Bo ja ci nie mówiłam... I w ogóle... nie wiem, czy się zgodzisz... ale zaprosiłam tu do nas Aurelię.

– Sama bym ją zaprosiła, gdybyś ty tego nie zrobiła. Słyszysz mnie tam po drugiej stronie?

– Tak, dziękuję. Jeśli pani nie ma nic naprzeciw, wpadnę za kilka dni, muszę sobie tylko załatwić chorobowe, ale lekarz, z którym jako tako da się pogadać, jest w tej chwili na chorobowym.

– No to Dziunia zostanie sama – skomentowała Pola.

– Albo zamknie interes... a potem nas wywali.

– Akurat. Za co? Że ja jestem na planowym urlopie, a ciebie w tym samym czasie nieszczęśliwie jakaś gangrena dopadła?

– Nie tak wprost, ale jak się wkurzy, to coś wymyśli.

– A niech się wkurza! – zeźliła się babcia. – Prawo jest po waszej stronie. A bezprawie tym bardziej.

– Co...? – spytała Aurelia.

– Przyjedź tu tylko, a sama zobaczysz. Moja dewiza jest taka: jak już wykorzystasz wszystkie środki prawne i nie pomoże, bierz prawo w swoje ręce. Ja tam nie wiem, kto to jest Dziunia i co z nią jest nie tak, sugeruję tylko, że jak się chce, to się da. Z Dziunią też.

– Ja jestem takiego samego zdania, w przeciwieństwie do pani bardzo subtelnej i zrównoważonej wnuczki. Ale jeszcze nie jest stracona, da się nad nią popracować. – Aurelia się zaśmiała.

– Wpadaj więc do nas, dziewczucho, mówię serio. O ile nie liczysz na sielską labę, wiejskie żarełko i smażenie na słońcu. Będzie robota.

– Brzmi ciekawie.

– I będzie ciekawie.

Pola przysunęła telefon do siebie.

– Słuchaj, jutro pogadamy, okej? Już późno, a tu jeszcze wiadro wiśni przed nami. Tak czy inaczej, zaproszenie moje i babci jest bardzo aktualne. I możesz okazać się tu wręcz nieodzowna...

Pola zadzwoniła do Aurelii jeszcze raz nazajutrz, kiedy babcia była zajęta pichceniem w kuchni. W tym celu wymknęła się do przydomowego ogródka.

– I? Jak się bawisz? – spytała przyjaciółka. – Jesteś teraz sama?

– Taaa... właśnie dlatego dzwonię. Nie wiem, jakie babcia wywarła na tobie wrażenie, ale wiedz, że trzymam cię za słowo i że za parę dni się tutaj widzimy.

– Luzik. Babcia też luzik. A co wy tam robicie, jeśli można wiedzieć? I nie mówię o alkoпродукcji...

– Rzecz w tym, że jeszcze tego nie ustaliłam. Z babcią dość ciężko się gada, więc bazuję raczej na domysłach niż wyjaśnieniach. Ona chyba toczy jakąś wojnę o obronę natury, w dodatku w pojedynkę. Nie wiem jeszcze, w co się tu gra i o co ta wojna, ale jak na mój łeb chodzi o jakiś konkret... I ja chyba... chcąc nie chcąc, w tym tkwię. Dlatego tak bardzo mi zależy, żebyś tu przyjechała, bo to bardziej twoje klimaty niż moje.

– Natura?

– Nie, knowania, walki podjazdowe i parcie do celu w sposób urągający zdrowemu rozsądkowi.

– Ha, ha – powiedziała przyjaciółka, bo nie był to śmiech. – Jaka ona jest?

– Babcia? Chyba trochę... jakby nieco złagodzić określenie mojej matki, niestandardowa... Ale weź pod uwagę, że jestem tu dopiero dwa dni, więc to dość powierzchowna ocena. No więc? Kiedy się widzimy?

– Najpóźniej za tydzień. Ale będę na bank, spokojna twoja ondulacja.

– Nie mam ondulacji – oburzyła się Pola.

– Wiem, ale wyglądasz, jakbyś miała.

– Śniadanie ci stygnie! – wrzasnęła babcia przez okno, tuż nad głową Poli.

Dziewczyna omal nie wypuściła telefonu z dłoni. Rozłączyła się natychmiast i skonsternowana, że babcia mogła coś z tej rozmowy usłyszeć, udała się do kuchni.

- Jajecznicza z pokrzywami. - Kobieta podsunęła jej kopiasty talerz jakiejś żółto-zielonej brei.

- Z... czym?

- Spróbuj najpierw, a potem się dziwuj.

Potrawa smakowała wyśmienicie, miała delikatny smak i przyjemny zapach.

- Naprawdę z pokrzywami?

- A co! - Babcia się zaśmiała. - Ja serwuję bardzo urozmaicone śniadania: jajecznicza z cebulą i szczypiorem, jajecznicza z pomidorami, jajecznicza z gliwionym serem... Jajka sadzone, gotowane, jajka w koszulkach...

- Super. Zwłaszcza ten gli.. gli..

- ...gliwiony ser.

- ...gliwiony ser mnie fascynuje.

- Sama gliwię.

- Nie wątpię. Chętnie spróbuję.

- To pojutrze, bo jeszcze się nie ugliwił.

- Nie mogę się doczekać - odparła Pola, maskując uśmiechem coś zupełnie odwrotnego.

W duchu zaś po raz kolejny obiecała sobie niczemu się nie dziwić, nie grymasić i całkowicie się dostosować do wszystkiego, co przyniesie jej tu los.

ROZDZIAŁ V

Odsiecz

Pola rzuciła na ziemię dwa na szczęście jeszcze puste wiadra, by sięgnąć do kieszeni spodenek po wibrującą komórkę.

– No, to jestem jutro o brzasku – usłyszała głos przyjaciółki, która nigdy nie miała zwyczaju zaczynać rozmowy od przywitania. – Na stacji w Gołdapi, reszta już należy do ciebie.

– Cieszę się niezmiernie – odparła dziewczyna z lekką zadyszką.

– Co tam u ciebie? Bo słyszę, że coś działasz?

– Wodę noszę ze studni. Upał tu jak sto diabłów, a trzeba co nieco podlać i gadzinę napoić. Jezu, kończę, babcia leci, pewnie pomyślała, że coś się stało...

– Wylałaś? – spytała staruszka, spoglądając na rzucone byle jak naczynia.

– Nie, puste jeszcze były. Aurelia dzwoniła, będzie jutro wcześniej rano. I tu chyba jest problem, bo trzeba ją będzie raczej odebrać z pociągu...

– Jaki problem? Dawaj te wiadra, najpierw obowiązek, a potem pogaduchy.

– Nie! Sama dam radę – zaprotestowała Pola, złapała za wiadra i popędziła w stronę studni.

Bo od czasu przyjazdu do babci wykształciła się w niej jakaś dzika ambicja, żeby wszystkiemu tutaj sprostać, nie wyjść na mieszczkę idiotkę i w ogóle we wszystkim dotrzymać kobiecie kroku. Nie było to łatwe, bo babcia miała temperament jaszczurki i siłę wołu...

– Miałam zamiar zamontować w studni pompę i szlauch, ale ciągle nie było czasu. – Babcia wyrwała jej z ręki jedno wiadro i popędziła za wnuczką.

– A to nie byłyby zbyt ekstrawagancka modernizacja twojego gospodarstwa?

– Czemu niby? Przecież nie chodzi o to, żeby zapierdzielać bez sensu tam, gdzie można sobie jakoś ulżyć, nie robiąc przy tym żadnych szkód. Ty tu chyba czegoś do końca nie rozumiesz...

– Już rozumiem. Odsuń się, ja kręcę. – Dziewczyna odepchnęła babcię łokciem i wprawiła w ruch wielką korbę.

– Chciałabym widzieć teraz minę twojej mamuśki. – Babcia się zaśmiała. – Ale powiem ci, że jakbym ją widziała. W pełnej, nabzdyczonej okazałości.

– Dużo bym dała, żeby się dowiedzieć, o co wam poszło – powiedziała Pola z powagą. – I czemu między wami jest tak, jak jest...

Babcia również spoważniała.

– Ja też bym dużo dała. Żeby wiedzieć...

– Jak to?

– Na pewno mnie odmalowała jako wyrodną matkę i chodzące zło, ale... Możesz mi wierzyć lub nie, często o niej myślę, zastanawiam się, próbuję zrozumieć... I naprawdę nie wiem, w którym momencie zawałam. Ona nie zawsze była taka. Zresztą... cokolwiek by mówić, to moje jedyne dziecko...

– Babciu... – Pola bardzo chciała coś powiedzieć, ale nie umiała znaleźć sensownych słów.

– No, dawaj, idziemy. Nie czas na pierdoły, kiedy gadzina z pragnienia usycha.

* * *

– O brzasku, czyli o której? – spytała rzeczowo babcia na wieść o przyjeździe Aurelii.

– O dziewiątej trzydzieści według rozkładu jazdy. Sama musiałam sprawdzić, niestety.

– No to fakt, o brzasku. Ale w miastach słońce wschodzi parę godzin później – skomentowała kobieta.

Pola nie odniosła się do tej uwagi, bo nie była w stanie jej odeprzeć.

– Jak po nią pojedziemy? – spytała za to. – Taksówką czy co?

– Nie ma takiej potrzeby, ja zmotoryzowana jestem, i to bardziej, niż mogłoby ci się wydawać.

Dziewczyna nie zapytała o szczegóły, bo z grubsza już wiedziała, że nie warto. Sprawa wyjaśniła się więc dopiero nazajutrz tuż przed wyjazdem. W stodole, do której udała się babcia, a Pola za nią, stał czerwony „maluch”. Autko, pamiętające pewnie czasy głębokiego PRL-u, nie budziło zaufania, wyglądało, jakby od czasu wyjścia z fabryki nikt się nim nie zajmował. Karoseria miała liczne ślady otarć i drobnych wgnieceń, widać było, że babcia się ze swoim „wozem” raczej nie patyczkowała.

– O, a to co?

Pola wskazała na stojące za nim coś, do połowy przykryte plandeką.

– Motor, ale nim nie pojedziemy.

– No domyślam się...

Dziewczyni ta podpowiedź nie wystarczyła, podeszła bliżej i uniosła plandekę. Jej oczom ukazał się... motocykl z przyczepą, na której widniał napis MO.

– Kupiłam parę rzeczy z likwidacji – wyjaśniła babcia. – Jak przyszło nowe, to od razu wsio na śmietnik, na złom. I nieważne, czy na chodzie, czy nie. Taka to polityka nastąpiła, wszystko zniszczyć, zdewastować, bo „komusze”. Ale weź wsiadaj, nie czas teraz na oględziny.

– Naprawdę ten motor jest na chodzie?

– No pewnie!

– No to ja się obawiam, że Aurelia go natychmiast dosiądzie.

– A, to dobrze. Rzadko go używam, przyda mu się trochę ruchu od czasu do czasu.

- Chryste Panie... - jęknęła Pola, trochę w intencji, by jej słowa nie stały się prorocze.

Babcia ruszyła z miejsca, auto, a w zasadzie jego silnik wydał podejrzany ryk.

- Na pewno jest sprawne? - zaniepokoiła się Pola.

- Bardziej niż myślisz, dlatego zapnij pasy.

To była doskonała rada, staruszka jechała bowiem szybko, ostro wchodziła w zakręty i tylko dzięki pasom dziewczyna, jak się jej zdawało, nie wypadła na zewnątrz. Na drodze szybkiego ruchu „maluch” rozwijał niezwykłą prędkość, a gdy dziewczyna rzuciła okiem na licznik, jej zdumionym oczom pokazało się sto sześćdziesiąt kilometrów na godzinę.

- Kurde, babcia, to kiedyś takie auta były? - spytała zdezorientowana.

- Może i były, ale nie to. Moje jest odrobinę stuningowane. Dla lepszego komfortu jazdy i dla zmylenia przeciwnika.

I jakby dla zilustrowania tego, o czym mówi, staruszka zaczęła wyprzedzać po kolei wszystkie auta, oczywiście nowszej i najnowszej generacji, budząc tym niemałą konsternację wśród ich kierowców.

- Zdrowaś Mario, łaski pełna... - szepnęła Pola, a babcia spojrzała na nią pogardliwie.

- Na pewno jest zdrowa. O zdrowie swoje i koleżanki też możesz być spokojna. A coś ty taka pobożna?

- Jak to się mówi... gdy trwoga, to do Boga - wypaliła wnuczka i mocniej wcisnęła się w fotel.

Po wejściu na peron Pola w pierwszej kolejności rozejrzała się za toaletą, wolała nie ufać zbyt nierozdręganemu żołądkowi. A kiedy wreszcie wyszła, usłyszała zapowiedź pociągu Aurelii.

- Ciekawa jestem, jak ta twoja koleżanka wygląda - rzuciła babcia, drepcząc szybkimi krokami obok wnuczki.

- Sama jestem ciekawa, babciu.

Aurelia była bowiem zdania, że imaż człowieka powinien być zawsze dostosowany do sytuacji, dlatego Pola musiała bardzo uważnie lustrować wysiadające na peron osoby. I w końcu, gdyby to nie Aurelia do nich

podeszła, przyjaciółka z całą pewnością by jej w tym ludzkim mrowiu nie poznała.

– Wreszcie! – wrzasnęła swoim zwyczajem bez powitania. – Już myślałam, że te tory nigdy się nie skończą.

– I się nie skończyły, lecą dalej – odparła babcia.

– Aurelia jestem – dygnęła Aurelia jak kto głupi.

– Nigdy bym się nie domyśliła. – Pola demonstracyjnie zmierzyła przyjaciółkę z góry na dół.

– No ja myślę, że się odziałam adekwatnie do miejsca i misji...

Dziewczyna miała na sobie mocno przechodzone rybaczkowe moro, szarą koszulkę z wizerunkiem tygrysa, jej skroń zaś oplatał warkocz na ludową modłę. Komplet wieńczyły drogie, nowiutkie, markowe trampki.

– Na środek lokomocji nie żałowałam – wyjaśniła, podążając za wzrokiem przyjaciółki.

– I słusznie – skomentowała babcia. – Bo siedzieć na dupach nie będziemy...

– À propos, w aucie siadasz z przodu. – To nie była propozycja podyktowana przez Polę uprzejmością. To było polecenie.

– Jasne!

Zgodnie z przewidywaniem Poli, jeśli jazda babcinym stuningowanym rzęchem zrobiła na Aurelii wrażenie, to wyłącznie zachwytu.

– Ja cię, ale czad! – komentowała od czasu do czasu babcine popisy, co ewidentnie staruszce dodawało polotu.

* * *

Aurelia jak zawsze była w swoich działaniach bezkonkurencyjna. Obeszła, a w zasadzie obiegła całe ranczo babci, oglądając wszystko w każdym szczególe, próbowała nawet niedojrzałych owoców z drzew w sadzie. Polę bezceremonialność przyjaciółki jednocześnie irytowała i wprawiała w zazdrość, bo dziewczyna czasem chciałaby mieć w sobie choć trochę jej spontaniczności i odwagi. Oczywiście przy okazji odkryła w stodole motor i chciała go natychmiast dosiąść, podobnie jak leciwego konia babci.

– Motor i owszem, koń nie – zareagowała na jej entuzjazm staruszka. – Ale to nie teraz jeszcze. Najpierw coś zjemy.

Przy obiedzie Aurelii nie zamykała się twarz, zasypywała babcię pytaniami, które rodziły kolejne pytania, i zrobił się z tego wywiad rzeka.

– A teraz niech pani zdradzi, co to za tajna misja, dla której tu jestem – przeszła w końcu do czegoś, co stało się dla Poli interesujące.

Babcia wstała od stołu i przyniosła stertę jakichś papierów i map.

– Tu jest wszystko. Ale oczywiście nie musisz tego czytać, chyba że zechcesz. Ja ci z grubsza streszczę. No, chyba że chciałabyś odpocząć po podróży...

– No chyba pani żartuje! Sześć godzin beczynnego siedzenia na dupie...

– Otóż... Powiem wprost: paru kolesi, politycznych urzędasów, poważało się zrobić tu niezły przekręt. Dopóki okradają się między sobą albo wyzyskują innych, podobnych sobie idiotów – pół biedy. Ale gdy chodzi o rabowanie naturalnych zasobów przyrodniczych, nie popuszczę. Już od trzech miesięcy walczę o sprawę, ale na razie tylko krwi im napsułam, nic więcej.

– Dobrze i to – pochwaliła Aurelia. – Przynajmniej na początek.

– No właśnie, na początek. Słusznie gadasz, dziewucho.

– Jeśli widzi pani tu dla mnie jakąś rolę, chętnie pomogę, Pola też, choć pewnie jeszcze nie zdaje sobie z tego sprawy.

– Zdaję sobie – zaoponowała Pola. – Powiedz tylko, babciu, konkretnie, o co chodzi.

– Chcą wyciąć las. Kawał lasu, starych sosen, świerków, dębów szypułkowych. Przepędzić leśną zwierzynę, zalać wszystko betonem i zasmrodzić całą okolicę.

– Betonem? A po co? I po co zasmrodzić? – dopytała Aurelia.

– Tak w przenośni mówię. Mają zamiar na miejscu tego lasu wybudować fabrykę i osiedle domków fińskich. Wyobrażasz to sobie?

– Muszą akurat w lesie? – zdziwiła się Pola. – Przecież jest tu od cholery gołych terenów.

- No właśnie. Choć osobiście w ogóle nie jestem za tą fabryką, gdziekolwiek by ją postavili, bo to też jest przekręt sam w sobie. Będą produkować akumulatory do ekologicznych aut kosztem ekologii. Że już nie wspomnę, jaki to absurd, bo ile to trzeba prądu naprodukować i świata zasmrodzić spalaniem węgla, żeby ten badziew ładować... Gdzie tu korzyść dla naszej ziemi? A potem zaludnią te domki przyjezdnymi nie wiadomo skąd, zaraz potem powstaną markety, bo to się przecież nażreć musi cywilizowanego jedzenia z emulgatorami, stacje benzynowe, bo dupska trzeba autami wozić, jak się narozmnażają, to oczywiście przedszkola i szkoły, a gdy to z kolei podrośnie, trzeba im będzie dyskoteki wybudować, kluby nocne...

- Izby wytrzeźwień, zakłady poprawcze - poleciała Aurelia.

- Chryste Panie, jaka wizja... - jęknęła Pola.

- A co ty myślisz? - ofuknęła ją przyjaciółka. - Tak to właśnie działa, myśmy ci tylko nakreśliły cały proces w pigułce...

Babcia spojrzała na Aurelię z mieszaniną podziwu i nieufności.

- Naprawdę tak uważasz? - spytała.

- No pewnie. To oczywiste, że jedno pociąga za sobą drugie.

- Zgadza się - przytaknęła babcia.

- Ale co my...

- Najpierw musicie zobaczyć, o czym mowa, żeby nabrać motywacji do działania.

- Więc na co czekamy? - spytała Aurelia.

- Myślałam, że zrobimy to jutro rano... - skonsternowała się nieco babcia, pewnie tym, że ktoś może mieć szybsze tempo od niej. - Ale jasne, możemy ruszać już teraz.

- Domyślam się, że mamy obejrzeć ten nieszczęsny las. Daleko to?

- Kawałek, na piechotę nie pójdziemy.

Aurelia zerwała się od stołu.

- Motorem!

- Autem.

- No oczywiście, że autem - odetchnęła z ulgą Pola, na co babcia natychmiast zmieniła zdanie.

- No dobra, może być motorem. Ale ja prowadzę.

Maszyna rzeczywiście była na chodzie, odpaliła, jak to się mówi, od kopa. Pani Carmen zdecydowała, że Aurelia usiądzie na tylnym siedzeniu, wnuczka zaś w przyczepie.

- Nie mam kasków - uprzedziła babcia. - Ale mnie tutaj żaden niedorobiony glina nie podskoczy.

Dokładnie w tym momencie Aurelia wyjęła spod sterty siana niebieski hełm z napisem MO.

- Jak to nie ma? O, jest jeszcze jeden!

- A, niech tam. - Babcia machnęła ręką, otrzepała nakrycie głowy z źdźbeł, pajęczyny oraz kurzu i nałożyła je na głowę. Aurelia zrobiła to samo.

- Dla ciebie nie ma - rzuciła w stronę wnuczki.

Motor ryczał jak smok, prychał i włókł za sobą gęstą smugę spalin, ale jechał. Na kierowcach z rzadka spotykanych na drodze aut nie robił żadnego wrażenia, Pola pomyślała więc, że to miejscowi, którym ten widok musiał nie być obcy.

- A niech ich skurczybyków pieprzem przeczyści! - wrzasnęła staruszka, przekrzykując towarzyszące im odgłosy.

Pola nie zdążyła spytać kogo, zaraz bowiem dostrzegła przód policyjnego radiowozu, wystającego z przydrożnych krzaków. Chwilę potem pokazał się funkcjonariusz z lizakiem.

Babcia zatrzymała się tak blisko niego i tak gwałtownie, że chłopak zmuszony był uskoczyć w tył, omal nie wpadając do rowu.

- Ha! - krzyknęła pani Carmen. - Śledzisz mnie, ptysiu, co? Ten stary dureń, twój szef, ci kazał?

- Nie... śledzę... Ru... rutynowa kontrola - odparł i spojrzał za siebie.

- A ty co, na tajnej misji? - krzyknęła kobieta w tamtą stronę. - Wyłaż, Heniek, i stań oko w oko z rzeczywistością!

Po chwili wyłonił się z krzaków kolejny policjant, starszy i o wiele grubszy.

– Za potrzebą byłem – wyjaśnił, raczej niezbyt szczerze.

– No ba! Jasne, że za potrzebą, ale nie wiem, czy wiesz, że jak pies oszczy drzewo, to ono uschnie. Każdy ogrodnik i każdy leśnik ci to powie.

– Pani Carmen, bez chamstwa proszę – odparł urażony funkcjonariusz.

– Bo?

– Bo... nie wypada.

– A wysługiwać się nieopierzonym młokosem wypada? Napuszczają na starszą niewiastę i chować się za jego plecami?

– To ru... rutynowa kontrola – powtórzył młody, siląc się na postawę godną stróża prawa.

– No to kontroluj, ale szybko, bo czasu nie mamy, zaraz się ściemni.

– Pa... ani mi nie będzie mówiła, co mam robić i jak. Jedna z osób nie posiada kasku.

– Posiada, ale nam nie pasuje do imażu. A kobiety wrażliwe na tym punkcie są i jak chodzi o wizerunek, wszystko musi być tip-top.

– Ale prawo jest prawem – poparł młodszego starszy.

– Serio, Heniu? – Babcia napała na niego swoim mikrym biustem. – Bo chyba oboje wiemy, o czym mowa?

– Dokumenty pro... oszę. – Młodszy wysunął się na czoło. – Mandat będzie, trzysta złotych. Iiiii... może jeszcze sprawa, za znieważenie? – Spojrzał pytająco na starszego kolegę.

I tu stało się coś zaskakującego. Babcia zaprezentowała tuż pod nosem starszego policjanta wyraźne, niebudzące wątpliwości „fuck you”, a ten... odpuścił...

– Poucz panie – zasugerował. – I niech jada.

– Ale że bez... bez...

– Bez kasku. Następnym razem im się nie upiecze – uspokoił podwładnego.

Las, który postanowiła zaprezentować kobietom babcia jako żywy dowód bezceństwa miejscowej władzy, rzeczywiście był bardzo piękny. Wręcz... magiczny. Pewnie przez półmrok, bo gęsto rosnące wysokie drzewa nie dopuszczały zbyt wiele światła słonecznego. Gruba warstwa mchu tłumiała odgłosy kroków, było tu niepokojąco cicho.

- Niesamowicie - szepnęła Pola. - Żyje tu coś w ogóle?

- No ba! Sarny, jelenie, zające, króliki, jeże, cała masa ptactwa - odparła babcia również szeptem. - Żaby, jaszczurki, w tym bardzo rzadkie gatunki, zaskrońce, że już nie wspomnę o unikatowej roślinności. I grzybach.

- Unikatowych? - spytała Aurelia.

- Nie, normalnych. Uwielbiam zbierać grzyby, a potem je przerabiać, smażyć, suszyć, marynować... Musicie spróbować koniecznie, takie marynowane do mojego bimberku to po prostu rarytas. Patrzcie tam! - Babcia wskazała w stronę wyłaniającej się zza drzew niewielkiej polanki.

- O kurde, sarenki, jakie słodziaki! - zachwyciła się Aurelia.

- Jelonki - sprostowała babcia. - I łania. Chodźcie dalej...

Na skraju polanki w wysokiej trawie uwite było coś w rodzaju gniazda, wyścielonego kłaczkami szarego futra. Puste.

- Tu mieszkają małe zające, jest ich pięć. Ale takich gniazd jest więcej, możecie mi uwierzyć na słowo, znam tu każdy metr kwadratowy.

- A... gdzie są? Chyba nic ich nie pożarło? - spytała przejęta Aurelia.

- Pewnie, że nie. Są już na tyle spore, że w ciągu dnia łążą sobie z matką tu i tam, wracają tu tylko nocą na mleko. Bo zajęczyca karmi młode tylko nocą.

- Szkoda, że ich teraz nie ma, na pewno są cudne...

- Wszystko tu jest cudne - mruknęła babcia. - Malutkie jeżyki, ptaszki w gniazdach, wiewióreczki w dziuplach, płazy, a nawet gady. Jak będziemy miały szczęście, to przedstawię wam jeszcze kilku lokatorów. Tylko... ludzie są wredne. Tak sobie czynią ziemię poddaną, taranem, walcem, piłą, a wszystko dla kasy. Chyba nie o to chodziło temu, co to

wszystko stworzył. Mam nawet taki koncept, że to durne ludzkie nasienie już gdzieś w kosmosie takich spustoszeń narobiło i dlatego zostało zesłane tutaj. Za karę.

– Wyżarło wszystkie jabłka – ruszyła konceptem Aurelia.

– Jakie jabłka? – spytała Pola, nie od razu łapiąc, o co chodzi.

– No... w raju...

– Za same jabłka by im się aż tak nie oberwało – zauważyła babcia. – Musieli zdewastować wszystko jak leci. A tu mieli się nauczyć rozumu, ale gdzie tam! Pazerne szuje.

– Szuje – przytaknęła Aurelia.

– Wracajmy, może jeszcze po drodze coś mi się wam uda pokazać. Tak czy inaczej, patrzcie uważnie pod nogi, każdy robak i glizda, każda roślinka jest tu u siebie. I ma do tego lasu większe prawo niż durny Baran i jego przydupasy.

– A te przydupasy to kto? – spytała Pola.

– Dwóch już poznałaś. Przewodniczącą rady gminy, w której siedzą identyczne kreatury, różnią się tylko wiekiem i płcią, oraz radnego Adasia w duecie z mamusią. Jest też sołtys Zaciąża, rada sołecka, policja, ksiądz, a nawet nauczyciele naszej małej szkółki.

– T a policja?

– Ta sama. Jak widzisz, nie mają nic lepszego do roboty, tylko czyhać na moje potknięcia.

– O Boże, a co to tam takie dziwne? – zaczęła Aurelia krzykiem, by koniec pytania zniżyć do szeptu.

– Traszka. Taka jaszczurka. Nigdy nie widziałaś? No pewnie, że nie – odpowiedziała sama sobie babcia. – W końcu do ciebie do sklepu nie przychodzą.

– Przychodzą pająki – rzuciła Pola. – A ona je hoduje jako arsenał zaczepno-obronny.

– Serio? – Staruszka zatrzymała się nagle, by spojrzeć Aurelii w twarz.

– Nie... niezupełnie, ale owszem, jeden był. I pewnie nadal jest, o ile go Dziunia nie uśmierciła.

- Ładnie z twojej strony, że nie zrobiłaś mu krzywdy. Bo każde, najmniejsze nawet stworzenie ma swoją ważną rolę na tym świecie. Pająk też.

Kiedy kobiety doszły do pozostawionego u wejścia do lasu motoru, Pola nie mogła się oprzeć i nie spytać dociekliwiej o zajście z policją.

- Dziwne to było, że nam tak odpuścili. Ta policja, co nie?

- Tak to mogło wyglądać - przytwardziła babcia. - Ale nie było. Bo są takie rzeczy, które Heniek wolałby zostawić między nami, i wystarczy mu to tylko uświadomić.

- Ma pani na niego jakieś haki?

- Nie lubię tego słowa. - Babcia się zaśmiała. - Jest zbyt... wyświechtane. Powiedziałabym raczej, że jestem w posiadaniu pewnej wiedzy, a on zrobiłby naprawdę wiele, żeby ona tego stanu posiadania nie zmieniła.

ROZDZIAŁ VI

Medycyna niekonwencjonalna: hit czy kit?

Bo pani działa raczej chaotycznie – zebrała się na odwagę Aurelia po trzecim kieliszku „bimberku pod marynowane grzybki”.

– A jak mam działać, kiedy jestem sama? Przecież nie porozstawiam się na boki, raz jestem tu, raz tam.

– Same zadymy nie wystarczą.

– I ja o tym świetnie wiem. – Babcia chyba poczuła się lekko urażona.

– Zazwyczaj wystarczały, ale nie w tej sprawie. Za duża przewaga sił i na zbyt wysokich szczeblach. Normalnie, sam na sam, albo i nawet w kilku nikt mi do tej pory nie podskoczył. Jak cel był słuszny i prawy, on sam mi za całe prawo wystarczył. W pojedynkę wytropię każdego kłusownika i sprawię, że już nigdy się na taki proceder nie poważy, załatwię skutecznie wandala, znęcającego się nad rodziną pijanicę, wyprostuję źle rokującego młodzianka. Uciszę plotkarę, ukroczę oszustwo i zaprzaństwo...

– ...ruję i porubstwo – dodała Aurelia.

– Dokładnie – podchwyciła babcia. – Ale ta sprawa to grubszy kaliber.

– Właśnie – poparła ją Pola, która znając swoje możliwości, nieco oszukiwała w picciu. – Pająkiem nic tu nie wskórasz.

– Pająkiem może nie...

– Zającem też nie – weszła jej w słowo Pola.

– No raczej. Ale taką na przykład zmiją już bym mogła.

– Ciekawe, komu ją podrzucisz?

– Komukolwiek z tej szajki. A potem wysłę anonim, że jak się nie uspokoi, mam ich sporo w zapasie.

– Głupia jesteś – skrytykowała pomysł Pola.

– Owszem – przytaknęła babcia. – Gadziny dręczyć nie będziemy. Bezbronnej w każdym razie.

– A są tu jakieś niebezbronne?

– Wilki. Ale weź mu powiedz, żeby poszedł uzreć wójta.

– No nie... nie... Trzeba będzie inaczej. Zrobimy burzę mózgów. Da pani coś do pisania...

– Pierwsze primo... – zaczęła Aurelia, wbiła oczy w sufit i pozostała tak na tyle długo, że babcia straciła cierpliwość i zabrała jej długopis.

– Pierwsze primo, trzeba ustalić wszystkie przystanki drogi krzyżowej, czyli dokąd i do kogo się udać, czym go potraktować, śledzić wszystkie dotyczące sprawy spotkania na szczycie i szczytku, obmyślić, jak im je popsuć.

– No dobra, babciu, a próbowałaś może normalnie? – doznała olśnienia Pola.

– Czyli jak?

– No... Pisać pisma na przykład do właściwych organów, załatwić jakieś ekspertyzy, że ten las powinien być chroniony ze względu na unikatowe te... żyjątka i porośla. Była gdzieś taka afera, że zdaje się przez same żaby udaremniiono budowę autostrady...

– Nie przez żaby, tylko ogółem był to teren chroniony z uwagi na całokształt fauny i flory. Mówisz o dolinie Rospudy chyba.

– O tak, Rospudy!

– W moim lesie aż takich cudów nie ma. Czy nie próbowałam? Jasne, że tak. Zawsze, w każdej sprawie zaczynam od chwytów dozwolonych. Ale oni na wszystko mają odpowiedź, tak obracają kota ogonem, że ich „za” jest o wiele ważniejsze niż moje „przeciw”.

– Czyli?

– Mówiłam wam, rynek pracy. Rejon jest tu ubogi, nawet turystyki nie ma, bo do czego? Samo świeże powietrze nie wystarczy. Ludzie żyją

biednie, młodzi uciekają do miast...

– No to... chyba jest w tym jakaś pozorna logika, żeby taki rynek stworzyć.

– A po cholere? – zaperzyła się babcia. – Chcą, niech uciekają. I tak by uciekali, bo dla nich zarobić na chleb to za mało.

– Więc o co tak naprawdę chodzi?

– Jak to o co? O kasę. Nie dość, że sprzedadzą kawał terenu i każdy coś tam szarpnie dla siebie, sprzedadzą drzewo, zaczną się przetargi na różne roboty, ilu się przy tym ustawi! Tu nie Warszawa, władza nawet kraść nie ma co, kadencja się może skończyć i dupa, wracaj, skąd żeś przyszedł. A przecież fajnie by było odłożyć coś na boku na taki wypadek.

– No raczej... chyp! – czknęła Aurelia, która przy picciu nie oszukiwała.

– I my im to, kurde blaszka w mordę kataryniarza jedyne, udaremnimy! – Babcia wzniosła w górę ostatni kieliszek.

– Na pohybel! – wrzasnęła Aurelia, stukając się z babcią.

– Ty... – szepnęła Pola, która mimo oszczędzania się nie ustępowała przyjaciółce stanem upojenia, gdyż zwyczajnie miała słabszą głowę – co to jest pohybel?

* * *

– A niech to szlag najjaśniejszy! – krzyknęła Aurelia po odczytaniu SMS-a.

– No, to się wszystko rypnie, na całej linii!

– Co takiego? – zapytała Pola, pijąca już trzeci kubek kwaśnego mleka.

– Myślisz, że ci się polepszy? – zapytała przyjaciółka zamiast odpowiedzi.

– Babcia mówiła, że tak. Zresztą już mi się trochę polepszyło. Gadaj lepiej, co tam dostałaś i co się rypnie?

Pytanie w dalszym ciągu pozostawało zignorowane, Aurelia bowiem natychmiast wdała się w dyskurs z panią Carmen, dziwując się niewspółmiernemu kacowi Poli do wypitego trunku.

– Flaszka na trzy i taki dramat?

Trzy kieliszki – skorygowała w myślach Pola.

- Geny po matce. Ta zawsze miała wszystko inaczej niż ja - wyjaśniła babcia.

- Ale matka wcale nie pije - zaproponowała Pola.

- No przecież mówię. A ty niby taka do mnie podobna...

- Ja myślę, że Pola ma taki czysto psychiczny opór, który da się przełamać - zdiagnozowała Aurelia. - Ale obawiam się, że może mieć ich więcej, w myśl wykreowanego przez matkę obrazu świata i jej subiektywnego pojęcia dobra i zła. Ej, a co ty sądzisz o seksie?

- Cccc... co? - Pola niemal nie wylała na siebie kolejnego kubka mleka.

- Nigdy się nie zapędzałyśmy w takie tematy, a na każdy mój tekst w tym kierunku oblewałaś się purpurą.

- Niczym się nie oblewałam! Nie uważam po prostu, żeby to był temat do swobodnego roztrząsania gdzie i kiedy popadnie.

- Przegięłaś. Gdzie popadnie ja też nigdy nie roztrząsałam.

- Owszem. W pracy.

- A co, powinnam cię na taką rozmowę zaprosić w jakieś szczególne miejsce? Na przykład do filharmonii?

- Jezuu! Babciu, powiedz jej coś, bo... bo...

- Owszem, powiem. Jestem przekonana, że dla jej matki to był i jest temat tabu i nigdy w życiu o tym z Polą nie rozmawiała. Tylko dlatego jej nie wpoila, że seks jest zły albo raczej że takie zjawisko w ogóle między ludźmi nie zachodzi.

- O! No właśnie! Nie zachodzi! - podłapała Aurelia, na co Pola sprzedała jej pod stołem solidnego kopniaka, obawiała się bowiem, że przyjaciółka wyskoczy teraz z jej z koncepcją poczęcia z próbówki.

- Powiesz wreszcie, co to za bulwersująca wiadomość do ciebie przysłała? - Motyw do zmiany tematu był dokładnie w sam raz.

- O, kurde, już prawie zapomniałam... Od Dziuni! Zapodziała klucze od butiku i ma zamiar wpaść wieczorem po moje.

- Tutaj? - zdziwiła się babcia.

- Nie, do mnie do domu, gdzie leżę powalona grypą i kuruję się na zasłużonym L4.

– Dzwoni do mamy, niech jej jakoś poda...

– Też bym na to wpadła – strzeliła fochem Aurelia. – Gdyby nie drobny fakt, że mam je przy sobie.

– O, w mordę... A co, nagle jej się osobiście handlować zachciało?

– Może? Albo potrzebuje coś stamtąd?

– Wyślemy klucze pocztą. – Babcia szybko zorientowała się w temacie, który nie był jej wcześniej znany.

– Pójdą parę dni. O ile nie zginą po drodze... Wyjście jest tylko jedno, a w zasadzie dwa...

– No?

– Albo jej osobiście zawiozę, albo ona tu po nie osobiście przyjedzie.

– Zwariowałaś. I po co ty je tu zabrałaś w ogóle?

– Bo ja wiem? Zawsze mam je w torebce. A... twoje?

Pola odwróciła wzrok i nie skomentowała, bo przyjaciółka sama sobie odpowiedziała.

– Też masz w torebce...

– Dawaj. – Babcia wyciągnęła rękę po telefon Aurelii, ona zaś bez protestu go jej oddała.

Kobieta znalazła SMS-a i wybrała numer nadawcy.

– Nie, ja nie jestem Aurelia – rzuciła w słuchawkę, gdy Dziunia odebrała. – Ale dzwonię w jej imieniu, bo ona nie może. Chora jest. Okazuje się, że to coś gorszego niż grypa, właściwie nawet nie wiadomo co, dlatego zdecydowała się na medycynę niekonwencjonalną i pojechała do znachorki. Nie ma jej w domu ani w mieście.

Pola złapała się za głowę, Aurelia zaś wyrwała babci telefon na ułamek sekundy i nacisnęła na ikonkę głośnika.

– Boże, ale to jest straszne! Okropne! Czy to jest zaraźliwe, wogle? – dał się słyszeć histeryczny głos Dziuni.

– Nie, jest groźne tylko dla chorego, na otoczenie się nie przenosi.

– To dobrze, dobrze – odetchnęła Dziunia. – A daleko ta znachorka?

– Od pani? Jakies pięćset kilometrów.

– Nie!

– Tak.

– To jakbym... chciała przyjechać, pojedę jakies...

– Autem? Z sześć godzin. Do ośmiu, w zależności od warunków na drodze. – Babcia chyba próbowała ją zniechęcić.

– Okej, więc będę jutro późnym popołudniem. Długo trzeba czekać?

– Na klucze? Nie, bierze pani po prostu i może natychmiast wracać.

– E tam, klucze nie zając. Na wizytę.

– Słucham?

– U tej znachorki. Skoro Aurelia się zdecydowała, to naprawdę musi być ktoś sprawdzony, bo ona kompletnie nie wierzy w takie rzeczy. I ja bym się też zdecydowała. Mam taki... hmm... problem, gdzie normalni lekarze rozkładają ręce...

– Lekarze zawsze trzymają rozłożone, dopóki im się w nie coś nie włoży – palnęła babcia.

– To nie jest kwestia pieniędzy. Tylko możliwości.

– Myśli pani, że znachorka ma większe?

– Może... raczej... szersze.

– No pięknie, babciu, właśnie sprowadziłaś nam na łby szefową, która zepsuje nam cały pobyt tutaj – rzuciła Pola pretensją po zakończonej rozmowie.

– Nie zdąży, pobędzie tu raptem pół dnia – broniła się kobieta, mimo że wyraźnie czuła się winna tej sytuacji.

– Jej wystarczy pięć minut.

– Bo?

– Bo... bo ona taka jest. Po prostu brakuje jej kilku połączeń nerwowych.

– Jakich... połączeń?

– Z mózgiem. I to jest piekielnie męczące. Poza tym zawsze są jakieś perturbacje potem.

– Dam sobie z nią radę. Trudno.

– Będzie pani robiła za znachorkę? – spytała Aurelia.

– A skąd, jest tu taka jedna pod lasem. Szeptunka. Tam ją zawieziemy.

- O kurczę, nie sądziłam, że zdarzają się jeszcze takie rzeczy...
- No pewnie, że się zdarzają. Zwłaszcza tutaj. I mają się całkiem nieźle.
- Chodziłaś do niej? – spytała Pola, nie bardzo umiejac sobie to wyobrazić.
- Owszem, ale nie w charakterze klientki. Raczej służbowo, ale to dawno było.
- Milicja tępiła zabobon, co?
- Przeciwnie. Sama tam chadzała ukradkiem. Ja kobiecie kiedyś w czymś pomogłam i tyle. Ma u mnie dług wdzięczności.
- A kto nie ma? – Wnuczka się zaśmiała.
- Nie znajdziesz takiego ani w bliższej, ani w dalszej okolicy.
- I nie da się tego wykorzystać do sprawy lasu? Ci ludzie nie staną po twojej stronie?
- Powiem tak: to skomplikowane. Jak ludzkie sumienie i poczucie przyzwoitości. Ale pytałaś wczoraj, czy próbowałam normalnie. Otóż słałam pisma do nadleśnictwa, do budownictwa, architektury i ochrony środowiska. I oczywiście do wójta Barana, z pytaniem, czy zasięgnął opinii ekspertów od przyrody. Nie pofatygował się z odpowiedzią.
- I w ogóle nic?
- No tak bym tego nie ujęła, ale skutek żaden. Nadleśnictwo jest wycince przeciwne, skierowało w tej sprawie pismo do Regionalnej Dyrekcji Lasów Państwowych, która również zaopiniowała pomysł wójta negatywnie, wskazała nawet inną lokalizację dla wójtowego interesu.
- I co?
- Ale ochrona środowiska nie ma nic przeciwko, wymyślili, że w tym miejscu nie mają czego chronić. Drzewa jak drzewa, jak las, ot, nic wartego ich fatygi. Choć na oczy go nie widzieli, oparli się wyłącznie na opinii Barana.
- Podejrzane.
- Przeciwnie. Jasne jak słońce – ktoś z nich również ma w tym po prostu swój interes. Sprawa więc trafi do Ministerstwa Środowiska i tam się rozstrzygnie. Ale zanim do tego dojdzie, muszę postawić wszystkie

szable na sztorc, wykorzystając każdą możliwość, bo jak już tamci klepną, nie będzie uproś. Przyszedł więc czas na naprawdę poważną zadymę, ale jak mówię, mnie jednej na to za mało.

– A... ma pani jakiś plan? – spytała Aurelia.

– Posłużę się klasyką: najbardziej upierdliwe media, ekspertyzy terenu, okres lęgowy ptaków, który akurat zbiegnie się z początkiem wycinki. W międzyczasie przemyślę, co na kogo mam i jak tego użyć.

– Faktycznie, klasyka. Super.

– Co super?

– Zawsze chciałam się włączyć w jakąś wielką medialną sprawę i walczyć o słuszną sprawę. Już w gimnazjum należałam do komitetu strajkowego, jak chcieli zamknąć sklepik. Pamiętacie? Była taka afera, że sklepiki szkolne szerzą niezdrową żywność: chipsy, słodycze, kolorowe napoje i takie tam.... Zorganizowałam go osobiście.

– I co?

– Nie zamknęli.

– Dzięki tobie?

– E tam. Sklepkara miała jakieś chody i sama się wybroniła, ale do końca gimnazjum miałam codziennie gumę do żucia za darmo.

– Zajebicie – mruknęła Pola z przekąsem. – U babci będziesz miała do końca życia bimbru pod dostatkiem.

– Jezu, dzwonię do Dziuni! – Aurelia nagle zerwała się na równe nogi. – Gieniu! Niech przywiezie Gienia!

– Ma przyjechać po bimber? Tak od razu?

Pola zazwyczaj nie nadążała za tempem myślenia przyjaciółki, ale mało kto nadążał.

– Kto to jest Gieniu? – spytała babcia.

– Jej narzeczony.

– No pewnie, niech przyjeżdża. Miejsca jest dosyć.

– A nie boisz się o niego? Jak spędzi parę godzin z Dziunią w aucie, nic już potem może nie być takie samo... Mózg mu się zlasuje.

– Gieniowi? Nic się nie zlasuje, on jest odporny na wszystko.

– Fakt. – Pola spojrzała na przyjaciółkę wymownie.

– No weź przestań! On się nam tu przyda jak nic. Sama pani Carmen mówi, że im więcej rąk na pokładzie, tym lepiej.

– Dokładnie – przyznała jej rację babcia. – A może tę Dziunię też się uda do czegoś wykorzystać? Ładna jest?

– Nie wiadomo – odpowiedziała jej Aurelia.

– Jak to?

– Nikt nie wie, jak Dziunia wygląda naprawdę. Jest zoperowana od stóp do głów.

– A jak wygląda aktualnie?

– Jak manekin. Nawet ktoś ją kiedyś w butiku pomylił i kazał sobie podać sukienkę, którą miała na sobie.

– Przesadzasz. – Pola postanowiła oddać szefowej sprawiedliwość. – Ktoś chciał po prostu kupić taką samą sukienkę i wcale nie pomylił jej z manekinem. Świetnie to pamiętam. A Dziuni nie da się wykorzystać – zwróciła się do babci. – Ona jest kompletnie niesterowalna.

– Każdy jest – oznajmiła babcia. – Trzeba tylko podejść do sprawy bardzo indywidualnie.

* * *

– Nie możesz wyglądać tak kwitnąco. – Pola spojrzała krytycznym wzrokiem na pałaszującą z entuzjazmem tak zwanego kartoflaka przyjaciółkę.

Było to coś w rodzaju ogromnego placka ziemniaczanego, pieczonego na blasze w piekarniku. Na Poli nie zrobił aż takiego wrażenia, bo już go próbowała.

Aurelia znieruchomiła na chwilę.

– Bo?

– Dziunia jedzie, będzie tu lada moment, a ty jesteś podobno bardzo chora.

– Dobra, daj mi chwilę, skończę jeść...

- A ja muszę zadzwonić do Aiszy i uprzedzić, że wpadniemy. - Pani Carmen wstała od stołu i zaczęła rozglądać się za swoją komórką.

- Tak ma na imię znachorka? - spytała Aurelia.

- To ona ma telefon? - zdziwiła się Pola.

- Owszem - odparła babcia. - Oraz laptopa i własną stronę w internecie. A na imię ma Iwona, Aisza to jej pseudonim artystyczny.

- Kurczę, wszystko idzie z postępem, nawet zabobon - skomentowała Aurelia i ruszyła do zajmowanego przez przyjaciółki pokoju.

- Dajcie mi chwilę - rzuciła i zniknęła za drzwiami.

Pola zabrała się do sprzątanania po obiedzie, babcia zaś wyszła do sieni i konferowała przez telefon.

- Możemy wpadać o każdej porze - oznajmiła po powrocie. - Daj, powycieram. - Wyrwała jej z dłoni umyty garnek. - Będzie prędzej.

- Dziunia będzie tu minimum za dwie godziny, nie ma co szaleć.

- Szaleć może nie, ale trzeba się jakoś strategicznie przygotować.

Jakby dla zilustrowania jej słów w kuchni pojawiła się „strategicznie przygotowana Aurelia”. Pola omal nie udławiła się śmiechem.

- Wy... wyglądasz jak z rodziny Adamsów - wykrztusiła.

Przyjaciółka miała upiornie bladą twarz, rozległe cienie pod oczami, zmierzwione włosy, a dla uzupełnienia stylówki wrzuciła na siebie czarną koszulkę, tak wielką, że wystarczyła za sukienkę. Z trupią czaszką zajmującą niemal cały przód.

- No co? Dziunia na pewno się nabierze - odparła Aurelia z urazą w głosie.

- Też tak sądzę, ale z tą trupią czachą przesadziłaś. Że co to niby ma być?

- Symbol śmierci. A ja jestem śmiertelnie chora.

- Nikt nie powiedział, że śmiertelnie. Mam rację, babciu?

- No... śmiertelnie to nie, na jakąś tajemniczą dolegliwość. Ale moim zdaniem możesz tak zostać. Robisz wrażenie. Usta jeszcze pomaluj sobie na sino. - Babcia puściła oko do Poli.

- Ano robisz... Zobacz, czy tam Dziunia czegoś nowego nie napisała.

– Serio? – Aurelia spojrzała na panią Carmen. – Dobra, zrobię te usta, cieniem do powiek. A Dziunia nie pisała. Kurczę, chyba zaczynam się denerwować...

– No nie mów... To do ciebie niepodobne – mruknęła Pola. – Ale do mnie też nie, bo chyba świetnie się bawię.

– Ewoluujesz – skomentowała przyjaciółka. – I bardzo dobrze, zawsze mówiłam, że masz niezłe rokowania.

– Na wariatkę? – Pola szybko ugryzła się w język.

– Spokojnie. – Pani Carmen w lot zrozumiała, skąd ta konsternacja. – Dla mnie to określenie ma całkiem inną definicję niż dla reszty świata. Zmieniając temat: zamiast wpatrywać się na zmianę w okno i w telefon, opatrzymy teraz gadzinę, bo nie wiadomo, ile czasu zajmie nam leczenie Dziuni.

– Ciekawe, co jej dolega? – zainteresowała się Pola. – W życiu bym nie podejrzewała, że ma jakieś **fizyczne** problemy zdrowotne i że konwencjonalna medycyna nie daje z tym rady.

– Pewnie chirurg plastyczny nie chce jej już kroić, więc wymyśliła, że uda się do znachorki, a ta zrobi jakieś fiku-miku i załatwi sprawę.

– Przesadziłaś – skrzywiła się Pola. – Przecież Dziunia to wciąż jeszcze... w jakimś stopniu człowiek.

– Obie jesteście milusie – skomentowała babcia. – Ale zakładam, że nie są to złośliwości, tylko rzeczowe komentarze zaistniałych faktów.

– Dokładnie, nic innego – przytaknęła Aurelia i pierwsza ruszyła do roboty.

Zbliżał się wieczór, a Dziunia nie dzwoniła ani nie odbierała. Nie odbierał też Geniu, chłopak Aurelii, który miał przyjechać razem z nią. Wciąż jeszcze było widno i kobieta raczej nie pogubiła się w ciemnościach na nieoświetlonych miejscami drogach, tym bardziej więc sprawa robiła się niepokojąca. Dlatego gdy w pewnym momencie pod dom pani Carmen podjechał biały SUV, który na co dzień budził w dziewczynach raczej odrazę niż radość, dziś zdecydowanie to drugie uczucie zajęło miejsce pierwszego. Aurelia byłaby natychmiast wyskoczyła przed dom, ale

uświadomiona przez przyjaciółkę, że jest poważnie chora, wycofała się do pokoju.

– Ojej, to pani? – wrzasnęła Dziunia w emocjach na widok zmierzającej ku niej Carmen.

– Zależy, kogo pani ma na myśli – odparła babcia. – Tak czy inaczej, to właściwy adres.

– Gieniu, zabierz bagaże – kobieta wydała dyspozycję przez uchyloną szybę. – Oooo... a ty co tu robisz? – spytała, dostrzegając Polę.

– Spędzam wakacje. To jest moja babcia. – Dziewczyna dokonała szybkiej prezentacji.

– Pani jest znachorką?

– Nie. Znajomą znachorki. Zaraz do niej pojedziemy. Tylko...

Babcia spojrzała na mocno zarośniętego na twarzy dużego blondyna wlokącego za sobą ogromną walizę.

– ...tylko najpierw gdzieś panią ulokujemy.

– Już myślałam, że coś wam się stało – rzuciła w jego stronę pretensją Pola.

– A co się niby miało stać?

– Nie odbieraliście telefonów...

– Komórka mi padła – wyjaśnił Gieniu. – A Beatrycze wzięła inny aparat, bez waszych numerów. I w ogóle co za problem? Mieliśmy być i jesteśmy, no nie?

– Bea... – zamierzała się zdziwić Pola, ale szybko zajarzyła, że chodzi o szefową, która jakoś do tej pory miała na imię Beata. – Ale dobrze, że jesteście.

– Jak tu... baśniowo. – Dziunia rozglądała się po obejściu babci zafascynowana. – Tylko nie pamiętam z jakiej baśni...

– „O rybaku i złotej rybce” – podrzuciła Aurelia, która dosłyszała komentarz. Dziewczyna nie leżała w łóżku, jak było umówione, czekała przy stole w kuchni.

– Jezu Chryste! – wrzasnęła Dziunia na jej widok. – To na pewno nie jest zaraźliwe?

Gieniu, którego Aurelia nie mogła uprzedzić o swojej metamorfozie, stanął tuż za nią jak wryty.

– Banany są niedojrzałe – oznajmiła, a chłopak natychmiast odzyskał normalną giętkość ciała.

Pola domyśliła się, że było to jakieś ich hasło na specjalne okazje. Babcia, jako długoletni pracownik służb, również wpadła na to w lot i nie okazała najmniejszego zdziwienia.

– Rosną tu banany?

– Rosną, ale są niedojrzałe – odpowiedziała Dziuni pani Carmen. – Więc damy im na razie spokój. Proszę za mną, będzie pani dzieliła pokój z dziewczynami.

Dziunia chyba nie była zbyt przekonana do pozostawiania w tak bliskiej odległości z chorą Aurelią, ale po widocznej na twarzy walce samej z sobą ruszyła za babcią. Prowizoryczny nocleg przewidywał, że Pola i Aurelia będą spały w jednym łóżku, ich szefowa zajmie tymczasem drugie, Geniu zaś przenocuje w stodole na sianie.

– W tym domu nie ma łazienki, toalety ani bieżącej wody – wypaliła Pola, teraz cała szczęśliwa z tego powodu.

– Okej – odparła Dziunia ku jej wielkiemu rozczarowaniu.

– **Nie ma** łazienki, kibla ani kranów w ścianach. Wcale. Jest studnia i wychodek za domem. – Aurelia postanowiła wyłożyć jej to jaśniej.

– No przecież słyszę. – Dziunia wzruszyła ramionami. – Możemy jechać do tej znachorki?

– Dobrze. Pojedziemy pani autem, bo jest pod ręką – powiedziała babcia. – Was tam nie trzeba – zwróciła się do całej reszty, która już ochoczo poderwała się do wyjścia.

* * *

– Ona najwyraźniej nie zajarzyła, jakie są tu warunki – skonkludowała Aurelia, zupełnie samowolnie częstując swojego chłopaka aroniową nalewką babci.

- Na bank - przytwardziła Pola. - Ale może to i lepiej, cały ubaw będzie wówczas, gdy będzie się musiała przekonać w praktyce.

- Przesadzacie z tą niechęcią do Beatrycze. - Gieniu stanął w obronie ich szefowej.

Dziewczyny były zaskoczone, bo do tej pory znał ją głównie z opowiadań i te kilka godzin spędzonych razem w podróży, tak na logikę, powinno go raczej upewnić co do ich opinii na jej temat.

- A ty co? Wpadła ci w oko? - spytała Aurelia bez cienia zazdrości, bo przecież nie było o kogo.

- Jasne, że nie. Dobrze wiesz, że to nie mój typ, ani pod względem urody, ani osobowości. Nie oznacza to jednak, że nie ma żadnych pozytywów...

- Domyślam się, że je po drodze poznałeś? - Dziewczyna Gienia nie ustawała w złościwościach.

- Może inaczej. Miałem okazję zobaczyć w niej kogoś innego niż tylko waszą przełożoną.

- Super - burknęła Aurelia. - A wydawałoby się, że jesteś odporny na babskie gierki. Do tego akurat Dziuni inteligencji nie potrzeba, wystarczy płęć. Taki program, wiesz?

- No comment - odparł krótko Gieniu.

Zdaniem Poli ta para zaskakująco do siebie pasowała, mimo totalnych różnic w poglądach, ocenach, a czasem i postawach, potrafili się świetnie dogadywać dzięki podobnym temperamentom i otwartości na argumenty w spornych kwestiach.

- Nie, ja nie mogę - prychnęła Aurelia, która już nakręcała się na dalszy spór, ale właśnie wparowała do domu babcia z bohaterką całej dyskusji.

- Tak szybko? - zdziwiła się Pola. - Już po dolegliwości?

- Po diagnozie - uściśliła Dziunia. - Ale to i tak sporo, do tego czasu nikt mi nie powiedział tyłu konkretów.

Pola spojrzała na babcie, chcąc odczytać z jej twarzy choćby odrobinę ironii, ale jej tam nie znalazła.

- Okej, chyba trzeba będzie położyć się spać. - Staruszka uznała za stosowne pożegnać ten i wszelkie inne tematy dnia.

Pola, mająca z panią Carmen najdłuższy kontakt, pomyślała, że jest w tej powściągliwości coś dziwnego, ale nie pociągnęła tematu.

ROZDZIAŁ VII

Z pokojową wizytą

Ona się myje – wrzasnęła Aurelia wprost do ucha zaspanej Poli.

– Ccc... co? Jezu, o mało zawału nie dostałam!

– Chodź do kuchni, tam już dostaniesz na bank.

Pola wygramoliła się z łóżka i poczłapała na bosaka za przyjaciółką. W kuchni pochylona nad miską Dziunia, w samym tylko biustonoszu i majtkach, dokonywała porannych ablucji.

– Gdzie babcia? – spytała dziewczyna po to tylko, żeby cokolwiek powiedzieć, nic innego nie przyszło jej bowiem do głowy.

– Pojechała do sklepu po kawę i fajki – odparła kobieta, nie przerywając swoich czynności.

– Po co fajki? Pani Carmen przecież nie pali – zauważyła Aurelia.

– Nie? Wobec tego wczoraj właśnie zaczęła. Wykopiły ze znachorką całą paczkę.

– O kurczę – jęknęła Pola. – Widocznie wróciła do nałogu, bo z tego, co wiem, kiedyś jarała jak smok... Tylko czemu? Coś się stało?

– Nie zauważyłam. A jeśli już, to raczej nie twojej babci, tylko mnie.

– Coś... złego?

– Przeciwnie. I dlatego muszę tu zostać kilka dni.

– No to jednak się stało – sarknęła Aurelia.

– Otwórz drzwi – zażądała Dziunia i złapała za miskę.

Aurelia wykonała polecenie, a szefowa, tak jak stała, ruszyła ku wyjściu i chlusnęła całą zawartością przez próg.

– Możecie się myć. Jak chcecie – powiedziała, odkładając „umywalkę” na swoje miejsce.

– Będzie za mało wody na nas dwie. Możesz skorzystać pierwsza – zwróciła się Pola do przyjaciółki. – Ja dla siebie przyniosę.

– Nie trzeba, przyniosłam dwa dzbanki.

– Skąd?! – Pola wytrzeszczyła na Dziunię oczy.

– A jak myślisz? Deszczówki nałapałam?

Dziunia zniknęła za drzwiami pokoju, zostawiając dziewczyny w niemałym osłupieniu.

– No to się, kurde, porobiło... – pierwsza odezwała się Aurelia. – Ona ma zamiar tu zostać... Nie wiadomo jak długo... Ciekawe, co na to twoja babcia?

– Pewnie nic. Jest bardzo gościnna, co sama pewnie zauważyłaś. Myślisz, że ona sama naciągnęła wody ze studni?

– Nic nie myślę. To jest ponad moją wyobraźnię.

– Co tu się jada na śniadanie? Jajecznicę? – spytała Dziunia, wchodząc ponownie do kuchni.

Miała na sobie zwykłe dzinsy i koszulkę, włosy związane w kitkę i żadnego makijażu.

– Noooo... – odparła Pola. – Tylko trzeba wybrać jajka spod kur. Zrobi to pani? – pojechała po bandzie.

– A gdzie one są? W tej białej szopie?

– Tak.

Kobieta wyszła bez słowa. Wróciła po niedługiej chwili, dzierząc w dłoniach dół koszulki, którą miała na sobie, napakowanej jajkami.

– Rozpalę w piecu – rzuciła Pola w obawie, że i tej czynności podejmie się Dziunia, a ona już tego po prostu nie zdierży. Zbyt duży dysonans poznawczy.

– Ja to zrobię – powiedziała babcia, wchodząc do domu z zapalonym papierosem w ustach.

Obie ręce miała zajęte zakupami.

– Wypakuj – zwróciła się do wnuczki, kładąc siatki na stole.

- No, babcia, dokonałaś gwałtu na samej sobie - skomentowała dziewczyna, wyjmując kolejne produkty.

Były między nimi „sklepowe” słodycze: ciastka, batoniki i czekolady, coca-cola, szynka drobiowa, pasztet, margaryna i kilka bułek.

- Gościa mamy - odparła babcia. - Z cywilizowanego świata.

- A my to co? Z zaświata? - zgorszyła się Aurelia.

- Wy to wy. A gość to gość. Gdzie ten twój amant, jeszcze śpi?

- Nie - odpowiedziała za nią Dziunia. - Zwiedza. Widziałam, jak wychodził ze stajni.

- Poszukam go - zadeklarowała się Aurelia.

Babcia wzięła się do rozpalać w piecu, szefowa przyszykowała patelnię i ułożyła na stole talerze.

- Nie musiała się pani dla mnie tak fatygować - powiedziała. - Mogę jeść to, co wszyscy, a gdybym chciała coś innego, sama bym kupiła. Nie mogę nadużywać pani gościnności.

- Spoko. Jak to się mówi, gość w dom... tfu! - Babcia zakrztusiła się dymem. - Bóg w dom. A on mi się teraz bardzo przyda, o ile w ogóle gdzieś jest.

- Jest - stwierdziła Dziunia z całym przekonaniem. - Zapewniam panią, że jest...

- Lecę po pietruszkę. - Pola w szybkim tempie udała się do ogrodu, tak naprawdę w poszukiwaniu Aurelii i Gienia.

Znalazła oboje w stodole na sianie i zrobiła w tył zwrot.

- Ej, nic nie robimy! Sprawdzam tylko, jak tu się śpi - skorygowała przyjaciółka jej pierwsze wrażenie. - Chodź do nas!

- Przeciwnie. To wy złaźcie tutaj - zażądała Pola. - Coś dziwnego się dzieje.

- W jakim sensie? - spytał Gieniu, wybierając Aurelii z włosów źdźbła siana.

- Nie wiem, ale nie chcę być z tym sama. Chodźcie na śniadanie, może wasza obecność nada sytuacji trochę realizmu.

– Możemy gdzieś pogadać? Tak we dwie? – zapytała Pola, gdy na chwilę zostały same z babcią.

– A co ci się dzieje?

– Mnie??? Nic! To ja chciałabym wiedzieć, co się dzieje.

– Idę do komórki po parę rzeczy, możesz pójść ze mną. Weź kosz.

– O co chodzi z tą Dziunią? – spytała Pola już na miejscu, nie owijając w bawelnę.

– Pobędzie tu parę dni. Aisza ma zamiar odprawić nad nią jakieś rytuały.

– Serio? Pewnie wyniuchwała źródło niezłego dochodu.

– Niewykluczone. Ale skoro ta wasza Dziunia nie ma nic przeciwko, ja się w to nie mieszam.

– Ale przecież... to jej nic nie da, cokolwiek jej tam dolega... A ty wiesz może, co to jest?

– Wiem. Ale nie powiem. Bo to nie moja sprawa.

– Jak nie twoja? Przecież to ty jej nagadałaś o znachorce.

– Jej choroba to nie moja sprawa. Znachorka owszem, moja. Weź to i nie ciągnij mnie za język. – Babcia wręczyła jej kosz pełen słoików. – Na obiad będzie wegetariańskie leczo.

– Gdzie Dziunia? – zapytała Pola siedzącej samotnie w kuchni Aurelii.

– I Gieniu?

– Gieniu poszedł obejrzeć dalszą okolicę, a Dziunia leży pod jabłonką.

– Serio? Po co?

– Bo ja wiem? Może się opala, bo do solarium za daleko.

– Aisza jej kazała – włączyła się do rozmowy babcia.

– Leżeć pod jabłonką?

– Pod czereśnią. Więc leży pewnie pod czereśnią.

– Ciekawe, po czym ją poznała.

– Po owocach? – Babcia raczej nie miała ochoty na uszczypliwości pod adresem gościa.

– No to niech leży. – Pola wzruszyła ramionami. – Oby jak najdłużej.

– Ona wam tu w czymś przeszkadza? Chwilowo nie jest waszą szefową, wszystkie przyjechałyście tu prywatnie.

– Jest wkurzająca. I służbowo, i prywatnie.

– Bo?

– Bo... bo... – Dziewczyna ku własnemu zaskoczeniu nie potrafiła udzielić konkretnej i rzeczowej odpowiedzi.

– Z samego wyglądu – wspomogła ją Aurelia. – Tak ma, i co poradzić?

– No tak, więc problem jest poważny i nie do przeskoczenia – skomentowała babcia.

Z jej miny nie można było wyczytać, czy jest to sarkazm, czy zgoda z opinią dziewczyny. Obie jednak powzięły podejrzenie, że pani Carmen w jakimś stopniu przeszła na stronę wroga.

Było to niezrozumiałe i irytujące, zwłaszcza że kobieta nie chciała im niczego wyjaśnić. Sprawiała wrażenie, jakby wiedziała coś, co każe jej traktować Dziunię poważniej, niż na to zdaniem dziewczyn zasługiwała. Ale tego nie dało się z babci wyciągnąć.

– A tak w ogóle, jeśli jesteście takie ciekawe, czemu jej samej nie zapytacie? – rzuciła kobieta logicznie. – Daleko nie macie. Leży pod czereśnią.

– A pewnie, że zapytamy – podjęła rękawicę Aurelia. – Idziesz ze mną Pola?

– Idę.

Szefowa leżała bezpośrednio na trawie, miała zamknięte oczy, ale gdy dziewczyny podeszły bliżej, podniosła się i oparła głowę na dłoni.

– Dziś niedziela – powiedziała, zanim zdążyły się odezwać. – Widziałam po drodze kościół i chciałabym pójść na mszę. Nie wiecie, o której są tu nabożeństwa?

– Nie, ale babcia pewnie wie – odparła Pola.

– Mam tylko mały problem, nie wzięłam ze sobą nic stosownego, może pani Carmen miałaby pożyczyć jakąś uczciwą sukienkę?

– Nawet jak ma, to na pani nie będzie uczciwa.

– Czemu?

– Bo babcia jest dużo niższa, więc na pani wszystko będzie ledwo za tyłek.

– Nie mówcie do mnie pani – skrzywiła się szefowa. – W tych okolicznościach jest to dość... rażące.

– Mamy mówić... Beatrycze? – spytała Pola, a Aurelia ledwie opanowała śmiech.

– Beata. To twój chłopak tak mnie nazwał, uznał, że bardziej do mnie pasuje – zwróciła się do Aurelii.

– W sumie racja. Bardziej pasuje – zgodziła się dziewczyna. – My będziemy mówić Beata, ale po powrocie do pracy wszystko wróci na swoje miejsce.

– Jak chcecie. Idziemy?

– Dokąd?

– Do domu. Zapytam o tę mszę i o sukienkę.

– Wystarczy tego leżenia pod czereśnią? – zagaiła Pola z nadzieją, że Dziunia cokolwiek wyjaśni.

– Na dziś wystarczy.

Pani Carmen na wieść, że Dziunia chce iść do kościoła, zdecydowała, że pójdą wszyscy. Takim tonem, że nikt nie odważył się sprzeciwić. Znalazła nawet dla niej odpowiedni komplet: bluzkę ze spódnicą, ogólnie zbyt kusy, ale dół sięgał przynajmniej kolan. Niestety, dla Poli i Aurelii też coś znalazła: dwie sukienki żywcem wyjęte z poprzedniego dziesięciolecia.

– Może być nawet całkiem zabawnie. – Aurelia wyluzowała pierwsza. – Ciekawe tylko, co znajdzie pani dla Gienia?

– Portki może mieć te, co ma, a na górę nałoży moją koszulę od munduru.

– Milicyjnego?

– No. Koszula jak koszula, na mnie była o wiele za duża, bo wtedy mieli tylko trzy rozmiary.

– Z pagonami? – ucieszył się Gieniu.

– Owszem, ale gwiazdki się wypruje.

– Jaki miałaś stopień? – zainteresowała się Pola.

– Chorąży. Na dzisiejsze aspirant.

– Może pani zostawić te gwiazdki – zaproponował Gieniu. – Będzie jeszcze większy cyrk.

Babcia zapaliła kolejnego papierosa i zamyśliła się przez chwilę.

– Większego nie trzeba. Mam tylko nadzieję, że proboszcz nie spadnie z ambony.

– Dziś już nie mówi się kazań z ambony – zauważyła Dziunia. – Chyba dawno nie była pani na mszy...

– A bo ja wiem? Jakies trzydzieści lat temu, na pogrzebie, ale nie pamiętam czyim.

– Później już nikt nie umarł? – zapytała Pola.

– Umarł. Ale przestałam chodzić na pogrzeby.

– Czemu?

– A na co to komu? Bo już na pewno nie nieboszczykowi. Ale „wieczny odpoczynek” za każdego odklepałam.

– Podobno nie jesteś wierząca...

– Bo nie jestem. Po prostu czyniłam zadość tradycji. No, szykujcie się, mamy jeszcze godzinę, a biorąc pod uwagę, że pójdziemy pieszo, to niewiele czasu.

– Nie możemy autem?

– Możemy. Ale przejdziemy się elegancko przez całą wieś.

Dziewczyny spojrzały na wyginającą się przed lustrem Dziunię. Nie była zachwycona strojem, ale nie protestowała.

– Ma pani może kapelusz? I jakieś apaszki? – spytała.

Babcia podeszła do komody i po chwili, bez słowa położyła przed nią dzinsowy kapelusz z wielkim opadającym rondem i nawet ładną, kolorową, jedwabną chustkę.

– Takie się nosiło w siedemdziesiątych latach – powiedziała. – Ale moda podobno wraca... A tu mam jeszcze... mam gdzieś, o! Koronkowe rękawiczki.

- Dokładnie o to mi chodziło - ucieszyła się Dziunia, oglądając się ponownie, ale już w pełnym rynsztunku. - Spójrzcie, dziewczyny, jak superstylówka vintage. Co nie?

- Owszem - przytaknęły obydwie, ale już bez cienia kpiny, bo faktycznie miało to swój oryginalny urok.

Kościelne ławki w większości były już zajęte, ale choć dałoby się znaleźć dla wszystkich jakieś mało rzucające się w oczy miejsce, pani Carmen pomaszerowała na sam przód. Dokładnie do tej pierwszej, w której, chyba przez skromność, nie siedział nikt, druga za to była zajęta od lewej do prawej przez same ważne osoby zaciążeńskie i okolicznego społeczeństwa.

- Babciu... - szepnęła Pola. - Co to ma być, jakaś demonstracja sił?

- Cicho bądź i skup się na księdzu. Albowiem w świątyni jesteś.

- Nie ma księdza...

- Ale ty skup się już teraz. Jak przyjdzie, będziesz miała jak znalazł.

Ksiądz, jakby na zamówienie, właśnie wszedł razem z orszakami ministrantów. Dość szybko opanował burzę uczuć, jaka pojawiła się na jego twarzy na widok gości, i przystąpił do swoich obowiązków. Z całej piątki tylko Dziunia orientowała się, kiedy trzeba wstawać, siadać czy klękać, reszta robiła to, co ona, więc jakichś większych wpadek nie było. Poza kazaniem może, ale to już ze strony księdza, który chyba nie czuł się w swojej roli zbyt swobodnie i miejscami jakby zapominał, co miał powiedzieć. Albo, jak oceniła później pani Carmen, szybko musiał zmieniać koncept z uwagi na jej obecność. Pewnie o to jej chodziło, żeby wprowadzić jakiś chaos w ciche i zwyczajne życie wsi. Na nabożeństwie się nie kończyło. Po wyjściu z kościoła wierni, pewnie zgodnie z utartym zwyczajem, zostali jeszcze przez chwilę, rozmawiając i żartując w grupach znajomych.

- A, witam, witam! - Ktoś złapał Polę za łokieć.

Była to kobieta z pociągu w towarzystwie swojego syna.

- Dzień dobry. Państwo też tu, do zaciążeńskiego kościoła?

- Innego w okolicy nie ma. Ale chciałam pogratulować.

– Czego?

– Dobrego wpływu na babcię. Dotąd jej tu nigdy nie widziałam.

– Uważasz, że jak mnie gdzieś nie widzisz, to mnie tam nie ma? – spytała pani Carmen zaczepnie.

– Ależ, drogie panie. – Młody radny roześmiał się uroczo. – O co ten spór, może lepiej się zapoznajmy? Rzadko się zdarza, żeby nasza wioska miała tylu zacnych gości...

– **Nasza wioska** – sprostowała babcia.

– Mnie już pan zna. – Pola wystąpiła naprzód. – To jest moja przyjaciółka, Aurelia, a to... – zamierzała przedstawić mu Dziunię, ale Aurelia ją ubiegła.

– To jest hrabina Beatrycze von Hydrant prosto z Wiednia.

– Adam. – Mężczyzna, pomijając Polę i Aurelię, wyciągnął dłoń w stronę Dziuni, a gdy ona podała mu swoją, ucałował ją z namaszczeniem.

– A to jest Eugeniusz – kontynuowała Pola, wskazując na Gienia, ale facet nie zwrócił na chłopaka uwagi.

– Można wiedzieć, czemu zawdzięczamy pani wizytę? – Mężczyzna skupił się już wyłącznie na Dziuni.

Pola pomyślała, że szefowa zaraz wyjaśni nieporozumienie, ale ona, o dziwo, natychmiast weszła w rolę.

– Będę tu inwestować – odparła wyniośle.

– Naprawdę? A w co? – zdziwił się Adam, znając podejście pani Carmen do wszelkich inicjatyw na tym terenie.

– To będzie produkcja ekologicznych opakowań – wyręczyła ją Aurelia.

– Papierowych toreb i butelek.

– Papierowych butelek?

– Papierowych – odpowiedziała mu Dziunia. – Papier jest najbardziej ekologiczny, szybko się rozkłada, a jak deszcz poleje, jeszcze szybciej. Nie to co plastik, który się bio... degra... dowywuje tysiące lat.

– A... przepraszam najmocniej... nie dosłyszałem nazwiska...

- Dam panu wizytówkę. - Dziunia zaczęła grzebać w torebce. - A... nie dam. Nie mam przy sobie.

- Beatrycze von Hydrant - powtórzyła głośno i wyraźnie Aurelia, przyjmując, że Dziunia zdążyła zapomnieć.

* * *

- Po co to wszystko było? - zapytała Pola przy niedzielnej kolacji. - Cała ta wyprawa do kościoła i jeszcze ta ściema z hrabiną?

- Hrabina to był pomysł Aurelii - odparła babcia. - Ja chciałam tylko wprowadzić trochę zamieszania. Teraz wszyscy się głowią, co wy za jedni, skąd i po co, prześcigają się w domysłach, tworzą teorie spiskowe i sieją ploty. Taka strategia operacyjna, bo jak czegoś nie wiadomo, lepiej się bać, a wystraszony przeciwnik to łatwiejszy przeciwnik. Zobaczycie efekty niedługo.

- To ja mam dalej robić za hrabinę? - spytała Dziunia.

- Ja nie wiem, jak się robi za hrabinę - zauważyła Pola. - Ale wystarczy pewnie, jeśli nie będziesz dementować i zaczniesz ubierać się tak jak teraz. A jakbyś nie wiedziała, co masz powiedzieć, możesz udawać, że nie rozumiesz po naszymu.

- A swoją drogą trafiłaś w punkt z tą ekologią - zdziwiła się Aurelia. - Właściwie to miał być żart, ale skoro już weszłaś w rolę, możemy to tak zostawić, będzie śmiesznie...

- Nie przypadkiem - odparła Dziunia. - Domyśliłam się, że pani Carmen działa na rzecz środowiska i że jest z tym jakiś problem. No to chciałam się jakoś dopasować...

- I trafiłaś, moja droga, w punkt. - Babcia się roześmiała. - A ja na pewno nie zamierzam niczego dementować. Chcecie po szklaneczce winka na dobry koniec dnia?

Kobieta, nie czekając na odpowiedź, wstała od stołu i wyciągnęła rękę w stronę kredensu.

- No ale jeszcze nie wiadomo, czy dobry - rzuciła, patrząc uważnie w okno.

Po chwili, na tyle krótkiej, że pozostali już nikogo za nim nie dostrzegli, rozległo się pukanie do drzwi.

– My z dobrosąsiedzką wizytą! – krzyknęła mama radnego Adasia, przepychając się między babcią a futryną. – Placek przyniosłam!

– A ja małe co nieco do placka – oznajmił jej syn, równie bezceremonialnie ładując się do środka.

– Nie wiem, czy pani hrabina gustuje w takich prostych wypiekach, a nawet jeśli nie, to spróbuje specjału naszego regionu. – Postawiła na stole ozdobne pudło, jej syn zaś wyjął zza pazuchy litrową flachę johnniego walkera.

– O? Tort tiramisu jest tutejszym regionalnym wypiekiem? – spytała Dziunia, zaglądając do pudła.

– A nie jest? – zapytała kobieta, spoglądając na synka.

– Jest – potwierdził. – Przecież sama piekłaś.

– Ale trunku pani chyba sama nie pędziła – rzuciła uwagę Aurelia.

– A to ja nie wiem, skąd Adaś przyniósł, z piwnicy czy ze sklepu...

Pani Carmen tymczasem stała z boku, zastanawiając się pewnie, jak zareagować na to najście, ale Dziunia po raz kolejny wykazała się nadzwyczajnym jak na nią wyczuciem sytuacji.

– Jak to się mówi, gość w dom, Bóg w dom – rzuciła na początek sloganem. – Dlatego absolutnie nie możemy pozwolić, żeby to państwo nas podejmowali. Chciałam też zaznaczyć, że przyszliście **do pani Carmen**, dlatego też ona zaserwuje poczęstunek według zwyczaju pani domu.

– No właśnie – poparła ją Aurelia, która, jak to ona, z pewnością dostrzegła w tej sytuacji szansę na jakąś hecę. – I gdybym mogła zaproponować trunek, to...

– Najlepszy, rzecz jasna. – Babcia ruszyła ku drzwiom z zamiarem udania się do piwniczki. – Chodź ze mną, Pola, pomożesz. A wy nakrójcie ciasta, które upiekła wczoraj Aurelia.

– Nie wystarczy sam bimber? – spytała Pola szeptem w sieni. – Musi być jeszcze ten niezjadliwy zakalec?

– Musi. Na coś się przyda, przecież my go nie zjemy.

Poprzedniego dnia przyjaciółka Poli bardzo chciała się wykazać kulinarnie i upiekła placek ze śliwkami, który, delikatnie mówiąc, jej nie wyszedł. Babcia zamierzała dać go kozie, która podobno zje wszystko, ale nawinęli się lepsi konsumenci.

– Może przejdźmy... hmm... do salonu? – zaproponowała Dziunia, gdy pani Carmen z wnuczką i koszem wyładowanym po brzegi wróciły z piwniczki.

– W kuchni zostaniemy – powiedziała babcia. – Tu wszystko jest pod ręką.

Pola wnikliwiej przyjrzała się gościom, dopiero gdy ogólne zamieszanie i nerwowy ruch wokół stołu przerodziły się w początek towarzyskiego spotkania. Radny Adaś miał na sobie modny atramentowy garnitur oraz muszkę, jego matka zaś, poza dość krzykliwą garsonką, mnóstwo złotej biżuterii, gdzie tylko się dało.

– To prawdziwe? – spytała babcia, wskazując palcem na okazałą broszkę.

Kobieta wydeła pogardliwie usta.

– Ja nie noszę na sobie byle czego.

– O? – dołączyła do niej Dziunia. – Wobec tego ten Louis Vuitton też oryginał?

– Jaki... luj?

– Miałam na myśli torebkę.

– A pewnie, Adaś mi zeszłego miesiąca z Białegostoku przywiózł.

– No co też mamusia... – zmieszał się Adaś. – Tę mamusi przywiozłem z zagranicy.

– Aha. To zapomniałam. I mówcie mi, proszę, Halinka, jak to między dobrymi znajomymi. Weź no, Carmen, polej brudzia.

– Już się robi. I do dna, żeby było ważne.

Pola pomyślała, że goście z całą pewnością wiedzą, jak smakuje miejscowy bimber, dlatego nieco się zdziwiła, gdy kobiecie oczy zaszczyły

krwią, jej synek zaś w jakiejś wielkiej desperacji zdołał wybiec przed dom. Kasłał tam dłuższą chwilę, ale po powrocie udał, że nic się nie stało.

– Fusem od kawy się zakrztusiłem – wyjaśnił.

– To może teraz placuszka? – Babcia podsunęła mu talerz z dziełem Aurelii.

Ten eksperyment mężczyzna zniósł o wiele lepiej, Halinka również się poczęstowała i nawet pochwaliła z uśmiechem na twarzy.

– To się nazywa polityka – szepnęła babcia wnuczce na ucho. – Co innego myśleć, co innego mówić.

– Za PRL-u było inaczej? – zapytała Pola, również szeptem.

Goście zbyt byli zajęci „hrabiną”, żeby cokolwiek dosłyszeć.

– No pewnie. Wtedy nikt nie owijał w bawełnę, a jeśli już robił jakiś przekręt, to z szacunkiem dla inteligencji przeciwnika i łągał tak, żeby był choćby pozór prawdopodobieństwa i logiki.

– A tak właściwie co państwa tutaj sprowadza? – Dziunia, czując, że to ona jest powodem odwiedzin, przejęła niejako rolę pani domu.

– Wyłącznie gościnność, szanowna hrabino – wyjaśnił Adam. – Dlatego może na drugą nóżkę już naszej wódeczki?

– O nie, nie – zaprotestowała babcia. – Skoro już masz zamiar uprawiać tę swoją gościnność pod moim dachem, będzie po mojemu.

– Ja miałem na myśli region, nie dach. Jestem radnym w tych stronach i gospodarzem w takim... szerszym pojęciu.

– A niech ci będzie – zgodziła się babcia. – Ale u mnie obowiązuje węższe pojęcie, dlatego polej, Aurelka.

Przyjęcie „nabierało rumieńców”, podobnie jak oblicze Halinki, które przyobkleło się nie tyle w czerwień, ile w purpurę. Pola zastanawiała się, jakim cudem Dziunia tak dzielnie znosi poczęstunek, bo nie miała koło siebie ani miejsca, ani okazji, żeby uszczuplać gdzieś dyskretnie zawartość swojego kieliszka. Dziewczyna natomiast siedziała obok donicy z filodendronem, który nie pierwszy raz już czynnie uczestniczył w alkoholowej bibce. Poza tym mało kto zwracał na nią uwagę, więc mogła dzielić się z kwiatkiem zawartością kieliszka wedle uznania.

- Więc mówi pani, że będzie u nas inwestować? - Radny przeszedł w końcu do wyczekiwanego przez gospodynię sedna.

- Owszem - odparła Dziunia. - Taki mam zamiar. Na razie badam teren.

- My też - odezwał się milczący do tej pory Gieniu. - Wszyscy tu jesteśmy, żeby badać.

- To znaczy?

- To znaczy... badać. Teren.

- On ma na myśli warunki pod zabudowę i takie tam - włączyła się Aurelia, uznając chyba, że chłopak już nie powinien sam z siebie zabierać głosu.

- A mnie, jako urzędnikowi państwowemu, nic o tym nie wiadomo...

- Co ci ma być wiadomo? - napadła na niego babcia. - Że pani... ta... von... von...

- Hydrant - podrzuciła Aurelia.

- ...że Hydrant rozgląda się po okolicy?

- Mój syn jest tutaj **radnym** - zwróciła się do Dziuni Halinka, rozpinając kolejny guzik pod szyją. - I bez niego z niczym ani rusz. Mówię to do pani, bo Carmen dobrze wie, ale udaje, że nie rozumie.

- Że jest radnym? A co tu do rozumienia? - odwróciła kota ogonem babcia.

- A to, że powinien wiedzieć, co się na jego terenie dzieje.

- I bardzo dobrze. Bardzo dobrze. Niech więc pilnuje, żeby mu kto lasu nie wyciął... Bo to jedyne nasze bogactwo, przyroda.

- Przyrodą nikt się nie naje - fuknęła Halinka. - Dlatego władze starają się, ażeby praca dla ludzi była, szanse jakieś lepsze na przyszłość.

- W lesie?

- Nie, las się... odlesi - bąknął radny. - Najlepszego! - Wzniósł w górę kieliszek bimberku, który wchodził mu coraz lepiej.

- Najlepszego! - Dziunia wzniosła swój. - Ale po co poświęcać las, skoro tyle tu gołych terenów?

- Bo tak ustalono.

– Kto? Z kim? I na jakich warunkach? – nie wytrzymała babcia.

Adaś milczał.

– No to ja ci powiem... – Kobieta wstała, okrążyła stół i stanęła za plecami Adama. – Albo nie, bo ty i tak świetnie wiesz...

Nagle zmieniła podejście do sprawy, napełniła po raz kolejny kieliszki i zaproponowała z uśmiechem:

– Wasze zdrówko! Skoro hrabina powiedziała, że jak gość w dom, to Bóg w dom, nie wypada mi w jego obecności kończyć tego zdania.

ROZDZIAŁ VIII

Tajemnice Dziuni

Jesteś pewna, babciu, że da się jeszcze coś z tym zrobić? – spytała Pola, uprzątając ze stołu resztki wczorajszego pobojowiska.

Pomagała jej w tym Aurelia, Gieniu i Dziunia jeszcze spali.

– Najprościej, ale i najtrudniej byłoby zjednać sobie przeciw nim wieś. Ludzie tu są uparci i jak trzeba, pójdą po trupach do celu, a władza nasza strachliwa. Adaś pierwszy, jak to się mówi, dużo więcej ryczy, niż mleka daje. Wystarczyłoby zacząć od niego, bo to jego był pomysł z lokalizacją fabryki.

– Serio? – zdziwiła się Aurelia. – To on tu tyle może?

– Może tyle, ilu ludzi ma za sobą. A tym, co wyżej, wsio rybka albo i nie.

– To znaczy?

– Znaczy, że może też dostrzegli w tym swój interes, a Adaś im w tym pomógł. Ja niestety nikogo po dobremu do buntu przeciw niemu nie przekonam.

– A po złemu?

– To i owszem. Ale nie w pojedynkę.

– A my? Nas nie wystarczy?

– Samych też nie, ale może do przekabacania wsi by wystarczyło. Tylko trzeba ustalić, co i jak, raz a konkretnie, i dążyć konsekwentnie do celu.

– To się ustali i będziemy dążyć – powiedziała Pola.

– Dzeeeeń dobryyyy. – Dziunia weszła do kuchni, ziewając raz po raz.

– O, już posprzątane... Przepraszam, że nie pomogłam...

- Daj spokój – odezwała się Aurelia. – Za wczorajszą waleczność należało ci się nie tylko więcej snu, ale może nawet jakiś medal.

- Drobiazg – odparła Dziunia skromnie. – Mam tylko nadzieję, że nasi goście dotarli do domu cało i zdrowo. A przynajmniej cało...

- Dotarli, bo auta już nie ma.

- Rzeczywiście. – Dziunia spojrzała przez okno. – Dobrze, że dali się namówić na powrót taksówką...

- Nie taksówką, bo taksówek tu nie ma – sprostowała babcia. – Siostrzeniec Haliny po nich przyjechał. Kwaśnego mleka?

Babcia postawiła na stole dzban najbardziej chyba pożądanego teraz napoju. Nikt nie odmówił.

- Na dziesiątą mam wizytę u znachorki – powiedziała Dziunia, łapiąc oddech między kolejnymi haustami. – Pojedzie pani ze mną czy mam jechać sama?

- Jedź sama, drogę już znasz, ja mam trochę roboty w obejściu.

- Dobrze. Przyniosę wody, trzeba się będzie jakoś ogarnąć.

- Ona przez cały czas mnie normalnie zdumiewa – powiedziała Pola, gdy Dziunia z dwoma wiadrami wyszła na zewnątrz.

- No, mnie też – przytaknęła Aurelia. – Ale ma mocny łeb, co nie? A swoją drogą dziwne, że taka chora, a bimberku sobie nie odmówiła.

- Może na jej dolegliwość nie było przeciwwskazań – powiedziała babcia. – Idź po jajka, a ty po szczypior – zarządziła.

Dziewczyny spotkały po drodze Dziunię taszczącą wiadra z wodą.

- Gdzie ty się nauczyłaś takich rzeczy? – nie wytrzymała Aurelia.

- To nie jest jedyna studnia na świecie – odparła kobieta. – A ja nie urodziłam się wczoraj.

- Coś ją uzało? – skomentowała Pola cicho. – To było jakby... niegrzeczne.

- Pewnie jest zła, że tu nie ma normalnej łazienki z jakimś skromnym choćby jacuzzi.

– Pani Carmen... Czy zna pani kogoś w tej okolicy, kto mógłby wynająć pokój na kilka dni? – zapytała nagle Dziunia.

– Wiedziałam – szepnęła Aurelia do przyjaciółki. – Ma dość...

– Może Hanka, ta ze sklepu... Córka z zięciem wyprowadzili się do miasta, jakby tylko chciała, to coś by znalazła.

– Podjadę potem i zapytam.

– Opuuszczasz nas? – spytała z drwiną w głosie dziewczyna. – Niefajnie tak bez wygód, co?

– Przeciwnie – odparła Dziunia. – Zaprosiłam tu jeszcze dwie osoby. Niestety, razem z nami się chyba nie pomieszczą, poza tym nie chcę robić więcej kłopotu.

– Żaden kłopot – powiedziała babcia. – Ale mogłabym już tylko zaferować miejsce na strychu. Jest tam stara kanapa, tylko nie ma światła i schody trochę niepewne...

Pola pomyślała, że babcia wie na ten temat coś więcej, ale raz już się przekonała, że nie da się jej pociągnąć za język. Nie zamierzała więc pytać, o co i o kogo chodzi, wymieniły tylko z przyjaciółką znaczące spojrzenia.

– Chyba pójdziemy dziś na rekonesans – powiedziała Aurelia. – Połóżmy po wsi, pogadamy, popytamy...

– Teraz? – spytała Pola.

– Nie, no po śniadaniu przecież i jak Gieniu wstanie. Był wczoraj tak samo zrobiony jak nasz radny.

Jakby na zamówienie, w tej chwili wszedł Gieniu, cały w źdźbłach siana, błady, z opuchniętymi oczami.

– Ja już nie chcę – mruknął.

– Czego?

– Nigdy więcej tego pić...

– To nie pij. Zresztą wczoraj też ci nikt nie kazał.

Aurelia była wyraźnie na niego zła, jej chłopak bowiem stawał się pod wpływem trunków bardzo wylewny i gdyby nie fakt, że nikt go nie

rozumiał, spokojnie zdemaskowałby Dziunię i sprostował wszystkie konfabulacje, które padały wczoraj przy stole.

– No wiem... Ale to było takie... metafizyczne doznanie.

– Jasne. A teraz jak najszybciej zstąp na ziemię, bo idziemy na długi spacer.

– A... czy nie moglibyście mnie z tego zwolnić? – spytała Pola. – Pomogłabym babci przy zwierzakach i obiedzie. Nie najlepiej się czuję.

– Ja też – podłapał Gieniu.

– Ona może zostać – zdecydowała Aurelia. – Ale ty nie.

* * *

– Tu się zawsze tyle pije? – spytała Pola po wyjściu pozostałej trójki.

– Nie. To znaczy ilościowo owszem, ale nie tak często. Nam tak wyszło po prostu – odpowiedziała babcia. – Twoja matka by się chyba udławiła świętym oburzeniem. A właśnie, co u niej? Nie martwi się, że sprowadzę cię na złą drogę?

– Pojęcia nie mam. Zablokowałam jej numer w telefonie. Skoro chciała, żebym spędziła tu wakacje, spędzam, więc powinna mieć satysfakcję.

– Oj, wątpię. Alinka nie zna takiego uczucia jak satysfakcja. I nie ma na świecie takiej rzeczy, która mogłaby jej go dostarczyć.

– Czemu?

– Bo ja wiem? Już od najmłodszych lat miała jakieś nieziemskie aspiracje oraz pretensje do wszystkiego i wszystkich. Takie geny chyba.

– Ale nie po tobie? – Pola dostrzegła szansę sprowadzenia rozmowy na od dawna interesujący ją temat, czyli mężczyzn w swojej rodzinie.

– Pewnie, że nie.

– Kim był mój dziadek? – wypaliła wprost.

– Jest. Bo jeszcze żyje – odpowiedziała babcia bez większych oporów.

– No więc?

– Facetem nie do życia. To znaczy we dwoje, a we troje tym bardziej.

– Nie wiedziałaś o tym wcześniej?

– Wiedziałam, ale nie było po co się nad tym zastanawiać. A kiedy się okazało, że twoja matka jest w drodze, było już za późno. Zresztą, dałam radę sama, może nie tak, jakbym chciała, ale córkę wykarmiłam i wychowałam.

– Wie o jej istnieniu?

– Pewnie.

– I nie miał ochoty zobaczyć własnego dziecka?

– Miał i zobaczył. Tego mu zabronić nie mogłam, ale chciał być tatusiem z doskoku, w dodatku w tajemnicy.

– Żonaty był?

– A skąd. Tu wchodziło w grę coś zupełnie innego, tak czy siak, musiałby coś dla nas poświęcić, a na to go stać nie było. No to paszoł won: albo jesteś mężczyzną na cały etat, albo wcale cię nie ma – tak mu powiedziałam i nie zaprotestował.

– Mama wie?

– Co?

– No... kto jest jej ojcem...

– Pytała czasem, jak była mała, a potem nagle się zacięła i temat jakby nożem uciął. Uznałam więc, że jej to nie interesuje.

– Nie sądzę... Bo mnie na przykład bardzo.

– Ojciec twojej matki?

– Nie, mój... I mnie nawet nie wolno pytać...

Babcia postawiła na stole dwie szklanki z herbatą i dwa kawałki zakalca Aurelii. Usiadła naprzeciw wnuczki i zaczęła miętosić palcami róg serwety.

– Podobno do samego porodu nie wiedziałaś, że jest w ciąży... – ciągnęła Pola.

– Bzdura. Oczywiście, że wiedziałam, czekałam tylko, aż sama mi powie. Nie wiem, czemu tego nie zrobiła, bo przecież się chyba nie bała...

– A on? Ten... mój ojciec?

– Nie wiem, kim jest. Naprawdę. To była cała paczka, dziewczyny i chłopcy, trzymali się razem. Spędzili całe lato w namiotach u nas na

ranczu, przyjechali z Warszawy. Bawili się, grali na gitarach, śpiewali, palili ogniska. A Alinka z nimi, cieszyłam się nawet z tego, bo ona nie miała wcześniej żadnych koleżanek ani kolegów, nikt stąd nie był dla niej wystarczająco dobry. A potem się zwinęli i tyle. Twoim ojcem był pewnie któryś z nich.

– Pewnie? Czy niepewnie?

– Nie mogę tego wiedzieć na sto procent, ale to były jedyne osoby, z którymi ona się wówczas zadawała. Bo na bank z nikim miejscowym.

– Normalnie dom tajemnic – westchnęła Pola. – Chyba musiał jej niezłe zależeć za skórę, skoro nawet wspomnieć mi na ten temat nie wolno...

– Ja próbowałam, Pola. Naprawdę próbowałam... Pytać, rozmawiać, wspierać... Ale moja córka na wszystkie moje gesty reagowała wrogością, więc dałam spokój. Wyprowadziła się razem z tobą i kontakt się urwał. Normalnie jakby to była moja wina. Albo zasługa... – Kobieta nagle się roześmiała. – Bo fajną mam wnuczkę. I nawet nie przypuszczałam, że będzie mi dane poznać cię bliżej...

– Babciu... ty wcale nie jesteś taka, jak ona mówi.

– Jestem. W jej oczach i w jej przekonaniu. Ale mniejsza z tym, niech już tak zostanie. Mam ciebie i liczę na to, że również tak zostanie.

– No pewnie! – Pola przytuliła policzek do babcinej dłoni, staruszka jednak szybko ją cofnęła. Robiło się chyba zbyt ckliwie...

* * *

Pierwsza wróciła Dziunia. Przygaszona i milcząca, od razu weszła do pokoju i długo rozmawiała przez telefon, Poli jednak nie wypadało przy babci przystawiać ucha do drzwi.

– Co jej jest? – Ośmielona szczerością staruszki postanowiła ją jeszcze raz o to zapytać.

– Nie mogę ci opowiadać o cudzych problemach. Dopóki sama ci nie powie, nie ma tematu.

Babcia była nieugięta, co jeszcze wzmogło ciekawość Poli. Próbowaly już z Aurelią same „zdiagnozować” szefową, ale nic tak do końca do niej

nie pasowało.

– Lepiej ci po sesji u znachorki? – spróbowała Pola pociągnąć za język samą Dziunię, gdy ta w końcu zjawiała się w kuchni.

– Nie – odparła krótko.

– Więc po co do niej chodzisz? Nie szkoda kasy?

– Bywają sytuacje... gdy człowiek ima się już wszystkiego, a kasa staje się najmniej ważna.

– To coś poważnego?

– Poważnego, trudnego, może nawet beznadziejnego...

Pola przyjrzała się szefowej z uwagą. Nie wyglądała na chorą, chyba że jako symptom można by uznać kompletny brak skupienia na wyglądzie. Chodziła tutaj w sportowych ciuchach albo wręcz w dresie, płaskich butach, nie malowała się, włosy co rano zaplatała w warkocz.

– Przykro mi...

Teraz Dziunia spojrzała uważnie na dziewczynę, w kącikach jej ust czał się uśmiech, dyskretnie ironiczny. Nie odpowiedziała, a Poli zrobiło się głupio. Wyglądało na to, że kobieta zdaje sobie sprawę ze stosunku swoich pracowników do jej osoby, mimo iż do tej pory jakby go nie zauważała.

– Będzie dobrze, zobaczysz. – Babcia położyła dłoń na jej ramieniu. – Jak się do czegoś dąży, najważniejsze są upór i cierpliwość. Nawet wtedy, gdy się wydaje, że sprawa jest beznadziejna.

– Wiem... Nie brakuje mi jednego ani drugiego...

– Skoro tak, będzie dobrze. Nie ma innej opcji.

Dziunia uśmiechnęła się do babci, ale był to zupełnie inny uśmiech. Pola nigdy dotąd nie widziała podobnego wyrazu twarzy u szefowej. Była w nim wdzięczność, ciepło i odrobina smutku.

– Idę po śliwki na kompot – oznajmiła dziewczyna, bo cała ta sytuacja stała się dla niej z jakiegoś powodu niekomfortowa.

– Jakby było mało pod drzewem, potrząśnij gałęzią – poradziła jej babcia.

Wracając z koszykiem owoców, Pola natknęła się na wchodzących do domu Aurelię i Gienia.

– Ej... – szepnęła cicho. – Dziunia wróciła od znachorki...

– I co z tego? Miała nie wrócić? – odszepnęła Aurelia opryskliwie.

– Stało się coś na tej wsi? – spytała Pola.

– Nie uwierzysz, kogo spotkaliśmy w sklepie...

– No?

Nie dane jednak było się jej dowiedzieć, bo zwabiona szeptami w sieni, nagle pojawiła się babcia.

– Poszła po śliwki i przypadła – powiedziała ni to do Poli, ni do siebie.

Dziunia wciąż siedziała przy stole w kuchni i grzebała w telefonie.

– Jak było u znachorki? – zapytała Aurelia.

– A jak było na rekonesansie? – ta odpowiedziała pytaniem.

Dziewczyna rzuciła na stół zeszyt i długopis.

– Robiliśmy notatki.

Pola przekartkowała zeszyt i spojrzała na przyjaciółkę zdziwiona.

– Ale tu nic nie ma!

– Nie ma – przyznał Gieniu. – Bo to było tylko tak na pokaz. Żeby chłop się bał.

– Który chłop? – zapytała babcia.

– Przysłowiowy, chodzi ogólnie o mieszkańców wsi. Gdzieś słyszałem albo czytałem, że ciemny chłop panicznie się boi wszelakich zapisów. Pani Carmen ma rację, że wystraszony wróg to łatwiejszy wróg, więc chodziliśmy i strasziliśmy.

– Jaki ciemny chłop? Tu podobno wszyscy mają magistra, jak jeden mąż i jedna żona. To prawda, babciu?

– Prawda. Ale nie wszyscy, kilku nie ma.

– A ty?

– Pewnie, że tak. Myślałam jeszcze o doktoracie, ale nie mam czasu na razie.

– Serio? – podłapała Dziunia. – A skąd taki, powiedziałabym, owczy pęd do nauki?

– Pęd nie pęd, raczej okazja. Jak nasz Marian Gozik rektorem w Białymstoku na uczelni został, kto mógł i chciał – poleciał studiować. Zaocznie, rzecz jasna, półtora tysiaka za semestr, ale się opłaciło, bo Marian swojemu krzywdy nie pozwolił zrobić. Znaczący półtora netto, bo jeszcze dochodziły przy każdej sesji różne dowody sympatii dla Mariana. Ale i tak było warto.

– Słyszałam, że wszyscy socjologię pokończyli?

– A od kogo?

– Od matki radnego, opowiadała mi jeszcze w pociągu.

– Owszem, socjologię, bo tam Marian miał największe wpływy. A co to za różnica?

– A nauczyłaś ty się, babciu, czegokolwiek z tej socjologii?

– Byś się zdziwiła. Ale nie powinnaś, bo może znasz mnie już na tyle i wiesz, że ja jak już coś robię, to na sto procent.

– Fakt, przepraszam – zmieszała się Pola.

– Szczerze powiedziawszy, ja już się dawno tej socjologii uczyłam, ale sama o tym nie wiedziałam. Dlatego było i łatwiej, i ciekawiej.

– Tak? A gdzie?

– Na różnych szkoleniach w milicji.

– Fakt, wtedy się to mogło przydawać do manipulacji, inwigilacji, sterowania ludźmi. Bardzo przydatna umiejętność, tak ogólnie, w życiu.

– Moja droga... – Babcia spojrzała na wnuczkę z wyrzutem. – Tą umiejętnością ludzie posługiwali się od zawsze, nie tylko wtedy i nie tylko w milicji, bo dziś jest chyba jeszcze bardziej powszechna. Tylko że jej wykorzystywanie i skala, na jaką się to robi, zależy już od okoliczności i własnego sumienia. Ludzie zawsze byli tylko ludźmi, od epoki kamienia łupanego po dziś dzień mają pewne uniwersalne, niezmiennie cechy. Raczej o taką wiedzę chodzi. O zrozumienie mechanizmów, związków przyczynowo-skutkowych różnych zjawisk społecznych. To właśnie jest, a przynajmniej dla mnie, korzyść z takich studiów.

– Fajnie. Mnie moje nic nie dają. Teoretycznie mogę rewitalizować tereny zdegenerowane.

– Teoretycznie?

– Owszem. Mnie by raczej interesował zdegenerowany człowiek, to jest materia, z którą mogłabym pracować. Dlatego chciałam iść na kryminologię albo resocjalizację, ale matka dostawała białej gorączki, jak słyszała ode mnie coś takiego. Poza tym było jej wszystko jedno, co ja skończę, bylebym miała „mgr” przed nazwiskiem. No to mnie też się zrobiło wszystko jedno, ale nie przewidziałam, że kierunek będzie tak nudny i na tyle nie dla mnie, że mi się go po drodze odechce. Niestety, już za późno, żeby to rzucić i zacząć coś innego, dam jej te trzy literki, ale to będzie ostatnia rzecz, jaką zrobię wbrew sobie. To moje twarde postanowienie.

– Pani Carmen, niech pani da tę teczkę z papierami – przerwała im te wywody Aurelia. – Przejrzę i może mnie natchnie.

– Właśnie – przytaknął Gieniu. – Grunt przygotowany, chłop przestraszony, może by trzeba teraz jakoś konkretnie zacząć działać.

– A ty kim jesteś z zawodu? – spytała pani Carmen, kładąc przed Aurelią papierową teczkę.

– Ja? – zdziwił się Gieniu.

– No przecież nie ja.

– Gieniu jest artystą – odpowiedziała za niego Aurelia. – Skończył Akademię Sztuk Pięknych, niestety do tej pory nikt się na jego dziełach nie poznał, a jeść trzeba, więc został nauczycielem plastyki.

– Właśnie. To jednak chwilowe, widocznie jestem zbyt nowatorski, ale zawsze potrzeba czasu, żeby społeczeństwo dorosło do odbioru wyrafinowanej, emocjonalnej i tak... intymnej formy wizualnego przekazu. Jak u Picassa na przykład. Mówię o artyście, nie o sztuce, bo ja tworzę zupełnie coś innego. Zresztą moje dzieła to nie tylko obrazy, to ideologia, pragnienie zwrócenia światu uwagi, jak bardzo się myli.

– W stosunku do czego? – Dziunia podniosła wzrok znad telefonu.

– Odbioru świata, sposobu jego postrzegania, oczekiwań... – Gieniu coraz bardziej się zapalał. – Bo ludzie szukają w sztuce estetyki, takiej taniutkiej „ładności”. Rzeczy miłych dla oka, ucha i innych zmysłów. Ukojenia, ucieczki od rzeczywistości, która jest dla nich albo straszna,

albo po prostu nudna. Ja proponuję coś zupełnie odwrotnego, wizualno-psychiczny wstrząs, który sprawi, że ich realia nagle okażą się błogą sielanką, ucieczką w przeciwną stronę.

– Od twojej sztuki do swoich realiów, tak? – dopytała babcia.

– Dokładnie.

– Więc może wcale nie jesteś niedoceniony – zauważyła Dziunia z ledwie widocznym uśmiechem w kącikach ust. – Tylko tak dobrze odgrywasz swoją rolę.

– Co masz na myśli?

– No... ucieczkę – podłapała Pola. – Napatrzy się jeden z drugim na taki twój obraz, choć z własnego doświadczenia wiem, że wystarczy jeden rzut oka i spiernicza do swoich codziennych dramatów, które nagle wydają mu się błogie i przyjemne.

– No. Po prostu na tyle udana terapia przez sztukę, że wystarczy jednorazowy seans – ciągnęła Dziunia.

– A wiesz, że to ma sens? – zwróciła się do niej Aurelia. – To by tłumaczyło, dlaczego nikt nie chce kupować jego obrazów. Bo po co wydawać kasę, skoro wystarczy jedno spojrzenie na wystawie, żeby stały ci przed oczami do końca życia?

– Weź przestań. – Gieniu wyraźnie zmarkotniał. – To nie jest zbyt optymistyczne...

– Jak twoje obrazy. Ale możesz na przykład zarabiać na nich w inny sposób: pobierać słone opłaty za samo ich oglądanie, ubrać to w jakąś terapię czy coś. Dziś nefarmakologiczne metody uzdrawiania są bardzo pożądane, spójrz choćby na naszą znachorkę, jakie ma wzięcie.

– I jaka jest skuteczna, tak na twoim przykładzie – rzuciła niby od niechcienia Dziunia. – Kwitniesz w oczach.

Aurelia się zmieszala.

– Owszem, czuję się już o wiele lepiej, ale to w równym stopniu zasługa zdrowego powietrza i zdrowego jedzenia.

– I picia – dodał Gieniu, chcąc się pewnie odgryźć za jej komentarze na temat swoich dzieł.

– A żebyś wiedział. Taki bimberek na najprawdziwszych produktach powinni w aptekach na receptę sprzedawać – dorzuciła babcia.

– Trzeba zrobić ekspertyzę. – Dziewczyna postukała palcem w leżącą przed nią otwartą teczkę.

– Bimberku?

– Nie, terenu. I wykazać na piśmie, że las powinien być pod ochroną. Rośnie tam coś cennego? Albo żyje?

– Wszystko – odparła babcia.

– No ja wiem, że wszystko, ale to dla nas, a żeby przekonać takiego urzędasza, trzeba mu podstawić pod nos coś naprawdę szczególnego.

Aurelia złapała za telefon i zaczęła w nim czegoś zawzięcie szukać.

– Wawrzynek wilczęłyko, podrzeń żebrowiec, parzydło leśne, śnieżyczka przebiśnieg, cieszynianka wiosenna i lilia złotogłów. Są tu takie?

– Nie za bardzo... Może trochę parzydła miejscami, ale niewiele...

– Może do takiej ekspertyzy wystarczyłyby zdjęcia?

– O! – ożywił się Gieniu. – Mógłbym się tym zająć. Trochę autentycznych fotek z lasu plus odpowiedni program graficzny i będzie aż gęsto od parzydeł i tych tam... innych... wilczych kłykciołów.

– Może by i wystarczyły, trzeba tylko znaleźć odpowiednich ekspertów i ich przekonać, że nie ma po co osobiście chodzić do lasu.

– Bo tam straszy na przykład – ucieszył się Gieniu.

– Właśnie. Powieś parę swoich obrazów na drzewach, to załatwi sprawę.

– Ale ty jesteś! – Chłopak spojrział z wyrzutem na Aurelię. – Nie sądzisz, że jako moja narzeczona powinnaś mi raczej kibicować, a nie zniechęcać?

– No przecież ci kibicuję. Taka ekspozycja mogłaby cię uczynić sławnym.

– Okej. To może zamiast gdybać, po prostu się do tego weźmy – podsumowała trzeźwo Dziunia i wyszła.

Wróciła po chwili i postawiła przed Gieniem laptop, który pewnie do tej pory przeleżał w jej walizce.

- Działaj.

- Już się robi, na wieczór macie las, to z mojej strony, wy się zajmijcie ekspertami.

- Tak à propos... - przypomniało się Poli. - Kogo widzieliście w sklepie?

- À propos czego?

- Sklepu. Zjadłabym śledzia w occie...

- Nie uwierzysz.

- Nie?

- Nie.

- No wal, a potem się okaże.

- U-ś-m-i-e-ch-n-i-ę-t-e-g-o!

- Miałaś rację. Nie wierzę.

- No więc widzisz. I nie ma o czym gadać.

- Kto to jest Uśmiechnięty? - zainteresowała się Dziunia.

- Taki jeden... Przychodził do butik, kupował czasem coś dla swojej kobiety i przepadał. Tak go nazwałyśmy, bo ma taki... powalający uśmiech. Zwłaszcza Polę.

- Wobec tego faktycznie go tu widziałaś. To mój... można by powiedzieć, brat.

- Cooo??? - Poli aż dech zaparło w piersiach. - Brat? To czemu wywał u nas tyle kasy, zamiast brać za friko, jak swoje?

- No właśnie dlatego. Woli dawać zarobić mnie niż komuś innemu.

- Ano w sumie... Zresztą on mi zawsze wyglądał na bardzo honorowego... Po co tu przyjechał? Też do znachorki?

- Jakbyś zgadła.

- Sam?

- Nie.

- To u was jakieś genetyczne?

- Co?

- Ta choroba, co ci dolega.

– Aurelia... To nie jest temat na plecenie trzy po trzy przy stole, tu i teraz...

– Sorki. Zagalopowałam się.

– Nie szkodzi. Na razie po prostu nie chcę o tym mówić.

Pola pomyślała, że sprawa naprawdę może być poważna, i przyjrzała się z uwagą swojej szefowej. Tu jawiła się jej zupełnie inaczej niż w pracy. Wyglądała na mniej skupioną na sobie i... o wiele inteligentniejszą. Czyżby to również była zasługa tutejszego klimatu?

– Musimy się uwinąć z tym wszystkim – powiedziała Aurelia. – Kończy mi się chorobowe, a ty masz raptem parę dni więcej urlopu – zwróciła się do Poli. – A przecież nie zostawimy twojej babci samej z problemem...

– Mam propozycję – odezwała się Dziunia, a dziewczyny spojrzały na nią ciekawie. – Ja tu jeszcze pewnie trochę pobędę, a wy, jeśli chcecie, możecie zostać aż do mojego powrotu. Zabierzemy się razem, nie będziecie musiały tłuc się pociągami.

– A... butik? – spytała Pola.

– No przecież pod ziemię się nie zapadnie. To nie jest moje główne źródło utrzymania.

– Jasne, super – ucieszyła się Aurelia. – Wobec tego zadzwonię do rodziców i powiem, że trochę tu jeszcze pobędę. Ty zrób to samo, bo się matka zamartwi.

– Raczej wątpię, ale napiszę SMS-a.

Kiedy dziewczyna odblokowała numer telefonu matki, znalazła na liście kilkanaście nieodebranych połączeń.

– Co jest, u licha... – mruknęła pod nosem i mimo ogromnej niechęci do tej rozmowy też postanowiła zadzwonić.

Wyszła przed dom i usiadła na ławeczce, by móc się lepiej skupić przed ewentualnym odpieraniem jej ataków.

– O mój Boże! – usłyszała na początek w słuchawce. – Pola, jak ty tak możesz? Zniknąłeś z domu bez słowa i poza jedną wiadomością, że jesteś u babki, głucha cisza. A ja się tu zamartwiam na śmierć, że mogło ci się coś stać...

– Zamartwiasz się? Serio?

– A jak myślisz?

– Przecież ten wyjazd to był twój pomysł.

– Owszem, ale nie był mój, żeby stracić na ten czas z tobą kontakt.

– No to powiem tak: u mnie wszystko dobrze i jeszcze trochę przedłużę sobie urlop.

– Aż tak dobre? – Pani Alina chyba już wróciła do siebie, bo zaczęła ironizować.

– A nawet lepiej. Babcia jest świetną kobietą i znakomicie się tu bawimy.

Zapadło chwilowe milczenie.

– Tego się właśnie obawiałam... I radziłabym ci wracać w terminie, pracę masz, jaką masz, ale skoro się już jej podjęłaś, powinnaś być odpowiedzialna i konsekwentna. Sama Aurelia może sobie na dłuższą metę nie poradzić.

– Aurelia jest tu razem ze mną.

Znowu zapadła cisza.

– Więc tym bardziej... Wasza szefowa nie będzie zadowolona z takiego obrotu sprawy. Powiem więcej, kiedy już się w końcu zjawicie, może się okazać, że zatrudniła już kogoś na wasze miejsca.

– Szefowa też tu jest.

– Pola! Nie żartuj sobie, ja mówię serio!

– Ja też. Jest tu i Aurelia, i jej chłopak, nasza szefowa i jej brat z... jakąś swoją dziewczyną czy żoną. I to była jej propozycja, żeby przedłużyć sobie wolne.

– Wiesz co? – odezwała się pani Alina po kolejnej dłuższej chwili. – Mam czasem wrażenie, że ty żyjesz na innej planecie niż ja, po której chodzą całkiem inni ludzie niż w moim świecie i obowiązują zupełnie inne zasady. Albo raczej nie obowiązują żadne.

– Mam dokładnie tak samo, tylko że odwrotnie – odparła Pola. – Nie będę cię już blokowała, jak zechcesz, to dzwoń, ale tylko w razie pożaru, powodzi lub trzęsienia ziemi. Pa.

- No, to zostajemy - oznajmiła reszcie towarzystwa po wejściu do kuchni. - I bierzmy się wreszcie do jakichś konkretnych działań.

ROZDZIAŁ IX

Na wsi wszystko widać wyraźniej

Dziunia razem z Uśmiechniętym i jego towarzyszką przepadli na resztę wieczoru. Oczywiście biorąc na wiarę, że facet, którego Aurelia widziała w sklepie, to rzeczywiście on. Pojechali do znachorki. Gieniu trudził się przy laptopie i tworzył półfikcyjne krajobrazy w oparciu o autentyczne zdjęcia tutejszego lasu. Aurelia od czasu do czasu musiała studiować jego wenę, bo uparcie dodawał w nich zwierzęta, jego zdaniem rzadkie i pod ochroną, takie jak niedźwiedzie i tury oraz nosorożce. Koniec końców stanęło na kilku w miarę wiarygodnych obrazach, które postanowili nazajutrz wydrukować. Albo w bibliotece, albo w świetlicy środowiskowej – gdzie się uda.

Pola, posiłkując się internetem, sporządziła pismo z zamiarem zaadresowania go do kilku miejsc: Wydziału Ochrony Środowiska w Gołdapi, Ministerstwa Środowiska i Ministerstwa Rolnictwa.

– No, to jedziemy po bandzie – stwierdziła Aurelia. – Ciekawe, czy ktoś to w ogóle przeczyta...

– Będzie musiał – zawzięła się Pola. – Bo nie wyślemy tego pocztą.

– A czym?

– Zawieziemy osobiście.

– Akurat... Do ministra jednego z drugim. Bo co to, kurde, złote cielce jakies czy co? Ludzie ich na te stołki wybrali, więc dla tych ludzi są – rzuciła babcia.

– Jezu, jak się zawzięła! – skomentowała ze śmiechem Aurelia.

– Moja wnusia. Nie tylko loki po mnie ma.

– Już dawno podejrzewałam, że drzemią w niej jakieś ukryte zasoby...

Ten jeden wieczór okazał się o wiele bardziej owocny w sprawie obrony lasu niż wszystkie poprzednie ranki, dni i wieczory spędzone w Zaciążu. Teraz wystarczyło jedynie ogarnąć logistycznie kolejne działania. Pola zaproponowała, że ich powrót powinien odbyć się przez Warszawę. Nadłożyliby drogi, ale uznała, że skoro mają pomóc, muszą wykorzystać każdą możliwość, a czemu by nie tę najbardziej ekstremalną? Zaczęła się dyskusja, podczas której wróciła od znachorki Dziunia.

– Ojej, jakie ożywione towarzystwo! – skomentowała, coś jakby w o wiele lepszym nastroju.

– No właśnie – zaczęła Pola. – Liczę na twoje poparcie i pomoc.

– Idę w to w ciemno. Pani babciu, można by zajrzeć do piwniczki?

– Zawsze. Domniemywam, że jest ku temu jakaś dobra okazja.

– Owszem, to znaczy... na taką się zanosি, a to już jakiś powód. Poza tym, o ile nie ma pani nic przeciwko temu, zaprosiłam do nas mojego brata na małe co nieco...

Pola i Aurelia zrobiły okrągłe oczy i takimiz spojrzały na siebie zdziwione.

– Uśmiechniętego, jak go nazywacie – potwierdziła ich wątpliwości radośnie. – I trafnie zresztą, bo Szymon ma faktycznie... bardzo przyjemny uśmiech.

– Trzeba będzie w takim razie dołożyć do kolacji dwa nakrycia – rzuciła sondująco Aurelia.

– Jedno. Będzie sam.

– No to co, zastawiamy stół? – Babcia poderwała się do działania, a za nią dziewczyny. Gieniu pozostał przy stole z Dziunią, do której pałał o wiele większą sympatią, niż życzyłyby sobie Aurelia.

Jak tylko kobiety zdążyły uszykować improwizowaną ucztę, w progu kuchni stanął Uśmiechnięty. On to, w osobie własnej. Na wioskach bowiem typu Zaciąg, w jakimkolwiek pewnie rejonie kraju, nie było zwyczaju zamykania drzwi i każdy wchodził, gdzie chciał i kiedy chciał. A Uśmiechnięty jakby o tym wiedział...

- Wy się już pewnie trochę znacie. - Dziunia zaczęła prezentację od swoich pracownic. - To jest Pola, a to Aurelia i jej narzeczony, Gieniu. A to pani Carmen, której zawdzięczamy pobyt tutaj i... nadzieję na rozwiązanie naszych problemów.

Wszyscy wymienili między sobą uściski dłoni, spojrzenia oraz miny mające świadczyć o tym, że „jest im bardzo miło”.

Pola, jednocześnie skupiona na gościu, rozmyślała nad celem wizyty swojej szefowej, jego oraz towarzyszącej mu tajemniczej kobiety. Oczywiście żarła ją zazdrość, bo Szymon (wreszcie dowiedziała się, jak ma na imię) był tu z kimś, kto całkowicie władał jego sercem. To była ta nieracjonalna strona jej rozważań, bo kiedy od czasu do czasu starała się myśleć na chłodno, dochodziła do wniosku, że takie oddanie komuś świadczy o nim wyłącznie dobrze. Ale realia realiami, emocje zaś emocjami.

- Aż się prosi, żeby powiedzieć: „jaki ten świat mały” - powiedziała Aurelia.

- Albo raczej że nic na świecie nie dzieje się przypadkiem - skorygowała Dziunia. - Mam na myśli wasz przyjazd tutaj. Chyba miałyście jakąś misję zleconą przez siły wyższe...

- Ja tam w żadne siły wyższe nie wierzę - powiedziała babcia i sięgnęła po butelkę. - No, chyba że w spiritus-spirytus. Amen.

Tym razem jednak na stole stanęło winko, widocznie babcia miała różne trunki na różne okazje.

- Nigdy bym nie pomyślała, że jest pan bratem Dzi... Beaty. - Aurelia, jak to ona, nie grzeszyła dyplomacją. - Jesteście jakby... całkiem do siebie niepodobni.

- Bo też nie całkiem jesteśmy rodzeństwem - uśmiechnął się Szymon tak, że nawet babcia na chwilę znieruchomiała.

- Czyli?

- Jesteśmy rodzeństwem stryjecznym, ale od najmłodszych lat wychowywaliśmy się razem. Dlatego jest między nami prawdziwie bratersko-siostrzana więź.

– To prawda. – Dziunia spjrzała na niego z miłością. – Może nawet większa niż u niejednego biologicznego rodzeństwa.

– Szkoda, że pana towarzyszka nie przyszła. Miałybyśmy okazję poznać prawie całą rodzinę szefowej.

– Musiała odpocząć. Miała trudny dzień...

Pola pomyślała, że być może to nie Dziunia ma problem zdrowotny, lecz kobieta Szymona. Poskładała do kupy różne strzępki jego wypowiedzi w butik, mętne zdania na temat wizyt u znachorki szefowej, tajemniczość babci i była już prawie pewna swoich wniosków. Zrobiło się jej smutno, i z powodu owego „problemu”, jaki mieli Dziunia i jej brat, oraz z coraz przykrzejszej myśli, że mogły obie z Aurelią niewłaściwie i... krzywdząco oceniać swoją szefową. Skorygowanie tej opinii i przyznanie się przed sobą do tego faktu nie było dla niej łatwe...

– Mam nadzieję, że prezenty, które pan dla niej u nas kupował, sprawiały jej przyjemność – drążyła Aurelia, ciągnąc go za język.

– Szymon jestem i tak się proszę do mnie zwracać – powiedział. – Ja też mam taką nadzieję.

– Czy ona... jest chora? – wypaliła dziewczyna już całkiem wprost.

– Tak, niestety. Od kilku lat cierpi na reumatoidalne zapalenie stawów. To bardzo bolesna dolegliwość i znacznie ograniczająca zdolność ruchową.

– Normalni lekarze nie pomogli?

– Pomogli, na ile to było możliwe. Teraz wykorzystujemy wszystkie dostępne sposoby leczenia.

– W tym nienormalnych lekarzy – dodała z uśmiechem Dziunia.

– Miałam na myśli...

– Nieważne, nalej jeszcze winka. Szymon, zjedz coś może, bo jak cię znam, pewnie nic jeszcze nie miałeś w ustach.

Aurelia napełniła kieliszki i rzuciła się do obsługi Szymona, czym o mały włos nie wzbudziła u Poli zazdrości. Jednak pomyślała prędko, że skoro facet jest już zajęty, nieważne, kto mu będzie nadskakiwał, bo to i tak niczego nie zmieni.

Szymon był o wiele bardziej wylewny od swojej „siostry” i bez oporów opowiadał o sobie. Był z wykształcenia architektem, z zawodu urzędnikiem miejskim na stanowisku głównego inspektora nadzoru budowlanego. Kiedyś miał inne aspiracje, chciał budować innowacyjne, wielkie obiekty użyteczności publicznej, ale w tej sytuacji nie ma już do tego głowy ani zapału. I ani on, ani Beatka nie mieli jakiegoś specjalnego przekonania do znachorskich praktyk, ale wizyta u Aiszy poskutkowała o wiele lepiej niż u jakiegokolwiek lekarza. Dlatego wszelkie nadzieje pokładali już tylko w niej i w ogóle są bardzo wdzięczni Poli i jej babci za naprowadzenie na tę możliwość.

Poli zrobiło się bardzo przyjemnie, gdy zwrócił się do niej po imieniu i obdarzył ją tym swoim niesamowitym uśmiechem.

– Super, mam nadzieję, że uda się wyleczyć pańską... pańską... – tu się zacięła.

– Mamę – powiedział mężczyzna, a Pola zacięła się już na amen. Czegoś takiego bowiem w ogóle nie brała pod uwagę.

Aż Aurelia trąciła ją tak mocno, że omal nie legła górną połową ciała na jego kolanach.

– Wobec tego pijemy zdrowie mamy. M a m y! – dodała krzykiem.

– Mamy – powtórzyła Pola odruchowo i uniosła kieliszek. – Myślałam, że to pańska... twoja żona...

– Szymon niestety nie ma czasu na swoje życie prywatne – powiedziała Dziunia jakby nieco sarkastycznie.

– A kto by mnie zechciał z tyloma problemami w pakiecie? – odparł mężczyzna. – Poza tym musiałbym być w stu procentach pewien, że kobieta, która się na mnie zdecyduje, będzie wystarczająco dojrzała i odpowiedzialna, żeby nie ucierpieć na tym spokój i komfort życia mamy. A to zbyt wielkie wymagania z mojej strony, wiem z doświadczenia.

– Z kobietami?

– Nie, z facetami – zaśmiała się Dziunia, jakby już nieco podchmielona.

Był to zupełnie nowy widok, bo wcześniej piła jak smok, i to pełnoprawny bimber, a nigdy dotąd nie było po niej widać najłżejszego stanu upojenia.

– Tak, z kobietami – powiedział Szymon całkiem poważnie. – Ale nie ma o czym mówić, naprawdę.

– Ja to świetnie rozumiem – odezwał się po raz pierwszy Gieniu, całkiem już ośmielony promilami. – Kobiety są interesowne i wyrachowane. A jeśli już kochają, to nie wiadomo, czy naprawdę.

– Mówisz o mnie? – Aurelia spojrzała na niego groźnie.

– Ogólnie o kobietach. A ty jesteś kobietą. Ogólnie – odparł, w swoim mniemaniu dyplomatycznie.

– Serio? Nie jesteś pewien, czy kocham cię **naprawdę**?

– A skąd ja mam to wiedzieć?

– Sam fakt, że z tobą jestem, za tym przemawia.

– Do mnie nie przemawia.

– O? A czego byś oczekiwał, żeby się o moim uczuciu przekonać?

– Jakiegoś takiego... większego uwielbienia, dającego się wyraźnie odczuć. W sposób realny i namacalny.

– A to niby z jakiego powodu?

– Bo ja jestem wrażliwszy niż inni, bardziej emocjonalny, delikatniejszy. Gdyż jestem artystą.

– Ale weź skonkretyzuj, jak by się to moje uwielbienie miało objawiać?

– No... słowem, czynem, gestami.

– To sorry, ale nie będę piał peanów na twoją cześć, gdy nie widzę powodu objawiającego się słowami, gestami, a już na pewno nie czynami.

– Nie?

– Nie.

– A... moja sztuka to nie jest powód? Sam w sobie?

– Byłaby, gdybym odczuwała z niej jakiegokolwiek korzyści.

– Materialistka... Bo oczywiście chodzi ci o kasę?

– Przeciwnie. Chodzi mi o to, że jesteś na tym swoim malowaniu skupiony o wiele bardziej niż na mnie. I na sobie znacznie bardziej niż na

naszej wspólnej przyszłości. W nosie masz, gdzie będziemy mieszkać, z czego i jak żyć. Już dawno moglibyśmy być razem, ale dla ciebie priorytetem jest, żeby w mieszkaniu było miejsce na pracownię, a na takie nas nie stać.

– No właśnie. I o to nam chodzi, Szymon, co nie? – Gieniu zwrócił się do gościa. – Żeby taka kobieta potrafiła zrozumieć, że są w życiu mężczyzny ważniejsze rzeczy niż ona... Ech... napijmy się za nasze nieszczęścia...

Aurelia zerwała się od stołu i wyszła, Pola wybiegła za nią.

– Najgorsze jest to, że ten dupek kompletnie nie zdaje sobie z tego sprawy, że gdyby nie ja, dawno by już marnie zginął. Nawet w rodzicach nie ma takiego oparcia jak we mnie. Uwielbienie... O mój Boże, ty to słyszałaś? A moje poświęcenia, stawianie na każdym kroku jego potrzeb nad moimi? Czy on jest ślepy, normalnie? Czy głupi?

– Głupi, to oczywiście – odpowiedziała na to Pola. – I to na tyle, że nigdy nie będzie w stanie tego pojąć i docenić.

– Ma rację nasza Dziunia, wszystko jest po coś. Moją korzyścią z przyjazdu tutaj będzie chyba otwarcie oczu na mój, pożałuj się Boże, związek.

– Ale mimo wszystko sprawiacie wrażenie tak z sobą zgranych, że wszystko inne mogłoby być nieważne.

– Bo w pewnych obszarach nadajemy na tych samych falach, miewamy identyczny flow, oboje mamy w nosie ludzkie opinie na swój temat i nieodpartą potrzebę wolności we wszelkich działaniach. Ale oprócz tego istnieje coś jak proza życia, które jest czymś więcej niż tylko zaspakajaniem potrzeb fizjologicznych. Jemu niestety tyle wystarcza. A dzieci? Wyobrażasz sobie Gienia w roli ojca?

– No raczej nie...

– Ej, dziewczyno, co jest? – Nagle wyrosła między nimi Dziunia.

– Sama słyszałaś, więc wiesz – odburknęła Aurelia.

– Upił się. A poza tym to tylko facet, prosty umysł, wygórowane potrzeby.

– A... Szymon? – spytała Pola.

– Tacy też się zdarzają, ale niezwykle rzadko. Trzeba naprawdę wielu życiowych okoliczności, żeby ukształtować samca na człowieka.

– Nie jest to zbyt optymistyczne.

– Nie jest. Ale ja mam tego świadomość i gdybym miała się z kimś związać, miałabym tylko jedno wymaganie: wierność. I ten on musiałby mnie czymkolwiek pociągać, rzecz jasna. Poza tym mógłby być nawet troglodytą.

– Mógłby cię nawet bić?

– Bez przesady. Są jakieś granice, których nawet najbardziej tolerancyjna kobieta nie powinna pozwolić przekroczyć.

– Chcesz powiedzieć, że powinnam Gienia bezkrytycznie wielbić i wszystko inne, poza niewiernością, mieć w nosie?

– Ależ skąd. Każdy z nas ma swoje własne oczekiwania względem drugiej osoby, moje są naprawdę minimalne, ale ty masz prawo mieć inne. Nic na siłę.

– Wobec tego idę z nim zerwać! – Aurelia rzuciła się ku drzwiom do kuchni.

– Daj spokój. – Dziunia położyła jej rękę na ramieniu. – Rano nawet nie będzie o tym pamiętał. Ani o tym, co wygadywał.

– Ale to w nim jest! Tylko wypłynęło akurat teraz!

– Ja ci jednak radzę, prześpij się z tym, nie działaj pod wpływem chwili. On w tym stanie i tak niczego nie przyswoi. Zwłaszcza że zdążył już zasnąć przy stole.

– Ale siara... I to przy takim gościu...

– Dobrze, że akurat przy takim. Szymon nigdy nie ocenia ludzi zbyt pochopnie. I raczej ich tłumaczy, niż potępia.

Pola zmieszała się na te słowa. Nie chodziło jej o Szymona, tylko o nią samą i jej dotychczasowy stosunek do szefowej, wykreowany tylko na podstawie wyglądu. Fakt, kobieta miała wiele udoskonalonych operacyjnie elementów w swoim wyglądzie, i to w taki sposób, że ewidentnie rzucały się w oczy. Ale przecież... jak sama powiedziała,

człowiek ma prawo żyć, jak chce, i robić, co chce. Spojrzała przelotnie na Aurelię, zastanawiając się, czy i ona ma podobne przemyślenia, i postanowiła z nią o tym porozmawiać przy lepszej okazji.

Gieniu zaś rzeczywiście spał z głową na ułożonej na stole dłoni, pani Carmen i Szymon rozmawiali o czymś cicho...

– Pójdę już – odezwał się w pewnym momencie do Dziuni.

– Już?

– Zanim dojdę na miejsce, upłynie jeszcze z godzina, a nie chcę mamy zostawiać na tak długo.

– Dobrze. Zdzwonimy się rano.

– Jasne, odezwę się i powiem, co z nią.

ROZDZIAŁ X

Między panem, wójtem a plebanem

Ja bym się chciała dowiedzieć, co wy kombinujecie – zażądała odpowiedzi na swoje pytanie, bardzo kategorycznie zresztą, matka radnego Adasia.

Kobieta z samego rana wtargnęła na ranczo pani Carmen, bynajmniej nie z pokojową misją.

– A o co się tobie, Halinka, rozchodzi, bo chyba od tego powinnaś zacząć? – odparowała kobieta.

– Chodźcie po wsi, drukujecie jakieś petycje czy co tam innego i mieszacie się w nie swoje sprawy.

– Po pierwsze – pani Carmen przyjęła postawę zdecydowanie bojową – nasza wola i sprawa, gdzie chodzimy i co drukujemy. A po drugie: w jakim charakterze przychodzisz? Bo mnie się zdaje, że wyłącznie wścibskiej baby, bo żadnego innego umocowania nie masz.

– Jestem matką radnego! – odrzyknęła niewiasta z godnością.

– O! A to znaczy, że matka księdza ma prawo mszę odprawiać i ludzi spowiadać?

– To już zupełnie co innego.

– Wręcz przeciwnie. Całkiem to samo. Gdyby było inaczej, miałabyś prawo używać tytułu magistra swojego synka – dopiekła jej, mając na uwadze nieskończone przez nią studia.

– Ale stać za swoim jedynakiem mam prawo, a nawet i obowiązek.

– To sobie stój, ale w jego prywatnych sprawach, a nie państwowych. Dopilnuj na przykład, żeby tyle nie chlął i nie wyprawiał brewerii pod wpływem, bo mu jako politykowi nie wypada.

– A kto go tak urządził ostatnio, jeśli można spytać? – odgryzła się pani Halinka.

– Gwałtem mu alkoholu do paszczy nie lałam. Sam pił i poganiał jeszcze. I do hrabianki się przystawiał ponad wszelką przyzwoitość.

Halinka pokraśniała na gębie w sposób mogący zwiastować nawet wylew krwi do mózgu.

– Co robił, to robił, ale wszystko było przez ciebie ukartowane.

– Taaa... zwłaszcza wasza wizyta w moim domu, bo nie przypominam sobie, żebym was zapraszała. Ale skoro już się do mnie po chamsku wbiliście, częstowałam, czym miałam. Waszą wolą było, jak i ile z mojej dobrej woli będziecie korzystać.

Mama radnego na te słowa odwróciła się na pięcie i odeszła, bo nie miała rzeczowego kontrargumentu na słowa pani domu.

– Brawo babcia – skomentowała Pola, podsłuchująca zza drzwi tej rozmowy. – Ona się już teraz kilka razy zastanowi, zanim uderzy do ciebie w pretensje...

– Wątpię. Musiałaby mieć zdolność logicznego myślenia i wyciągania wniosków, a nie ma.

– A ten cały Adaś... Nie powinien jej zabronić występowania w swoim imieniu? Chyba ma więcej oleju pod kopułą, studiowałaś razem z nim, to pewnie wiesz.

– Oleju na pewno nie, ale sprytu owszem. Dlatego te studia skończył, na ściągach, podpowiedziach, podlizywaniu się wykładowcom i hojnych suwenirach. Nie podejrzewam go o najmniejszą wiedzę z kierunku, który ukończył. Ale jako polityk nie podlega żadnej weryfikacji, choć może gdyby mu przyszło pracować w „wyuczonym” zawodzie, sprawa miałaby szansę się rypnąć. I tylko wtedy.

– Fajnie – szepnęła Aurelia.

– Co... fajnie?

– Może go pani skompromitować, gdyby nadarzyła się okazja. Nie wiem, może zapytać o coś z jego dziedziny? Ale tak publicznie, spektakularnie.

- Myślałam o tym, ale nie było okazji. To znaczy publikacji, która mogłaby się rozegnać w temacie.

- Jeszcze się znajdzie - powiedziała Aurelia z przekonaniem. - Albo mu znajdziemy...

- Na bank - potwierdziła Pola. - Tylko się dostaniemy na wyższe szczeble, a może i do mediów...

- Tu Szymon mógłby pomóc - włączyła się Dziunia. - Ma bardzo rozległe znajomości, w stołecznych mediach również.

- I teraz dopiero o tym mówisz?

- Wcześniej sprawy nie rozwijały się aż tak konkretnie. Poza tym dopiero teraz może znaleźć moment, gdy mogę go poprosić o pomoc. O ile oczywiście sprawa jego mamy potoczy się wystarczająco dobrze.

- Jego mamy?

- Tak, mamy, mówił przecież.

- Owszem, ale pomyślałam, że może mamę macie wspólną, ale innych ojców na przykład. Dlatego nie jesteście w stu procentach rodzeństwem.

- Nie trafiłaś. Nie mamy żadnego wspólnego rodzica. Jego mama jest żoną brata mojego ojca. Wzięli mnie pod opiekę tuż przed ukończeniem osiemnastki.

- A twoi biologiczni rodzice? Nie żyją? - spytała bez ogródek Aurelia.

- Żyją - odparła Dziunia, nie tłumacząc niczego więcej.

Pola czując, że przyjaciółka zamierza wypytywać dalej, trąciła ją łokciem w bok. Uważała bowiem, że naciąganie Dziuni na zwierzenia nie jest całkiem w porządku.

Aurelia zrozumiała i zabrała się do szykowania późnego śniadania.

- Obudź może swojego chłopaka - poradziła babcia. - Niechby choć trochę doszedł do siebie, zanim siądzie do stołu.

- W nosie go mam - mruknęła dziewczyna. - Zgłodnieje, to sam przyjdzie.

- To może ja pójdę? - zaproponowała Dziunia.

- Jak sobie chcesz, tylko nie zapomnij mu okazać swojego uwielbienia. A szkoda by było, żeby artysta tego formatu przymierał głodem.

– Każdego byłoby szkoda. Bo w pierwszej kolejności jest człowiekiem, artystą dużo, dużo potem.

– On sam jest pewnie innego zdania, ale skoro tak uważasz...

Dziunia wyszła i wróciła po dobrej chwili, razem z Gieniem, bladym, rozczochranym i całym w źdźbłach siana.

– I jak uwielbienie? Widać wystarczające, skoro raczyłeś przyjść – rzuciła Aurelia pogardliwie.

– Jak... co?

– Uwielbienie dla twojej osoby. Wczoraj był to twój warunek, żebym mogła dostąpić zaszczytu bycia twoją dziewczyną.

– Co? – Chłopak potoczył wzrokiem po wszystkich obecnych.

– Mniejsza z tym, nawet jeśli ty nie pamiętasz, ja i owszem, wraz ze wszystkimi, którzy wysłuchali twojej tyrady.

Gieniu, nawet jeśli zbyt wiele nie pamiętał, mógł się domyślić, gdyż wygłoszona przez niego na głos idea mogła być częścią jego osobistych i prawdziwych poglądów.

– Daj spokój, Aurelia – bąknął. – Dobrze wiesz, że kocham cię taką, jaka jesteś.

– Nawet jeśli cię wystarczająco nie wielbię?

– Nawet. Bo zdaję sobie sprawę, że to cię po prostu przerasta, ale jestem wyrozumiała dla twoich niedoskonałości.

Tymi słowami Gieniu ewidentnie strzelił sobie w łeb, a już na pewno swojemu związkowi z Aurelią.

– Dziękuję – odparła dziewczyna z niezauważoną przez Gienia ironią.

– Spokojnie. Przepraszać też nie musisz, póki nie jesteś gotowa zaakceptować rzeczy, jakimi są.

Pola, wsłuchująca się w tę wymianę zdań, na ostatnie słowa Gienia wypłuła z powrotem na talerz kęs kanapki z wegetariańskim pasztetem i kiszonym ogórkiem. Nie skomentowała ich jednak, bo po prostu nie była w stanie. Aurelia zaś wstała bez słowa i dołała każdemu herbaty do kubka. Dziunia nie odezwała się w ogóle, babcia zaś popadła w zadumę...

- A wiesz? Chyba właśnie zaakceptowałam - stwierdziła w końcu Aurelia.

- Serio?

- O wiele bardziej, niżbyś oczekiwał.

- Czyli?

- Że nie jestem w stanie dostosować się do twoich oczekiwań. Więc albo ty spróbujesz się dostosować do moich, albo znajdź sobie kogoś, kto da radę zaspokoić twoje.

- No co ty? - zdumiał się Gieniu. - A ja byłem tak pewny, że lada chwila dojrzejesz do naszego związku...

- Jezu, Gieniu, nie pogrążaj się, proszę - krzyknęła na niego Pola.

- Ale ja naprawdę nie rozumiem, co się jej nagle stało...

- Pewnie nic, ale chyba po raz pierwszy usłyszała twoje stanowisko względem waszej relacji.

- Werbalnie tak, ale przecież Aurelka jest inteligentną osobą, byłem więc przekonany, że wie i wyczuwa kwestie niewypowiedziane.

- Owszem, ale może tych akurat kwestii wolałam sobie nie uświadamiać. Niestety, stało się i nic na to nie poradzę, ani teraz, ani w przyszłości. Pewnych rzeczy po prostu się „nie odsłyszysz”.

- Zrywasz ze mną? - Gieniu poderwał się z krzesła.

- Właśnie.

- Ze m n ą?

- A z kim innym, skoro to z tobą właśnie jestem?

- Ale... dlaczego? Za co?

- Jak sam do tego dojdiesz i pojmiesz, pogadamy. I być może wówczas coś z nas jeszcze będzie.

Chłopak był w ewidentnym szoku. Dopił swoją herbatę i poszedł do stodoły, być może chciał w samotności zrozumieć, co się nagle stało Aurelii, bo tymczasem nie był w stanie ogarnąć, czym sobie zasłużył na takie potraktowanie.

- Ale mu pojechałaś - skomentowała Pola. - Zdeptałaś doszczętnie jego poczucie wartości.

– W najlepszym razie sprowadziłam je do słusznego poziomu, w co raczej wątpię. Bo i ile go znam, ma teraz poczucie niezasłużonej krzywdy.

– Mogę z nim pogadać? – zapytała Dziunia.

– A gadaj, ile chcesz, o ile nie zamierzasz mu czegokolwiek wyperswadować, bo uprzedzam z góry, że to daremne.

– Nie zamierzam.

– Będiesz go pocieszała? – spytała Pola.

– Ani jedno, ani drugie. Po prostu interesuje mnie jego sposób myślenia, postawa, a także ich źródła. Bo to, jakim człowiek jest, wynika z wielu czynników. Rzecz w tym, że tylko najbliższe otoczenie jest w stanie dostrzec w nas cechy, których my albo nie zauważamy, albo rozmyślnie ignorujemy. Lub po prostu racjonalizujemy, by nie czuć dyskomfortu.

– No to nie jest ze mną chyba aż tak źle – pomyślała Pola. – Ja nie ignoruję, nie racjonalizuję i czuję dyskomfort...

Myśl ta dotyczyła gryzącego ją od jakiegoś czasu sposobu traktowania szefowej, może nie takiego realnego, ale w myślach, w stosunku do niej oraz opiniach na jej temat wygłaszanych do innych ludzi.

Dziunia udała się do stodoły, Pola zaś postanowiła wykorzystać tę chwilę na wyłożenie swoich wniosków przyjaciółce.

– Wiesz, coraz bardziej mi głupio w stosunku do niej – zaczęła.

– Do Dziuni?

– No.

– Czemu?

– Nie masz wrażenia, że ona wcale nie jest taka, jak myślałyśmy?

– Hmm.... – zastanowiła się Aurelia. – Rzeczywiście, tu jest jakby całkiem inna.

– Tu? A czy my w ogóle wiemy, jaka była tam? Gadałaś z nią w ogóle kiedykolwiek?

– No pewnie, przecież nie komunikowałam się z nią na migi.

– Ale o czymś innym niż o sprawach zawodowych.

– Nie.

– Ja też nie, dlatego doszłam do wniosku, że tak naprawdę niczego o niej nie wiemy.

– Ale są pewne symptomy, znaki, które pozwalają wyrobić sobie o kimś opinię. Dziunia na przykład jest lalą powypychaną, gdzie się da, silikonem, ze sztucznymi włosami i sposobem ubierania się jak tancerka go-go. I to już o czymś dla mnie świadczy. Dla ciebie nie?

– Świadczyło. Wiesz, co sobie pomyślałam?

– No?

– Że ona przecież też ma na nasz temat jakieś zdanie i ono wcale nie musi być pochlebne.

– Dlaczego niby?

– Dla tego samego. Że oceniła nas tak jak my ją, po łebkach.

– Może. Nie każ mi teraz myśleć o Dziuni, kiedy mam na głowie własne problemy.

– Nie każę, ale od czasu do czasu weź to pod uwagę, kiedy się będziesz do niej wyzłośliwiać. Gdzie babcia?

– Poszła do gadziny.

– Oj, nie poprosiła nas o pomoc?

– Dziunia się wyrwała. – Aurelia dostrzegła przez okno szefową z wiązką siana pod pachą. – Pewnie skapitulowała pod ciężarem argumentów Gienia i poszła się rozerwać...

Pola wzruszyła ramionami, dziwiąc się jedynie, że przyjaciółka ot tak po prostu zaakceptowała niecodzienne i zaskakujące zachowania szefowej bez najmniejszej refleksji.

Nie miała jednak czasu na dłuższe rozważania, bo na ranczu zjawili się kolejni niespodziewani goście: radny Adaś, przewodnicząca rady gminy Siarkowska oraz ksiądz proboszcz w osobie własnej.

– Lecieć po panią Carmen? – wyszeptała Aurelia.

– A po co, same nie damy rady? – odszepnęła Pola.

– Niech będzie pochwalony – wrzasnęła radna, wkładając ostrożnie głowę do kuchni.

– I vice versa – odparła Aurelia.

- Przychodzimy właściwie do gospodyni - oznajmił zza jej pleców Adaś. - Ale skoro jej nie ma, pewnie to i lepiej. Z wami może się uda bardziej po ludzku rozmawiać.

- Słuchamy więc. - Pola ani myślała proponować im siadanie do stołu.

- Ja nie wiem, kim państwo jest, skąd i po co przyjechało, ale widzę, że zaczynacie się mieszać w nie swoje sprawy - powiedziała Siarkowska i wreszcie przestała blokować sobą drzwi, pozwalając reszcie ujawnić się w pełnej krasie.

- Myli się pani, sprawy są jak najbardziej nasze, bo globalne.

- Zaciążeńskie, nie globalne.

- A Zaciąg to niby gdzie leży, nie na globie? - włączyła się Aurelia.

- Nie - stwierdził radny Adaś.

- Gdzie w takim razie?

- Jakby się pani znała na geografii, toby pani wiedziała.

- No super... Ale las to las, należy do środowiska, nie do pana. I nie ma pan żadnego prawa go dewastować.

- Prawo mam. Urzędowe, na papierze. I nie dewastować, tylko... tylko...

- Przedłożyć nad te parę drzew ogólne, ludzkie dobro. - Po raz pierwszy głos zabrał ksiądz.

- No jasne, rynek pracy i takie tam sranie w banie... O, sorki - zreflektowała się dziewczyna w obliczu duchownego. - Ja też jestem za rozwojem wsi, ale nie kosztem unikatowej przyrody. Jak okiem sięgnąć macie tu gołe łąki, czemu więc nie tam?

- Pani i tak tego nie zrozumie. - Siarkowska wydeła pogardliwie wargi.

- Czemu nie zrozumie? - ryknęła jej zza pleców babcia, która razem z Dziunią i skołtunionym Gieniem wsunęły się do kuchni.

Kobieta aż podskoczyła do góry, Adaś zaczął przebierać w miejscu nogami, ksiądz zaś wbił nieruchomo oczy w podłogę.

- A wielebny jaki ma w tym interes, ha? - zwróciła się babcia do niego. - Radny coś obiecał może? Bo zaangażowanie jegomościa jest tak wielkie, że jakby nie za darmo.

– Mnie? A czegoż mnie potrzeba?

– Księdzu może nie – włączyła się Dziunia. – Ale słyszałam w sklepie, że i na kościele, i na plebanii ma być kładziony nowy dach... Przydałoby się i drzewo, i przychylność władz, prawda?

Proboszcz się zmieszał na te słowa.

– To nie tak... Nie po to wycinany jest las, żeby zaspokoić potrzeby parafii, przeciwnie, skoro już to drzewo będzie, ścięte oczywiście w innej sprawie, może i parafia nieco skorzysta...

– Nieco. A reszta drzewa?

– Miałem wrażenie, że jest pani taka pobożna, choć miastowa – zignorował pytanie ksiądz. – Kilka razy widziałem panią u nas na mszy...

– A co ma pobożność do wiatraka? – wyskoczyła na niego Aurelia. – Sam Pan Bóg sobie tej wycinki zażyczył czy co?

– Oczywiście, że nie, ale może na tym przy okazji skorzystać.

– Pan Bóg???

– No pewnie – poparł księdza Adaś. – Będzie miał przecież nowy dach.

– A, no tak. W związku z czym wszyscy jak jeden pójdziecie do nieba.

– Czymś się przecież trzeba Najwyższemu na tym padole zasłużyć. – Siarkowska skłoniła głowę z pokorą.

– Mnie się wydaje, choć za bardzo kościelna nie jestem – wtrąciła Aurelia – że Najwyższemu miłsze są drzewa, które sam wyprodukował, niż wasz dach. On chyba raczej ani nie zmoknie, ani nie zmarznie. A co do zasług, macie te... te swoje wytyczne, w których o dachach nic raczej nie ma.

– To jest Dekalog – odpowiedziała jej Dziunia.

– No właśnie. Dekalog.

– Oczywiście, ma pani rację – powiedział ksiądz. – Ale gdzieś te jego owieczki muszą się zbierać, prawda? Godności boskiej by urągało, gdyby Jego świątynia zaczęła przeciekać.

– To niech sobie wielebny jedzie do tartaku i kupi, co mu trzeba – rzuciła babcia.

– Myśli pani, że parafia ma na to środki?

– Parafia może nie, ale władze mają, Nie te, to wyższe. Dziś przecież wasze akcje stoją jak nigdy, każdy polityk rad kabzą ruszy, aby ksiądz tylko z ambony się dobrze o nim wyraził. Zwłaszcza że wybory za pasem...

– Co też... pani mówi.

– Nazywam rzeczy po imieniu i niech mi się tu proboszcz fałszywie nie kryguje.

– W takie słowa? Do sługi Bożego? – oburzyła się Siarkowska.

– Do sługi chyba można, to w końcu żadna fucha – zauważyła Aurelia.

– Co z resztą drzew? – ponowiła pytanie Dziunia, chcąc chyba uniknąć ostrzejszej wymiany zdań.

– No co... Sprzeda się, żeby nie zmarnować.

– Dobrze, to zapytam jeszcze raz: nie można przenieść tej waszej inwestycji na tereny niezalesione?

– Nie – odparła Siarkowska.

– Bo?

– Bo inwestor chce akurat tam.

– Bo? – podbiła pytanie Pola.

– Bo tak mu pasuje.

– Bo? – powtórzyła po niej Aurelia.

– Bo jajco – warknął Adaś.

– Rozumiem – ucieszyła się Pola. – Musimy więc poprawić nasze pismo do ministra i ująć w nim argument tutejszej władzy za wycinką lasów – „bo jajco”.

– Kim jest ten inwestor? Bo może bezpośrednio jemu uda się wyperswadować, żeby wybrał sobie inną lokalizację – spytała trzeźwo Dziunia.

– A nos do dupy – zaperzyła się Siarkowska. – Nie wasza sprawa.

– Owszem, nasza, tym bardziej że to powinna być informacja jawna, dla każdego.

– Ale nie dla was, fanfarony jedne nie wiadomo skąd.

– Ja to wszystko nagrywam. – Gieniu wysunął się na czoło, wymachując komórką.

- Daj mi to! Daj mi to, młodzieńcze, natychmiast! - zażądała Siarkowska, wyciągając rękę po aparat.

- A poszła sio - odpowiedział jej chłopak, chowając się za Aurelią. - To moja własność jest chyba, nie? I owszem, nasza sprawa, bo to jest informacja jawna.

- Wysoko mierzycie - mruknął pod nosem ksiądz. - Do samego ministra... Ale szkoda waszej fatygi, taki ważny polityk nie będzie sobie zawracał głowy kilkusobową grupką wywrotowców.

- No to się pan ksiądz grubo myli - oznajmiła Aurelia. - Bo nie wie, z kim ma do czynienia.

- Pani hrabino - zwrócił się do Dziuni Adaś, widocznie to ją podejrzewając o jakieś koneksje w ministerstwie. - Taka kobieta z klasą... i miesza się w głupią rozróbę? To do pani nie pasuje.

- Pasuje, pasuje. Gdyby pan wiedział, jakie rozróby mam już na swoim koncie, nie oceniałby mnie pan tak łaskawie.

- Na przykład?

- Kobiecie z klasą nie wypada się przechwalać. - Dziunia puściła oko do babci. - Mogę co najwyżej pozwolić wam się przekonać na własne oczy. I to by było chyba na tyle, pani Carmen?

- Właśnie - potwierdziła babcia. - Bo nam jajecznicza stygnie.

ROZDZIAŁ XI

Korpus dyplomatyczny

Nie wiem, czy wiecie, ale zakładam, że nie... – zaczął Gieniu z fochem, który nie opuszczał go od czasu wymiany poglądów na jego osobę z Aurelią.

– Że? – Jedynie Dziunia zainteresowała się ciągiem dalszym.

– Że ten wasz minister od przyrody będzie pojutrze raptem siedem kilometrów stąd?

– Co??? – odezwały się jednocześnie Pola i Aurelia.

– A i owszem, ma tam pogadankę z mieszkańcami i oglądanie jakiegoś mostu w programie wycieczki.

– Pokaż! – zażądała Pola, wypychając go łokciem sprzed laptopa Dziuni.

– Krzysztof Budas, minister... do spraw... Faktycznie! – przyznała po chwili. – No więc, jak się to mówi, przyjechała góra do Mahometa. I my tej okazji nie przepuścimy.

Teraz przed ekran wbiły się Dziunia i Aurelia.

– O kurczę... Ja też bym chciała tam pojechać, ale dokładnie w tych godzinach mama Szymona ma sesję u znachorki i mam z nimi tam być...

– Dokąd byś chciała pojechać? – spytała babcia, która akurat weszła do kuchni i jak pozostali wbiła oczy w ekran. – Obejrzeć most w Stańczykach? Stoi tam od stu lat i postoi pewnie drugie tyle, więc nie musisz się śpieszyć.

– Nie! To znaczy most owszem, fajny, ale chodzi o ministra. Będzie go podziwiał pojutrze i chcemy tam go dopaść.

Gieniu jako odkrywca owego faktu pośpieszył z wyjaśnieniem, dodając na końcu, że gdyby nie on, wszyscy by tu marnie zginęli, ale się go niestety nie docenia.

– No właśnie, babciu. – Pola, jak i wszyscy pozostali zignorowali drugą część jego wypowiedzi. – A skoro tak, po co mamy jeździć do Warszawy, jeśli możemy mu to pismo wręczyć przy okazji? Będzie na pewno bardziej przystępny i bliżej natury, a to mu może podziała na wyobraźnię.

– Pewnie, że można spróbować. A ty, Beatko, jedź z nimi, zabierz też brata, przyda wam się jakiś facet, ja z jego mamą do znaczorki pojedę. O, przepraszam, Gieniu, miałam na myśli dwóch facetów. – Skonsternowała się na widok jego miny.

– Żartujesz? Odpuścisz we własnej sprawie? – wykrzyknęła Pola.

– Uwierz mi, lepiej będzie, jeśli nie pojedę. Obawiam się, że mogłabym tylko wszystko popsuć, gdyby nerw mi puścił. A znam siebie i wiem, że w krytycznych sytuacjach jestem nie do opanowania.

– Zadzwońię do Szymona – oznajmiła Dziunia, zabrała telefon i wyszła przed dom.

– Może będziemy mieli kierowcę – powiedziała Pola.

– Ją? Przecież mam prawko, ty też, a Gieniu od czterech lat jest w trakcie. – Aurelia nie darowała sobie przytyku.

– Ja nie mam praktyki, a ty... Może lepiej, żebyś nie siadała za kierownicą jej fury...

– A pewnie, że nie siądę. Mam inny koncept: pojedziemy autem babci i motorem, bo wszyscy się do malucha nie zmieścimy.

– Aurelia...

– Co Aurelia? Chcesz zrobić wrażenie na ministrze czy nie? Bryką za pół miliona mu na pewno nie zaimponujesz.

– Myślę, że niestety masz rację – wtrącił się Gieniu. – Taki performans może mu nawet odebrać całą uwagę i skupić ją na nas. A jeśli będą media, bo na pewno będą, zasłyniemy na cały kraj. Może uda mi się nawet pokazać do kamery swój obraz...

– Jaki obraz, malowałeś coś tutaj?

– Nie, ale przywiozłem ze sobą, tak od wypadku. Beatrycze ma go w bagażniku.

– Cały ty...

– A pewnie, że niech weźmie ze sobą – powiedziała Dziunia, która musiała dosłyszeć coś niecoś z tej wymiany zdań. – Skoro już pojedziemy po całości, jeden gadżet nie zrobi różnicy.

– Daj mi kluczyki, lecę po niego – zapalił się Gieniu.

Jedyną osobą, która do tej pory nie widziała żadnego dzieła Gienia, była babcia. I chyba jako jedyna nie sprawiła wrażenia wstrząśniętej...

– A... co to jest?

– „Cierpienie rzeczy martwych” – objaśnił artysta z dumą. – Wiem, wygląda bardzo dramatycznie, ale o to chodzi właśnie. By poruszyć widza do samych trzewi.

– No, trochę trzewi tu jakby widzę... I chyba... robaki jakies?

– To alegorie ludzkich podłości. Cały katalog, muszę tu domalować jeszcze jedną, tylko jeszcze nie mam pomysłu, w jakiego robala ją ubrać. – Spojrzał wymownie na swoją byłą już dziewczynę.

– Mógłbyś mnie namalować nawet w osobie własnej, ale nie umiesz – odgryzła się. – Bo już próbowałeś i wyszedł ci Mikołaj Kopernik.

– To chyba raczej zaszczyt, co nie? To był mądry gość, odkrywca...

– Ja mu niczego nie ujmuję, chciałabym tylko zaznaczyć, że ja Kopernikiem nie jestem ani nie wyglądam jak on. I nie wiem, po co pozowałam ci dwa tygodnie.

– Trochę wyglądasz. No weź, spójrz w lustro...

– Szkoda, że nie wzięłeś przyborów, ciekawa jestem, jak byś mnie namalował – powiedziała Dziunia, chcąc zapobiec kłótni.

– O, żaden problem! Ty masz wszystko takie... hm... wyraźne.

– To też miał być komplement? – Roześmiała się.

– Oczywiście, ja się do kobiet zawsze zwracam w sposób miły i przyjazny. Chętnie cię namaluję, jak wrócimy.

– Super – podsumowała babcia. – Ale skoro już jutro macie taką ważną misję, musimy zacząć się przygotowywać mentalnie oraz konkretnie:

umyc środki lokomocji, poszukać trzeciego kasku oraz zapoznać się z życiorysem ministra.

- Po co?

- Żeby wiedzieć, z kim mamy do czynienia.

* * *

- Chyba ktoś będzie musiał zostać... - mruknęła zawiedziona Pola. - Chętnych jest ośmioro, a miejsc w pojazdach siedem.

Poprzedniego wieczora okazało się bowiem, że do akcji chcą dołączyć jeszcze dwie osoby, bardzo cenne, bo miejscowe: tutejszy nauczyciel geografii i... młodszy brat radnego Adasia, co cieszyło wszystkich niezmiernie.

- Na mnie się nie patrz - rzucił Gieniu w stronę Aurelii. - Jako pomysłodawca przedsięwzięcia jestem tam niezbędnym.

- To może ja jednak zostanę... - westchnęła Dziunia.

- Nie ma mowy - zaprotestowała babcia. - Ktoś tu kiedyś chciał dosiadać konia, o ile pamięć mnie nie myli...

- Ja - przyznała Aurelia. - Mogę jechać na koniu, jeśli nie jest narowisty, bo co innego wylądować na glebie w ogrodzie, a co innego na asfalcie. Chociaż gdyby był między nami jakiś odważny dżentelmen, może by wziął to na siebie...

Panie popatrzyły mimowolnie na Gienia, on zaś napotkał akurat wzrok Dziuni. Każdy inny jakoś by zniósł.

- Oczywiście, że wezmę konia na siebie - powiedział hardo. - Dla mnie to żaden problem.

Aurelia jednak natychmiast zadbała o to, żeby nie poczuł się zbyt dumnie, przynajmniej do czasu wprowadzenia swoich słów w czyn.

- Nie zrozumiałeś. To koń ma wziąć ciebie, nie odwrotnie.

- Bubuś jest łagodny jak baranek - powiedziała babcia. - Nie jest to co prawda koń pod siodło, ale jak był trochę młodszy, dosiadał go, kto chciał, i on nie miał nic przeciwko.

- Na dłuższych dystansach? - Dopiero teraz Gieniu okazał lekkie zaniepokojenie.

- Jak koń ma zrzucić, zrobi to od razu, a jak nie, to znaczy, że się pogodził z sytuacją. Bubuś się prędzej sam przewróci, niż zacznie wierzcąc.

- No raczej nie sam... - zauważył kwaśno Gieniu. - Ale oczywiście, skoro się podjąłem, zdania nie zmienię - dodał szybko.

- Wobec tego idę do Bubusia, ogarnę go trochę na bokach - powiedziała babcia. - Aha, siodła nie mam, pojedziesz na oklep. Dam ci jakąś derkę pod zadek.

Ledwie pani Carmen zdążyła przyprowadzić konia pod ganek, gdy pod dom podjechał samochód Szymona z trójką pasażerów.

Jego mama, pani Basia, okazała się być bardzo szczupłą, ładną i niezwykle miłą kobietą. Nie mówiła zbyt wiele, przywitała się z każdym serdecznym uściskiem, jakby znała i lubiła ich już od dawna. Pewnie to zasługa Szymona - pomyślała Pola.

Następnie wygramolił się z auta postawny mężczyzna w średnim wieku, po nim właścicielka tutejszego sklepu i młodzieniec, który musiał być bratem Adasia.

- Kolczasty - powiedział tęgi.

- Kto? - zapytał Gieniu, poddając mocnemu uściskowi swoją dłoń.

- Ja - odparł facet. - Kolczasty się nazywam. I jestem po waszej stronie. Czyli przeciwko stronie przeciwnej, i pomyślałem, że mój głos w sprawie może się przydać. Pani Jadzi też, bo ona jest jak kurier codzienny: biuro ogłoszeń, kącik porad i rubryka towarzyska w jednym. Panią Jadzię pewnie wszyscy znacie. - Wskazał palcem na stojącą obok niego kobietę.

Nauczyciel podał rękę wszystkim pozostałym, nieco dłużej przytrzymując dłoń Dziuni.

- Beata - powiedziała krótko i raczej niechętnie, bo ten gest chyba nie przypadł jej do gustu.

Aurelia zaprezentowała się równie szybko i przerzuciła swoją uwagę na młodzieńca.

– A pana co skłania do pomocy? – spytała. – Bo jak mniemam, ani brat, ani mama nie będą zadowoleni...

– I to mnie właśnie skłania – odpowiedział. – Jestem Artur, do wiadomości wszystkim naraz.

– Ruszajmy więc, bo musimy przyjąć tempo Bubusia, a to może nam zająć trochę czasu.

Pani Carmen zaprosiła swojego gościa do środka, a uczestnicy eskapady zajęli wcześniej ustalone przez Polę miejsca w środkach lokomocji: ona, Aurelia i Artur mieli jechać motorem, Gieniu konno, reszta małuchem prowadzonym przez Dziunię.

Gieniu, który poprzedniego wieczoru przerobił internetowy kurs jazdy konnej, jakoś wgramolił się na Bubusia i puścił się przodem. Choć to zbyt dużo powiedziane, bo koń początkowo włókł się stępa, ale kiedy się zorientował, że pożądane jest większe tempo, przeszedł w kłus, osiągając w porywach prędkość siedmiu kilometrów na godzinę. Dawało to nadzieję, że ekipa dotrze na miejsce w godzinę z niewielkim okładem.

Po ujechaniu jakiegoś kilometra Aurelia wyprzedziła jeźdźca, biorąc go tym samym w środek „kolumny dyplomatycznej”. Monitorowała trasę na przyczepionym do kierownicy motoru telefonie, przewodziła i nadawała tempo.

Mijające ich auta zwalniały, a ich pasażerowie pstrykali telefonami zdjęcia. Pola uznała, że pomysł przyjaciółki był jednak niezły, bo jakkolwiek sprawy by się potoczyły, z pewnością nie pozostaną bez echa. Nie mogła jednak podzielić się z nią tym spostrzeżeniem, bo motor ryczał jak smok, a jego pasażerki miały na uszach kaski, dwa z napisami MO, trzeci zaś był poniemieckim hełmem, wykopany przez babcię lata temu w ogrodzie...

Tablicę z napisem Dubeninki, czyli docelowym miejscem wycieczki, Pola przyjęła z wielką ulgą. Nie żeby jechało się jej jakoś niekomfortowo, bo wbrew przewidywaniom cały ten korowód z każdym kilometrem bawił ją coraz bardziej, ale martwiła się o konia. Oglądała się za siebie od czasu

do czasu i sprawdzała, w jakiej staruszek jest kondycji. Bubuś wyglądał na całkiem zadowolonego, dziewczyna jednak ubzduriała sobie, że jest głodny, spragniony i u kresu sił...

Aurelia bez problemu zlokalizowała gminny ośrodek kultury, w którym miał bawić minister, i zaczęła szukać miejsca do zaparkowania. W ten sposób o mały włos nie wjechała w dość liczne zgromadzenie, gdyż spotkanie odbywało się w plenerze, na placu przy budynku.

Wszystkie głowy zwróciły się w stronę pojazdu z trójką pasażerów, trudno, żeby nie, skoro narobił tyle hałasu. Za motorem na plac podjechał „maluch”, a za nim, nie wiadomo czemu, skoro kolejność była inna, koń z Gieniem na plecach.

Minister, nieco zbity z tropu, podjął na nowo swoją przemowę, ale ludzie siedzący przed nim nie bardzo mogli się już skupić. Odwracali się od czasu do czasu i spoglądali na przybyłych. Pola, chcąc ułatwić im tę lustrację i ulżyć mówcy, ruszyła do samego przodu, reszta poszła za nią. Kątem oka zauważyła, że Gieniu zachowywał się tak, jakby nadal siedział na koniu. Szedł szerokim rozkrokiem, podskakując rytmicznie...

Grupa stanęła na równi z pierwszym rzędem krzeseł i, jak było ustalone, wszyscy wbili wzrok w twarz mówcy. W ramach nawiązania kontaktu niewerbalnego, jak radził Szymon.

Minister początkowo nie czuł się z tym zbyt dobrze, stracił nieco na ferworze i płynności mowy, ale polityk to polityk, szybko przyszedł do siebie i zaczął zachowywać się, jakby nic nie zaszło. Owszem, spoglądał na grupę, ale tylko wówczas, gdy wodził wzrokiem po wszystkich, szukając aprobaty dla swoich słów. Pola miała wrażenie, że jakoś szczególnie skupiał się na niej, co z jednej strony ją satysfakcjonowało, z drugiej zaś wprawiało w zakłopotanie.

W głowie układała sobie rozmowę z ministrem i starała się wziąć pod uwagę wszystkie wersje ewentualnych wydarzeń, jednak to, co zdarzyło się później, przeszło jej najśmielsze wyobrażenia...

Zaraz bowiem po gromkich brawach i krótkim wystąpieniu wójta gminy, który dość nieprzemyślanie dobrał słowa i oznajmił, że pora nam teraz iść pod most, minister sam z siebie podszedł do zaciążeńskiej

delegacji. Przywitał się ze wszystkimi podaniem ręki, spytał, co oni za jedni i co ich sprowadza.

Pola zaskoczona sytuacją bez słowa wręczyła mu pismo, a Szymon przejął pałeczkę, co też wcześniej było ustalone. Jako szef nadzoru budowlanego potrafił się posługiwać urzędniczym językiem, adekwatnym do problemu. Minister wziął pismo, wysłuchał Szymona, po czym... ujął Polę pod rękę i odciągnął na bok.

– Przepraszam, że będę tak bezpośredni, ale czas mnie goni... Pani mi kogoś bardzo przypomina...

– Więc to chyba jakiś przypadek, bo nigdy wcześniej się nie spotkałszy osobiście – odparła zbita z tropu.

Zaczęła bić się z myślami i analizować jego słowa, on zaś rzucił okiem na pismo.

– O mój Boże... – wymknęło mu się.

– Prawda? Straszna rzecz z tym lasem – szybko podjęła wątek. – Moja babcia walczy o jego ocalenie, a my ją wspieramy. Gdyby pan tylko widział te drzewa, roślinność, zwierzęta... Załączyliśmy dokumentację fotograficzną, ale zdjęcia nie oddają w stu procentach natury, śpiewu ptaków, szumu strumienia, szelestu liści...

Dziewczyna była tak przejęta, że w kącikach oczu zamigotały jej łzy. Minister wziął ją za rękę w uspokajającym geście.

– Zajmę się tym osobiście, obiecuję. Proszę zapisać mi tu gdzieś pod spodem numer telefonu do siebie... – Podał jej pismo i długopis, który pewnie zawsze z sobą nosił.

– Jest tutaj adres i telefon babci...

– Tak, widzę, ale skoro dzisiaj pani jest tu w jej imieniu, chciałbym i z panią być w kontakcie.

Pola spełniła jego prośbę i podziękowała szybko, bo stojący za ministrem wójt gminy zaczął niecierpliwie przestępować z nogi na nogę.

– Pozwalam sobie trzymać za słowo – dodała i dołączyła do grupy.

W tle zrobiła się mała afery, bo nie dość, że Gieniu biegał ze swoim obrazem za kamerzystą z lokalnej telewizji, Bubuś majestatycznym

krokiem podszedł do wiaderka z ogromnym bukietem kwiatów przeznaczonych dla ministra, spożył je ze smakiem i popił wodą.

Jakaś kobieta na ten widok podjęła lament i załamywała ręce, a niedoszły obdarowany kwieciem stwierdził beztrąsko, że koń spożytkował bukiet lepiej, niż zrobiłby to on sam.

Plac opustoszał, zostały jedynie jakieś służby porządkowe, które zaczęły wносить krzesła do budynku.

– I co? O czym z nim rozmawiałaś? – wypytywało towarzystwo Polę.

– W zasadzie... o niczym. Obiecał, że się zajmie sprawą.

– No pewnie, że obiecał, bo to polityk – sarknął Gieniu. – A ty się dałaś zbyć w minutę, nas kompletnie ignorując. Każdy miał tu coś ważnego do powiedzenia ministrowi, układał sobie te parę zdań przez całą drogę, a ty szast-prast i po sprawie. **Po sprawie** – zaakcentował. – Bo nic z tych jego obietnic nie będzie.

– A ja jestem dobrej myśli – powiedziała Dziunia. – Nie musieliśmy się do niego dopychać, zabiegać o odrobinę uwagi, bo poświęcił ją nam sam z siebie. A to znaczy, że się zainteresował, i uważam za prawdopodobne, że się problemem zajmie.

– Akurat...

– A ty co chciałaś mu powiedzieć? – zainteresowała się Aurelia, przesywając go wzrokiem.

– Chciałem mu się przedstawić po prostu.

– I pokazać obraz?

– Tak, ale ona – wycelował palcem w Polę – mi to uniemożliwiła.

– Widziałeś, że bardzo się śpieszył – odparła zarzut dziewczyna.

– Fakt, ale gdybyś była mniej egoistyczna, sama byś mu mnie przedstawiła.

– Jak? Rozmawiałam z nim góra minutę!

– Korona by ci nie spadła, gdybyś połowę tej minuty poświęciła komuś innemu.

– Gieniu!!! – wrzasnęła Aurelia. – Przyjechaliśmy tu w sprawie lasu, nie twojej!

– Gdyby nie ja, nie byłoby was tu – odparł z dąsem. – I na koniu już nie wracam, sama sobie wracaj.

W związku z powyższym nastąpiła mała roszada, Gieniu prawie na siłę wbił się do malucha na miejsce przy kierowcy, czyli Dziuni, a brat Adasia, chcąc nie chcąc, wracał na Bubusiu. Zresztą tylko on spośród pozostałych miał o tym jakie takie pojęcie.

* * *

Na ostatnim kilometrze drogi, niemal w tym samym miejscu co poprzednio, zza przydrożnego krzaka wyskoczył znany już Poli i Aureli miejscowy policjant. Machnął lizakiem i wszyscy karnie zatrzymali się do kontroli.

– Do... dowody osobiste i prawa jazdy – krzyknął i zajął do malucha.
– Ręce na kierownicę, żadnych gwałtownych ruchów – dodał.

– To mam dać te prawo jazdy czy nie? – spytała Dziunia. – Bo nogą z torebki raczej nie wyjmę.

– Dać.

Dziunia zajęła się grzebaniem w torebce, a policjant lustracją jej pasażerów.

– O? Pan profesor? I pani sklepowa? – udawał zdziwionego. – Znalazła pani?

– Tak, proszę. – Dziunia podała mu dokument.

Policjant obejrzał go skrupulatnie.

– Popelniłam jakieś wykroczenie? Przekroczyłam prędkość, wyprzedzałam na podwójnej ciągłej?

– Tu nni... nie ma podwójnej ciągłej. Popopo... pojedynczej też nie.

– Retorycznie pytam. O powód tej kontroli.

– Profill... aktyka, proszę pani.

– A ty? Czego kokoko... koniem po szosie jeździsz? – zwrócił się do Artura. – Cudzym w dodatku.

– Jazda próbna. Mam go zamiar kupić – odpowiedział mu młodzieniec z ironią w głosie.

- Dokument jest?
- Mój czy konia?
- Neeee... eee żartuj sobie, co nie?

Artur podał mu dowód osobisty, bo uprawnień do kierowania koniem nie miał i pewnie coś takiego w ogóle nie istniało.

- A gdzież to właścicielka pojazdu? – spytał ogółem pasażerów motoru.

- U znachorki – odpowiedziała mu Aurelia.

- Nie nie nie... niedomaga?

- Domaga, ma z nią inne interesy. Może pan do niej wpaść i dopytać o szczegóły.

- A pana nie znam – zwrócił się do Szymona.

- Ja pana też nie. Więc to chyba logiczne...

- Bym pooolo... polemizował. Moo... ożna się rozejść – oznajmił.

- To znaczy? – spytał Artur.

- Znaczy się... rozjechać.

ROZDZIAŁ XII

Aisza

Ten, kurde, pozał się Boże stróż prawa nas wylegitymował – oznajmiła Pola siedzącej przy stole razem z panią Basią babci.

– Był sam?

– Tym razem sam. Może jest już na tyle doświadczony, że pozwalają mu działać bez asysty...

– Wątpię. Heniu się pewnie wykręcił, bo dla niego to żadna przyjemność włączyć mi w drogę. I ryzyko. Siadajcie, siadajcie wszyscy. – Pani Carmen jakby dopiero teraz dostrzegła resztę delegacji tłoczącej się w sieni i na ganku. – Gieniu, donieś krzesła, dziewczyny, rzućcie coś na stół!

Po krótkiej chwili kuchnia babci przerodziła się w salę biesiadną, rozległ się gwar i pobrzękiwanie sztućców, bo towarzystwo było mocno wygłodzone i spragnione.

– Może najpierw wy powiedzcie, jak sprawy? – zwróciła się Pola do babci i pani Basi.

– W porządku. – Ta druga się uśmiechnęła. – Ale więcej na ten temat potem, dobrze?

– Jasne, przepraszam, nie powinnam była tak obcesowo pytać...

– Nic się nie stało. Referujcie, jak wam poszło.

– Udało nam się wręczyć ministrowi petycję i nawet zainteresować go sprawą. Obiecał pomóc – powiedziała Dziunia.

– Nam? – prychnął Gieniu. – Tylko z Polą gadał, bo mu wpadła w oko...

– Nie pleć – zgorszyła się Pola. – Facet ma pewnie z pięćdziesiąt lat.

– No właśnie dlatego, gość z jego pozycją za rówieśnicą by się nie rozglądał. Ale w sumie... może masz rację. Za trzydziecią też nie, za stara już dla niego jesteś.

– Boże, Gieniu, czy ty się w ogóle słyszysz? Bywasz tak przykry, że... artyście po prostu nie przystoi.

Dziunia użyła jedyne go argumentu, który mógł na niego podziałać i nie doprowadzić do grubszej awantury.

– I to tyle? – spytała jakby z rozczarowaniem pani Carmen.

– No niestety, babciu, wszystko odbyło się bardzo pokojowo. – Pola się zaśmiała. – I nie mieliśmy okazji się jakoś... bardzo ekspresyjnie wykazać.

– Koń się wykazał – dorzucił Gienio. – Zeżał bukiet.

– Noo – ucieszyła się babcia. – Chociaż tyle!

– I teraz czekamy na odpowiedź, mam nadzieję, że nadejdzie, zanim dobiorą się do drzew.

– Nie pesymizuj, Gieniu. Na pewno tak. Na szczęście nie miałeś okazji pokazać mu swojego dzieła, więc nie stracił zdolności myślenia – odparowała Pola.

Dziunia zupełnie bezceremonialnie potraktowała ją z łokcia.

– Potem będziecie uprawiać prywatę, teraz są chyba ważniejsze sprawy.

– A ty co między nami robisz? – spytała babcia Adasiowego brata.

– No... jestem z wami, po prostu. Nie podoba mi się pomysł niszczenia lasów, a w szczególności naszego. I nie podobają mi się działania Adama, nie tylko w tej sprawie. Ani gorliwość polityczna mamy.

– Więc to jest też trochę taki... rodzinny bunt?

– Jedno drugiemu nie przeczy, przeciwnie, jedno z drugiego wynika. Od czasu, jak mój brat został radnym, w tyłku mu się poprzewracało i chciałby zaprowadzić swoje rządy nawet w domu. A ja pod jego dyktando żył nie będę, uważał na każde swoje słowo czy gest, żeby nie zostało odebrane politycznie, ani uważał, z kim się zadaje, bo być może ta osoba ma poglądy odmienne od jedynie słusznych...

– Brawo, młodzieńcze. A Stefek, twój ojciec, jak się ma do tego wszystkiego?

– On się nie wychyla, ale jest po mojej stronie. Taką przyjął postawę, niewerbalną raczej.

– Cały Stefan – mruknęła babcia. – Ale dobre i to. A ty, Jadzia? Bo jak ostatnio rozmawialiśmy, nie chciałaś się w nic wtrącać...

– Ale się wtrączę. Zawsze byłam z wami, tylko... tylko... Wie pani, Zosia w przyszlým roku do komunii idzie, Kubuś do bierzmowania za dwa lata, ksiądz może robić problemy. Ale trudno, jakoś sobie poradzę, byleby tylko dzieciaki nie ucierpiały.

– A co ci tak odwagi nagle dodało? – spytała babcia z ironią.

– Najpierw on – skinęła głową w stronę Kolczastego – a potem to już pani Basia i pan Szymon mnie do reszty przekonali. Bo to fakt, że jak każdy tak z falą będzie płynąć, to niedługo nam do domów wleżą i rządzić zaczną. Jak u Artura, tylko że obcy.

– Dumny z ciebie jestem, Jadzia. – Kolczasty położył dłoń na jej dłoni, gdyż tajemnicą nie było dla nikogo, że od pewnego czasu są parą. – Ja ryzykuję znacznie więcej, bo jestem na państwowej posadzie, a u nas w szkole od dyrektora po woźnego wszyscy są po tej „właściwej” stronie. Ale mam to gdzieś, zwolnić mnie nie zwolnią, a na szykany odporny jestem od małego. Prędzej się jeden z drugim nerwicy nabawi, niż mnie z równowagi wyprowadzi.

– To prawda – przyznała Jadzia. – Z nim się ani pokłócić nie można, ani go obrazić, ani wjechać w żaden sposób na ambicję.

– A nie można mu po prostu przylać? – zapytał Gieniu, na szczęście tak cicho, że nikt poza Polą go nie usłyszał.

– To może... małe co nieco pod tę prawie udaną sprawę, pani babciu? – zwrócił się do pani Carmen.

– Innym razem, Gieniu. – Pola ochłodziła jego zapał. – Może nie wszyscy przy tym stole mają imprezowy nastrój...

Miała na myśli mamę Szymona, której bardzo nie chciała narazić na jakikolwiek dyskomfort.

- Mnie by to nie przeszkadzało. - Pani Basia się uśmiechnęła, pojmując jej intencje.

- Jak się mówi, aby był wilk syty i owca cała. - Babcia wstała od stołu - mam tu coś specjalnego.

Wyszła i po chwili postawiła na stole dwie butelki ruskiego „szampana” Igristoje.

- Miałam tego całą skrzynkę - oznajmiła. - Dostałam w osiemdziesiątym ósmym w charakterze łapówki, a że ja oranżady nie pijam, zostało mi parę butelek. Kieliszków do tego nie mam, poleję do szklanek. Zresztą, jaki szampan, taka lampka - powiedziała wesoło.

- Ja pierniczę... - szepnął Gieniu. - Ten trunek jest prawie moim rówieśnikiem!

Uczestnicy spotkania wzniesli szklanki na toast za udane spotkanie z ministrem. Nawet pani Basia umoczyła usta.

- Na mnie już pora - oznajmił w chwilę potem Kolczasty. - Ty zostań, Jadzia, jeśli chcesz.

Kobieta jednak, gdy tylko podniósł się z krzesła, uczyniła to samo, a po niej brat Adasia. W babcinej kuchni zostali już tylko sami swoi i ich uwaga przeniosła się na panią Basię.

- A u mnie też idzie ku dobremu - powiedziała, zanim ktokolwiek zdążył zapytać.

- Opowiadaj, mamuś. - Szymon poprosił o więcej szczegółów.

- Ta... Aisza robi ze mną takie różne rzeczy... Oprócz robionych własnoręcznie naparów, nalewek ziołowych i maści potrafi świetnie masować, ale to nie wszystko. Odprawia nade mną różne rytuały, kadzi, pali świece... I wiecie co? To przynosi bardzo dobry skutek, w dodatku w szybszym tempie niż jakakolwiek dotychczasowa terapia. Kiedyś wierzyłam mocno w takie rzeczy, ale później przestałam, uznając je za ciemnotę i zabobon, ale... skoro to działa?

- Bardzo się cieszę - powiedziała Dziunia. - Musisz wierzyć, wiara to bardzo ważny element leczenia.

– A pamiętasz, Beatko, jak opowiadałaś mi o starej szeptunce, która mieszkała w twojej wsi? Wszyscy do niej chodzili, a ona leczyła i ciała, i dusze, zaklinała los, zdejmowała uroki. Ludzie święcie wierzyli w jej skuteczność.

– No pewnie, że pamiętam. Byłam u niej z mamą kilka razy.

Aurelia i Pola spojrzały na siebie zdziwione.

– Pochodzisz ze wsi? Nigdy bym nie powiedziała – skomentowała prosto z mostu Aurelia.

Dziunia się roześmiała.

– Mam to traktować jak komplement?

– Tylko wtedy, jeśli stanowi to dla ciebie jakiś problem.

– Nie, nie stanowi. Absolutnie nie.

– Ta znachorka, Aisza – wróciła do tematu pani Basia – zwróciła uwagę na związek mojej kondycji psychicznej z dolegliwościami fizycznymi i w tym obszarze również działa.

– Psychoterapią? – zapytała Pola.

– Nie. Zwykłymi babskimi pogaduchami. Nie macie pojęcia, ile w ten prosty sposób można oswoić wewnętrznych demonów, o ile wywlecze się je na światło dzienne i przyjrzy dobrze w tym świetle. Mówię serio. – Zaśmiała się, tak z głębi siebie, radośnie. – Tylko trzeba mieć mądrego powiernika i rozmówcę.

– To wspaniale, ciociu – powiedziała Dziunia, ściskając jej dłoń. – Dawno nie widziałam cię tak beztroskiej.

Babcię coś nagle rozbawiło, ale starała się nie okazać tego po sobie i utrzymać w ryzach drgające w kącikach usta.

– Co jest, babciu? – zdemaskowała ją bezpardonowo Pola.

Kobiecie tylko tyle brakowało, żeby wybuchnąć gromkim śmiechem.

– Nic... coś mi się tylko... przypominało. Zupełnie na inny temat.

Wnuczka, czując, że nie jest to kwestia do publicznych wynurzeń, na tym poprzestała. Ale babcia sama z siebie, jak tylko pani Basia z Dziunią i Szymonem wyszli, podzieliła się z dziewczynami swoim sekretem. Najpierw jednak pozbyła się Gienia.

- Idź no, chłopcze, przynieść ze dwa wiaderka wody, musimy pozmywać po tej uczcie.

- Do studni?

- Możesz do rzeki, jak wolisz.

Chłopak, ociągając się, wyszedł, pani Carmen zaś pochyliła się w stronę dziewczyn konspiracyjnie.

- Muszę wam coś wyznać, bo pęknę... Ale ani słowa nikomu na ten temat...

Słuchaczki pochyliły się również.

- Aisza... znaczy Iwona, by mnie za to zabiła. Ale wam powiem... Ona jest... doktorem psychologii...

- Chrzanisz! - wyrwało się Poli.

- A nie! Ale wiem o tym tylko ja.

- To co ona tu robi?

- Kilkanaście lat temu zmogło ją uczucie, rzuciła swojego ślubnego oraz dorosłe już dzieci i związała z kochankiem na koniec świata, czyli tu. Kupiła chałupę pod lasem i tak sobie żyli jakiś czas, a potem to jego zmogła proza życia i ją porzucił. Została praktycznie bez niczego, oszczędności się skończyły, gdyż chłoptaś był dość kosztowny w utrzymaniu.

- I... zajęła się gusłami? - zdziwiła się Aurelia.

- Czy to są tak do końca gusła, bym dyskutowała... Ale owszem, to, czym się zajmuje, jest jej źródłem utrzymania, i to niezgorszym. Początkowo chciała otworzyć gabinet psychologii i psychoterapii, ale pacjenci zjawili się dopiero wtedy, jak włączyła do swoich działań świece, kadzidła, szklaną kulę, karty i zioła.

- Myślisz, że te gadżety to rodzaj... placebo?

- Myślałam - odparła babcia. - Bo jako sceptyczce i ateistce zupełnie nie było mi z takimi rzeczami po drodze. Ale sama się przekonałam na sobie. Było tak, że przez długi czas nie mogłam spać, po dwóch tygodniach już się ledwo snułam. Porobiłam różne badania i wszystko było w porządku. Powiedziałam o tym Iwonie, ona mnie siłą zawlokła do

swojej chałupy, zapaliła wielką czerwoną świecę, okadziła białą szatwią, że niby odpędziła ode mnie w ten sposób złą energię. Wróciłam do domu, padłam na łóżko, przespałam całą dobę, a bezsenność przepadła jak ręką odjął.

– Ona ma jakieś... moce?

– Moce nie moce, w każdym razie jak zaczęła te swoje sztuczki, zainteresowała się medycyną niekonwencjonalną, a konkretnie ludową. Teraz moje zdanie jest takie, że skoro skutkuje, nie moja w tym głowa, co i jak. Widać i takie rzeczy podlegają naukowemu wyjaśnieniu, tylko że nauka do nich jeszcze nie dorosła.

– Jedno wiadro mi się utopiło – oznajmił Gieniu, mokry od pasa w dół i zły jak sto diabłów.

Postawił w kącie drugie, prawie pełne, i stanął na środku kuchni, prezentując swój oplakany stan.

– Trudno – powiedziała babcia. – Mam jeszcze jedno, ale jak i to utopicie, to będziecie latać po wodę dziesięć razy dziennie, a nie pięć. No, koniec tej laby. Wy tu ogarnijcie, a ja pójdę do gadziny.

* * *

Dziunia wróciła późnym wieczorem. Gieniu siedział na progu sieni i patrzył w gwiazdy, Pola, Aurelia i babcia grały w kuchni w karty. Kobieta wycofała się, nie chcąc przeszkadzać, i usiadła obok Gienia.

– O czym tak dumasz? – spytała.

– Zastanawiam się, czy na tych błyszczących punkcikach też jest życie, tacy sami ludzie jak my, ludziopodobne stworki albo całkiem inne jakieś... paskudy.

– I co? Jak myślisz?

– Myślę, że wszechświat jest za duży, gdyby miał być tylko dla nas.

– Ja myślę tak samo...

– A wiesz? Czasem mi się zdaje, że ja nie jestem stąd. Gdzieś mnie tak ciągnie, sam nie wiem gdzie, a gdziekolwiek bym był, nie czuję się jak u siebie. Nikt mnie nie rozumie, myślałem, że jedna Aurelia, ale też nie...

– Ona cię rozumie. Tylko inaczej patrzy na życie, bardziej realnie.

– Wiem. Ale pomyślałem, niech sobie patrzy, ale niech się nie czepia mojego patrzenia. I do pewnego czasu tak było. – Westchnął.

– Wiesz, bo przychodzi czas, że człowiek, a zwłaszcza kobieta, chce czegoś więcej: rodziny, stabilizacji, poczucia bezpieczeństwa.

Gieniu westchnął jeszcze dramatyczniej.

– Ale... ja tak nie potrafię... Nie potrafię, Beatrycze, nawet gdybym bardzo chciał.

– Bo jesteś artystą.

– Tak uważasz?

– Przecież sam wiesz, i nie chodzi tylko o to, że malujesz obrazy, ale o to coś, co sprawia, że nim jesteś. Innego rodzaju wrażliwość, inne spojrzenie na wszystko dookoła. Trudno takiemu człowiekowi znaleźć pełne zrozumienie i akceptację, chyba że...

Dziunia się roześmiała.

– Że?

– W drugim artyście, ale to raczej byłby duet, który dryfowałby po powierzchni życia, zdany wyłącznie na kierunek wiatru. Mając pod ręką wiosła, ale nie umiejąc się nimi posłużyć.

– Albo nie widząc potrzeby – dodał Gieniu. – Skoro płynę, to płynę, po co się więc wysilać i robić rzeczy, które i tak same się dzieją?

– Ciekawa jestem, jak odnajdujesz się w roli nauczyciela, jaki masz kontakt z dziećmi? – Dziunia spojrzała mu w strapione oczy. – Bo przecież masz normalną pracę i jakoś się z niej wywiązujesz? A to już jakby kawałek wiosła...

– Dzieci bardzo mnie lubią – powiedział. – I lubią moje lekcje, bo nie są nudne, staram się zawsze prowadzić je tak, żeby poruszyć ich wrażliwość, zaszczyć inne spojrzenie na to, co je otacza. Dzieci mają w sobie taką otwartość, nieskalaną praktycznym prymitywizmem i zbędnymi zasadami.

– Wyobrażam to sobie... ciebie z nimi, a nawet wasze rozmowy... Lubisz dzieci?

– Lubię, ale chyba nie chciałbym być ojcem. To znaczy... chciałbym mieć dziecko, ale... jak by to ująć...

– Chyba rozumiem.

– A ty?

– Ja bym chciała, ale nie należę do kobiet, które w desperacji decydują się na samotne macierzyństwo.

– Czemu samotne? Mało to facetów na świecie?

– Najwyraźniej za mało – ze śmiechem odparła Dziunia. – O tego jednego.

– Ale ty jesteś taka superbabka! Niemożliwe, żebyś nikogo sobie nie znalazła – wykrzyknął Gieniu z autentycznym zdumieniem. – Jak cię po raz pierwszy zobaczyłem, byłem przekonany, że się kijem musisz od adoratorów opędzać...

– Tylko że ja nie chcę adoratora. I nie zwiążę się z kimś tylko dlatego, że czas leci.

– Czy ja cię irytuję? – wyrwał się nagle Gieniu.

– Czemu?

– Aurelię irytowałem.

– Mnie nie. Po prostu ona i ja patrzymy z innego pułapu na życie i na ludzi. Aurelia chce ułożyć sobie życie, a do tego potrzebuje kogoś, kto by jej w tym pomagał. Ja mam już życie poukładane, sama sobie ten tort upiekłam, teraz potrzebuję tylko wisienki. – Zaśmiała się.

– A... nie chciałabyś... mnie? – szepnął Gieniu, odwracając oczy.

– Przecież masz dziewczynę.

– Nie mam. Zerwała ze mną i nie chce słyszeć o powrocie.

– Gieniu. – Dziunia położyła mu rękę na ramieniu. – Czy ty wiesz, ile ja mam lat?

– Tak na oko?

– Nie inaczej.

– Dwadzieścia pięć? Sześć?

Kobieta się roześmiała.

– Naprawdę? Na tyle twoim zdaniem wyglądam?

Chłopak wytrzeszczył na nią oczy i milczał przez jakiś czas.

– To by nie miało dla mnie żadnego znaczenia – powiedział w końcu z powagą. – Masz piękną duszę i piękne ciało, cyfry to tylko cyfry...

– Milutki jesteś. – Dziunia poczochrąła go po włosach, wstała i bez komentarza weszła do środka.

Kobiety wciąż grały w karty, chyba na pieniądze, bo leżała przy każdej kupka bilonu.

– Hej, może skończcie, zanim się zgracie do zera – powiedziała wesoło. – Północ dochodzi.

– O kurde – wyraziła swoje zdziwienie babcia. – Ale nam czas zleciał. Ale już, już, ostatnia partyjka. Jeśli jesteście głodni, sami sobie weźcie, co tam chcecie.

Dziunia pokręciła się po kuchni i uznała, że nie będzie jadła niczego przed snem. W pierwszym odruchu chciała zaproponować Gieniowi jakąś kanapkę, ale pomyślała, że ten gest mógłby go zachęcić do poważniejszego zabiegania o jej względy. A tego nie chciała, bo choć chłopak naprawdę się jej podobał i zupełnie nie raziły jej jego „odpały”, była przekonana, że on i Aurelia wkrótce do siebie wrócą. W końcu nie był to jakiś przelotny związek, byli parą ze cztery lata... Nie bez znaczenia była też dla niej różnica wieku między nimi, bo... może by jemu kiedyś zaczęło to przeszkadzać?

– Coś z cicią nie tak? – spytała Aurelia, gdy babcia w końcu odłożyła karty na bok. – Masz jakąś minę taką... nieciekawą.

– Nie, u cioci jak najbardziej w porządku. – Kobieta ocknęła się z zamyślenia. – Mina jest moja prywatna.

* * *

– O mój Boże! – wrzasnęła Pola, wpadając do kuchni, na wpół jeszcze śpiąc.

Toczyła błędnym wzrokiem po zastanych tam osobach, czyli babci, Dziuni i Gieniu, który normalnie powinien jeszcze parę godzin spać.

– Co się stało? – Babcia omal nie wypuściła z ręki czajnika z wrzątkiem.

- Ten minister... przybywa.

- Tutaj? Do nas?

- No. Powiedział, że nieoficjalnie. Dzwonił do mnie...

- Jesteś pewna, że to był minister? - zapytał Gieniu.

- No raczej nie ministrant - ofuknęła go Pola. - Zamierza przyjechać pojutrze.

- Jak... bardzo... nieoficjalnie? - zapytała babcia.

- No chyba całkiem. A można inaczej?

- Można. Na przykład niby bez służbowego powodu, bez nagłaśniania, ale informacja szeptana to już inna sprawa. Nadal by było nieoficjalnie.

- Ale czemu? Skoro on tak sobie życzy?

- Żeby, cytując klasyka - tu pani Carmen spojrzała wymownie na Gienia - chłop się bał. I jeśli już osoba się do nas pofatyguje, do nas **personalnie**, głupio by było, żeby żaden z naszych oponentów się o tym nie dowiedział i nie dostał skrętu kiszek. Dlatego moim zdaniem musimy załatwić to tak, żeby minister miał to swoje poczucie prywatności, ale w... hm... odpowiedniej sprawie.

- To znaczy?

- Ciekawości, niepokoju, zawiści i dezorientacji ze strony wsi. A konkretnie tych, którzy nią trzęsą. Dlatego na jutro trzeba koniecznie zwołać zebranie, obdzwońcie ludzi, którzy się zaangażowali w naszą sprawę, i po prostu nie ma upros. Obecność bardziej niż obowiązkowa.

Wykonaniem polecenia pani Carmen zajęła się Dziunia, na tyle skutecznie, że już nazajutrz rano miało odbyć się spotkanie wszystkich zainteresowanych. Początkowo zamierzano je zrobić na ranczu, ale niezawodna Aurelia wpadła na pomysł, że powinno się ono odbyć w miejscu publicznym, widocznym oraz uczęszczanym przez mieszkańców wsi. Stało więc na tym, że zgromadzenie będzie miało miejsce na placyku pomiędzy plebanią i sklepem, gdzie odbywały się festyny, odpusty i inne wydarzenia quasi-kulturalne.

ROZDZIAŁ XIII

Jesteś u siebie, Pola

Niesamowite – zachłysnął się wieścią Artur, brat Adasia. – Ale że sam minister? No, Pola, masz dar przekonywania...

– Ale ja go w ogóle nie przekonywałam. – Dziewczyna była wyraźnie zmieszana zasługami, które jej przypisywano. – Może on po prostu taki jest? Angażuje się w pomoc społeczeństwu i mu po prostu zależy...

– Wątpię. Poczytałem sobie o nim w necie – rzucił Gieniu tajemniczo.

– No to gratuluję – mruknęła Aurelia, nie pytając o szczegóły.

Chłopak był tym wyraźnie rozczarowany, tym bardziej że nikt nie podjął tematu.

Dwie ławki, dokładnie te na środku skwerku, zajęte były w całości przez admiratorów buntu przeciw wycince lasu. Stawili się punktualnie oraz licznie, dołączyła do nich bowiem mama Szymona oraz Iwona vel Aisza, znachorka z tytułem doktora.

Tak jak chciała Aurelia, nikt z przechodzących mieszkańców nie pozostał na ten widok obojętny. Przystawano pod różnymi pretekstami, a to zawiązać but, a to poszukać czegoś w trawie. Generalnie po to tylko, żeby się pogapić i coś podsłuchać.

– Sklep jest czynny? – zapytała Pola panią Jadzię, bo co rusz przechodził obok nich ktoś ze sprawunkami.

– Postawiłam za ladą syna – odparła kobieta. – Chyba będę miała spory utarg, bo łążę w tę i nazad...

– A nie mówiłam, że ich ciekawość zeżre? – skomentowała babcia. – I dobrze. Może dostaną owsików.

– Z ciekawości? – zdziwiła się Dziunia.

– A co, nie mogą? Zresztą mi tam obojętne, czego dostaną, ale nie będzie to bez wpływu na ich organizmy. Ale może do rzeczy. Minister będzie u nas jutro o szesnastej. Musimy go jakoś przyjąć, ustalić plan działania, wymyślić, co będziemy mówić, żeby nikt nie chlapanął czegoś głupiego.

– No właśnie. – Aurelia spojrzała na Gienia.

– Co? Że ja? – oburzył się chłopak. – Przypomnę tylko, że tę akcję od początku do końca zawdzięczacie mnie. I cokolwiek byście dokonali, miejcie świadomość, że to ja was do niej doprowadziłem. A wy nic, tylko się czepiacie...

– Racja, Gieniu, to twoja zasługa – wzięła go w obronę Dziunia. – Ale teraz musimy przejść do następnego etapu sprawy, dlatego proponuję zawiesić wszystkie prywatne niesnaski.

– Dobrze by było stworzyć jakąś niezapomnianą atmosferę – odezwał się Szymon. – Wiecie, taką, żeby na maksa podkreśliła zalety wsi.

– W takim razie w plenerze – skostatowała babcia. – Ma być ładna pogoda, więc możemy siedzieć na dworze, tylko nie wiadomo na czym...

– Na pieńkach – rzuciła pomysłem jego mama. – Widziałam pod szopą mnóstwo takich solidnych, pociętych chyba na opał...

– O! – podchwycił nauczyciel. – Stół też można z nich zrobić, ja mam w garażu stare drzwi, można by je ułożyć na czterech takich wyższych...

– Świetny pomysł – ucieszyła się Aurelia. – Dokładnie o to chodzi, żeby było po wsiowemu i czym chata bogata, ale w sensie takim... wsiowym, co nie?

– No nie wiem – zawahała się pani Jadzia. – Taki minister przyzwyczajony jest raczej do elegancji i luksusu...

– Ale w tym rzecz, żeby było inaczej! Myśli pani, że gdybyśmy pojechali do niego autem Dzi... Beaty, toby się nami zainteresował? Nie! Trzeba działać niekonwencjonalnie. Włącznie z menu.

– No właśnie, kurczę, babciu, co mu podamy do jedzenia? Bo chyba nie wegetariańskie potrawy... – zatroskała się Pola.

– A czemu nie? Jak ma zobaczyć uroki życia w zgodzie z naturą, niech je to, co i my. Wam się nic chyba nie dzieje, że od półtora tygodnia nie jecie truchła, co? Bo tylko ja i Pola nie jesteśmy mięsożerne, tak z przekonania.

– Ujdzie – powiedział Gieniu. – Głodny nie chodzę, póki jaja i ziemniaki nie są wegetariańskie...

– Jeśli chodzi o mnie, rozważę wprowadzenie takiej diety na stałe – dodała Dziunia.

– Ja nie zamierzam – to był głos Aurelii – ale póki co daję radę.

– No to co? Grill? – zapytał Artur.

– O nie – zaoponowała pani Carmen. – Jeśli już coś będziemy piec, to na ognisku.

– Ziemniaki w popiele! I zsiadłe mleko! Boże, jakie to było dobre, pamiętam ten smak z dzieciństwa – podrzuciła Dziunia.

– Może być. Ale też coś z regionu.

– Babka ziemniaczana, kiszka ziemniaczana, kartacze z ruskim farszem i sękacz – popisała się Pola, znająca już trochę tutejsze potrawy.

– Ziemniak ziemniakiem pogania – skrzywiła się pani Jadzia.

– No i co? Tu się przecież tak jada. Możemy jeszcze zrobić gulasz z rydźów, zupę opieńkową, bo mam sporo zasolonych w słoikach...

– I ser gliwiony! Śmierdzi jak sto diabłów, ale jest pyszny – dodał swoje trzy grosze Gieniu.

– No to menu już mamy – oznajmiła babcia. – Jadzia, upieczesz sękacz?

– No pewnie. Mogę też zrobić kartacze.

– Dobrze. Ja zrobię gulasz, zupę i...

– Mogę zająć się babką ziemniaczaną. – Mama Szymona też chciała być przydatna. – Wiem już, jak się robi, Jadzia mi pokazała. Jadziu, masz jeszcze trochę podpiwku?

– Pewnie, że mam. Dobra myśl, taki zimny, z piwnicy, będzie świetnie gasił pragnienie.

– Artur! Do domu! – rozległ się nagle piskliwy wrzask za plecami chłopaka.

To była pani Halinka, jego mama.

– Co ty sobie wyobrażasz, co? Takie afronta rodzinie czynić publicznie, zadając się tu nie wiadomo z kim?

– Tobie nie wiadomo, Halinka? – zapytała pani Carmen ze spokojem. – Kogo tutaj nie znasz, hę?

– Wszystkich znam niestety i dlatego właśnie Artur nie może w tym towarzystwie przebywać i mieszać się w wasze afery.

– Fatalną ma pani dziś aurę, pani Halinko – odezwała się po raz pierwszy Aisza, przyglądając się kobiecie przenikliwym wzrokiem. – Powinna pani uważać na siebie.

– Że co? – Kobieta mocno spuściła z tonu. – Co ja mam fatalne?

– To takie jakby... promieniowanie duszy. Każdemu jej trochę wystaje ponad głowę i są tacy, którzy potrafią ją widzieć. Przybiera różne kolory, w zależności od tego, co w człowieku w danym momencie siedzi.

– A co we mnie... siedzi?

– Diabeł – rzuciła pani Carmen. – Rogi ci wystają.

– Nie, diabeł nie, ale cała masa trujących emocji. Niech pani napije się meliski, zapali cztery świece i trzy razy splunie na zachód przez otwarte okno, powinno pomóc. Zaraz po powrocie do domu.

Kobieta była wyraźnie zbита z tropu, wciąż jeszcze zła, ale i zaniepokojona.

– Artur, do domu – zwróciła się do syna, ale już znacznie spokojniej. – Nie będziesz własnemu bratu robił pod górkę.

– Niestety, mamusiu, ale będę. I nic nie poradzę, że nie jest mi z nim z góry ani nawet po równym. Mam inne przekonania.

– Ja ci dam przekonania! W domu jesz, w domu śpisz, więc masz mieć takie przekonania, jakie w domu są. Zabieraj się stąd, ale migiem.

– Mowy nie ma. A mamusia niech się prędko tej meliski napije, bo aura mamusi zielenieje.

Pani Halinka odeszła bez słowa, ale pewnie gdyby Aisza nie zasiała w niej zabobonnego niepokoju, bez grubszej awantury by się nie obeszło.

– Chyba już wszystko mamy ustalone – odezwała się po chwili pani Carmen. – A także ferment na wsi wzniecony elegancko, o ministrze podsłuchały co najmniej trzy jędze. To co? Rozchodzimy się, każdy robi swoje, jutro widzimy się u mnie najpóźniej na godzinę przed przyjazdem ministra. A... Roman, może ty wpadnij do mnie dziś – zwróciła się do Kolczastego. – Zrobimy te siedzenia.

Minister podjechał pod dom pani Carmen punktualnie o szesnastej. Powitała go Pola, która już od pół godziny sterczała w bramie i wypatrywała gościa pełna emocji. Właściwie do samego jego przyjazdu nie dowierzała, że faktycznie pojawi się na tej zapomnianej przez Boga i ludzi wsi, bo przecież mógł mieć o wiele ważniejsze sprawy na głowie niż awantura o jakiś tam kawałek lasu... Uwierzyła dopiero wówczas, gdy z czarnego auta z zaciemnionymi szybami wysiadł on, w osobie własnej.

– Bardzo tu... klimatycznie – powiedział, ściskając mocno jej rękę.

– Tak, bardzo... – odparła zmieszana. – Zapraszam na małe „czym chata bogata”, będzie to dla nas zaszczyt, jeśli pozwoli pan się nam ugościć po naszymu.

– Żadnych zaszczytów ani innych górnołotnych tonów – powiedział mężczyzna. – Jestem tu prywatnie, więc proszę mnie traktować jak człowieka, nie urzędnika.

Pola spojrzała mu w twarz, by sprawdzić, czy był to luzacki żarcik, czy tylko zwykły lapsus. Ale ministrowi skrzyły się oczy, w kącikach ust czaił się uśmiech. Dziewczyna pomyślała, że być może to rzeczywiście jakiś „ludzki pan” pośród tych wszystkich złotoustych polityków, którzy poprzestają na pięknych słowach i pustych obietnicach.

– Witamy, witamy – zakrzyknęła babcia, w przeciwieństwie do swojej wnuczki bez cienia tremy. – Bardzo się cieszymy, że znalazł pan dla nas czas...

Minister przywitał się z każdym z osobna i z uwagą wysłuchał, kto jest kim i jaką odgrywa we wsi rolę.

– Proszę zasiąść na tym oto symbolicznym pieńku, łatwiej będzie sobie wyobrazić, co zostanie z naszego lasu, który, mam nadzieję, zechce pan przy okazji zobaczyć.

– Zrobię, co w mojej mocy, żeby tak się nie stało.

– No, moc pan ma, wystarczy tylko zrobić – wypalił Gieniu.

Pola zamarła, ale minister się roześmiał.

– Moc to nie wszystko, młody człowieku. Jest jeszcze coś takiego jak prawo, w oparciu o które można z niej korzystać.

Babcia z panią Jadzią uwijały się przy stole, serwując pierwszą ciepłą potrawę, czyli kartacze.

– Mięsa na naszym stole nie będzie, bo my się tu żywimy po wegetariańsku – zaznaczyła pani Carmen, stawiając przed gościem miskę parujących kluch.

– Ja jeszcze nie jestem na takim etapie, ale doceniam i podziwiam.

Gość zabrał się do jedzenia z prawdziwą zachłannością.

– Boże, jak ja dawno nie jadłem kartaczy... Zapomniałem już nawet, jak smakują...

Babcia przyjrzała mu się ciekawie.

– Czyżby pochodził pan z naszych stron?

– Nie, od urodzenia jestem warszawiakiem, ale wasze strony nie są mi obce i... mam do nich specjalny sentyment. A jeśli podadzą panie jeszcze kiszkę ziemniaczaną i sękacza, przeżyję prawdziwe déjà vu.

– Mamy jeszcze w planie na wieczór ziemniaki z ogniska ze zsiadłym mlekiem – powiedziała Pola.

Minister spojrzał jej w oczy i na dobrą chwilę zatrzymał to spojrzenie. W jego wzroku dostrzegła jakby cień wzruszenia i taką jakąś... nieoczekiwaną tkliwość. Ale nic już nie powiedział. Odezwał się dopiero, gdy zjadł.

– Czy mógłbym się rozejrzeć po pani królestwie? – zwrócił się do babci.

– Jasne, wnuczka pana oprowadzi. Pola...

– Nie, nie – przerwał jej. – Wolałbym sam, jeśli można.

– Proszę bardzo, niech się pan czuje jak u siebie – odparła kobieta nieco zdziwiona, a on wstał i udał się za dom, do ogrodu.

– Dziwny jakiś – skomentował Gieniu.

– Bo lubi wieś i wegetariańskie żarcie? – zaczepiła go Aurelia.

– Nie, chociaż to też. Tak ogólnie.

– E tam – podjęła temat pani Jadzia. – Wygląda jak swój chłop, choć warszawiak i polityk.

– Albo udaje – powiedział Artur. – Żeby się przypodobać, jak to polityk.

Aisza-Iwona wzięła gościa w obronę:

– Nie udaje. Ja się znam na ludziach. Nie mogę do końca wyczuć, jaki jest naprawdę, ale tu niczego nie udaje.

Stwierdzenie Gienia wywołało całą dyskusję, podzieliło również siedzących przy „stole” na dwie grupy. Rozmawiano ścisłymi głosami, wypatrując, czy mężczyzna nie wraca, ale zwiedzanie rancza zajęło mu tyle czasu, że gospodarze zaczęli się powoli niepokoić.

– Może koń go kopnął – rzucił przypuszczeniem Gieniu. – Albo się wypierniczył na kurzym łajnie i coś sobie zrobił...

Nikt nie potraktował jego sugestii poważnie, ale mimo to pani Carmen postanowiła go poszukać. Nie wprowadziła jednak swojego zamiaru w czyn, bo mężczyzna pojawił się cały, zdrowy i jakiś taki... natchniony. Poprosił panią Carmen na bok i konferował z nią o czymś, co powodowało na jej twarzy coraz większe zdumienie. A potem oboje wrócili do stołu i biesiada trwała nadal jakby nigdy nic. Minister pałaszował wszystko, co mu tylko podano, rzucał żartami i anegdotami, co na tyle ośmieliło całe towarzystwo, że przestało się już krępować czymkolwiek. Bawiono się jak w gronie starych dobrych znajomych, Gieniu przywłókł nawet laptopa Dziuni i puścił jakieś tutejsze ludowe pieśni, ale długo nie wytrzymał i zmienił repertuar na polskie współczesne przeboje.

– To może pora, by obejrzeć las, póki jeszcze widno? – zaproponowała w pewnym momencie babcia.

– Oczywiście, bardzo chętnie, po to tu przecież przyjechałem – odparł minister, ale tym razem nie było szczerości w jego oczach. Być może mu się po prostu nie chciało...

Wszyscy poderwali się na nogi, ale babcia szybko ostudziła ich zapał.

– W tyłu nie pojedziemy – oznajmiła.

– Czemu? – zdziwił się Gieniu. – Bierze pani trzykółkę czy co?

– A co to takiego? – zapytał mężczyzna ciekawie. – Jakaś bryczka?

– Skądże, stary milicyjny motor z przyczepą.

Chłopak spojrzał na niego wyzywająco, jakby chciał sprawdzić, czy i na taką ekstrawagancję sobie minister pozwoli.

– Jeśli tylko jest na chodzie, czemu nie? – Roześmiał się. – Ale ja prowadzę.

– Może on przy okazji zwiedzania rancza chlapnął sobie coś z piersiówki – zasugerował Gieniu szeptem, ale nie na tyle dyskretnie, by mężczyzna nie usłyszał.

– Nie noszę przy sobie piersiówki. – Roześmiał się znowu. – Ale nie miałbym nic przeciwko szklaneczce jakiegoś własnej roboty trunku. – Puścił oko do babci. – Oczywiście po powrocie z lasu.

– Pola, ty z nami pojedziesz – zarządziła kobieta. – A co do trunku, to czym piwniczka bogata, sam pan sobie wybierze.

– Nadal uważacie, że nie jest dziwny? – spytał Gieniu po odjeździe delegacji.

– Może tu jest po prostu sobą – odparła Dziunia. – Znalazł się w towarzystwie, gdzie nie musi stroszyć piór i pozować na elokwentnego mądrąłę, więc korzysta z okazji.

– Zwłaszcza że ma do tych stron sentyment – przypomniała mama Szymona. – Może po prostu bywał tu kiedyś.

– A ja myślę, że nie ma co go tak analizować, cieszymy się po prostu, że jest, jaki jest, bo to dla nas tylko na plus – dodał Szymon.

– No ale... jak on chce ten bimber pić – zaniepokoiła się Aurelia. – Będzie wracał po pijaku?

– A co mu tam? Ma immunitet, no nie? – prychnął Gieniu.

– Ja go mogę przenocować, jakby chciał. – Nauczyciel, choć sam za kołnierza nie wylewał i zdarzało mu się po wsi jeździć autem po piwku, przejął się najwyraźniej wizją pijanego ministra za kierownicą. – Bo jak go złapie nasz młody, nie odpuści, choćby samemu papieżowi.

– No taaa... Właśnie jego ekscelencja wsiadł do papamobile i pojechał – zarechotał Gieniu.

Aurelia spojrzała na niego zde gustowana.

– No co? On zaczął. – Wskazał palcem na Kolczastego.

– A ty jak zwykle musisz skończyć. I im głupiej, tym lepiej.

– Hej, nie sprzeczcajcie się, proszę. – Dziunia podjęła się roli mediatora. – Dajże mu spokój, Aurelia, na dzisiaj chociaż.

– W porządku, na twoją odpowiedzialność. – Dziewczyna spojrzała na nią wymownie. – To znaczy... masz wyłączność na Gienia, jeśli o mnie chodzi. I ja się już słówkiem na te jego brednie nie odezwę.

– Jakoś ci do tej pory moje złote myśli nie przeszkadzały – rzucił fochem chłopak.

– Koniec! Okej? – Dziunia podniosła głos. – Chodź, zajmijmy się ogniskiem, najwyższa pora.

Gieniu i Dziunia podeszli do przygotowanej sterty drewna i gałęzi, rozniecili ogień, usiedli na trawie i już tam zostali. Pani Iwona i pani Jadzia zajęły się „bufetem”, Aurelia udała się do komórki kontemplować babcine trunki, Szymon natomiast odebrał jakiś tajemniczy telefon, bo po paru rzuconych do słuchawki słowach oddalił się na bok i tam kontynuował rozmowę.

Po powrocie z leśnej delegacji biesiada nie potrwała już długo. Minister był jakiś zatroskany i małowówny, pani Carmen zamyślona, Pola zaś jakby zdeorientowana. W sumie nie wiadomo, czym te nastroje były spowodowane, bo mężczyzna od razu oznajmił, że żadnej wycinki lasu nie będzie, był to więc raczej powód do radości i tryumfu, czego zupełnie nie było widać na ich twarzach.

Ostatnim akcentem wieczoru były ziemniaki z popiołu i flaszka aroniowego wina zamiast zsiadłego mleka. Towarzystwo najwyraźniej

liczyło na więcej, ale Szymon raz-dwa zakończył imprezę, dyplomatycznie, acz skutecznie. Na ranczu zostali więc jedynie jego mieszkańcy oraz ich gość.

– Ty, co się tam stało? – zapytał Polę Gieniu, gdy tylko nadarzyła mu się okazja.

– Nic. Powiem ci tylko tyle, że dzisiaj nie śpisz w stodole. Babcia umości ci poślanie w sieni.

– Bo?

– Bo w stodole będzie nocował minister.

Kiedy Pola nad ranem wstała, żeby skorzystać z ubikacji, babcia wciąż jeszcze siedziała przy stole. Sama, nad do połowy opróżnioną butelką bimbrowu.

– Co ty? Nie kładłaś się spać? – zdumiała się dziewczyna.

– Nie... Wiesz? Sprawy przybrały taki obrót... że nawet w snach bym się czegoś takiego nie spodziewała.

– Jak to? Przecież obiecał, że wszystko będzie po naszej myśli...

– Z lasem tak, ale... nie, na razie nie dam rady ci niczego więcej powiedzieć. Nie jestem w stanie.

– Przerażasz mnie, babciu.

– Idź jeszcze spać, dopiero czwarta. Mnie się już nie opłaca kłaść, minister będzie wyjeżdżał za dwie godziny.

– Razem sobie tak popijaliście?

– Razem. Ale on tylko ciut, bo przecież będzie prowadził.

Pola obudziła się przed południem, pozostali niewiele wcześniej. Ministra już dawno nie było, babcia drzemała na leżance w kuchni. Ocknęła się jednak, jak tylko dotarły do niej ściszone głosy.

– My się śniadaniem i gadziną zajmujemy, leż sobie – powiedziała Pola z troską i uwinęła się przy kuchni, Dziunia z Aurelią poszły do obejścia, a Gieniu, który miał w tym już jaką taką wprawę, po wodę do studni.

Niby wszystko toczyło się swoim torem, ale pani Carmen jakby nie była sobą. Nie tknęła jajecznicy, nie odzywała się do nikogo. Widać było

po niej, że coś ją solidnie gryzie. A kiedy i do przygotowania obiadu się nie włączyła, Pola nie wytrzymała.

– Co ci jest? – spytała bez ogródek. – Bo wyglądasz jak cień samej siebie.

Kobieta wstała z krzesła i bez słowa wyszła na zewnątrz, wnuczka udała się za nią.

– Mów! – zażądała. – I to teraz, bo to nie na mój system nerwowy. Zła jesteś na mnie o coś? Albo na kogoś z nas? Zaczynam się czuć jak intruz.

– Co ty mówisz... – szepnęła kobieta. – Jesteś tu bardziej u siebie, niż myślisz...

– To znaczy?

– Bo... tu się poczęłaś, na tym ranczu...

– Co ty opowiadasz? Jeszcze parę dni temu nie miałas przecież pojęcia, skąd się wzięłam.

– Ale już wiem. Od wczoraj...

– Co? Co takiego? On ci powiedział?

– Tak. To jest... twój ojciec, Pola.

ROZDZIAŁ XIV

Komu w drogę, temu... parafraza

Kolejne trzy dni minęły dziewczynie jak w malignie. Nie skomentowała słów babci, o nic nie zapytała. Starła się tylko trzymać fason przed przyjaciółmi, żeby nie popsuć im resztek pobytu w Zaciążu. Żartowała więc razem z nimi, wdawała się w płytkie dyskusje i ogólnie robiła to, co do tej pory. Nie oszukała tylko Dziuni, która od czasu do czasu przyglądała się jej z pełną niepokoju ciekawością. A gdy w końcu odważyła się dociec powodu jej rozterek, dziewczyna nie wytrzymała i wybuchnęła płaczem.

Siedziały na kamiennym stopniu stodoły, Pola łkała, starając się tłumić płacz, a szefowa tuliła ją w ramionach.

– Nie musisz nic mówić, jeśli nie chcesz, bywają takie sytuacje, gdy słowa nie chcą przejść przez gardło... Nie mam pojęcia, co się stało, ale gdybym mogła w czymś pomóc...

– Nie możesz. Nikt nie może, to kwestia faktów, których nie da się zmienić. I ja na razie kompletnie nie wiem, co z nimi zrobić...

– No to powiem ci taki banał, że czasem coś, co wydaje się trudne i nie do przejścia, może się okazać najlepszą rzeczą, jaka nas w życiu spotkała. Z perspektywy jakiegoś czasu.

– Może. Może tak właśnie będzie, ale na razie mam w głowie straszny chaos...

– Coś się wczoraj wydarzyło, tak?

– No właśnie...

– Pola, ja jutro wracam – szefowa zmieniła temat. – Gienia z sobą zabieram, bo ja go tutaj przywiozłam. Wy z Aurelią, jeśli chcecie, możecie

tu siedzieć do końca miesiąca, jak obiecałam, ale gdybyś wolała... Możecie zabrać się z nami.

– Tak, chcę – zdecydowała szybko dziewczyna. – A skoro ja chcę, Aurelia musi. A twoja ciocia i Szymon?

– No właśnie to o nich chodzi, ciocia musi zrobić pilnie jedno badanie, a i ode mnie interesy wymagają, żebym się nimi zajęła.

– Wracamy. Babcia będzie zaskoczona, ale zrozumie.

Babcia nie była zaskoczona, za to Aurelia i owszem.

– Dziunia się rozmyśliła co do naszego bezpłatnego urlopu? – zapytała przy najbliższej okazji.

– Nie, nie rozmyśliła się. To moja decyzja.

– Co tak nagle?

– Matka coś niedomaga – skłamała Pola na odczepnego, bo inaczej Aurelia zamęczyłaby ją na śmierć.

– No dobra, to wracamy. Ale wbijamy tu za rok.

– Nie ma problemu. Znasz już gościnność babci.

Ostatni wieczór na ranczu Pola postanowiła wykorzystać na spędzenie wyłącznie w towarzystwie pani Carmen. Do tej pory obie były zbyt zajęte innymi sprawami i dziewczyna miała niedosyt wyłącznie prywatnych i takich... szczerych do żołądka rozmów, a w obecnej sytuacji odczuła taką potrzebę jeszcze silniej.

– Chodź, usiądziemy pod czereśnią, to drzewo ma dobrą energię – odpowiedziała babcia na jej propozycję zaszyca się gdzieś tylko we dwie.

– Zapalimy to, co zostało z ogniska, dla lepszego klimatu.

Umościły się na kocu, bo wieczorna rosa zaczęła dawać się już we znaki, płomień ogniska nieznacznie oświetlał ich twarze i grzał przyjemnie, bo było jakoś wyjątkowo chłodno.

– Opowiedz mi wszystko, proszę – szepnęła Pola. – Z tym... ministrem i moją mamą...

– Mówiłam ci, że tamtego lata koczowała u nas na ranczu młodzież z Warszawy. Przyjechali z namiotami i szukali miejsca na biwak, zaproponowałam im więc gościnę, a oni bardzo chętnie na to przystali.

Podobało im się u mnie, wiesz, zwierzaki, mleko od krowy, jaja prosto spod kur, swojski chleb i masło... Te rzeczy. Oni byli mieszcuchami z bloków, więc zachwycił ich ten inny świat. Alina się z nimi zaprzyjaźniła, spędzali razem wiele czasu, a ja byłam z tego bardzo zadowolona, bo zaczynała zachowywać się jak normalna dziewczyna w jej wieku: bawiła się, wygłupiała, śpiewała i na chwilę odeszły ją te wygórowane ambicje. A kiedy się okazało, że jest w ciąży, byłam prawie pewna, że to ktoś z nich... I miałam rację.

– A on? Tak po prostu się zmył i urwał kontakt?

– No właśnie że nie... Obiecali sobie, że będą pisać, telefony komórkowe miał wtedy mało kto, a na ranczu nie było nawet stacjonarnego. I podobno pisał, ale ja całą korespondencję, jaka przychodziła do twojej matki, odsyłałam z dopiskiem „adresat nieznany”, bo ona tu już nie mieszkała, tydzień po ich wyjeździe wyniosła się i nie raczyła poinformować dokąd. Zerwała kontakt ze mną, z wsią, ze swoją przeszłością.

– Rychło w czas się odezwał, skoro ja już byłam na świecie...

– To jest bardziej złożone, niestety. On zaraz po powrocie z wakacji pojechał na roczne zagraniczne stypendium z uczelni, dość niespodziewanie, na czyjeś miejsce. O wakacyjnym romansie trochę w natłoku wrażeń i obowiązków zapomniał, a list od Alinki, która poinformowała go o ciąży, czekał na niego przez cały ten czas w skrzynce pocztowej w Warszawie.

– No to czuła się pewnie porzucona przez niego. I sfrustrowana...

– A ja wiem, co czuła? Na każdą próbę rozmowy wystawiała kolce, pazury i kły. Przecież ja chciałam dotrzeć do niej jakoś, pomóc, wesprzeć... Ale gdy moja córka stwierdziła, że jej dziecko nie będzie dorastało w takim syfie jak ona, dałam spokój. Dotknęła mnie tym do żywego, wiesz? Ja żyłam, jak żyłam, w takich warunkach, jakie były, i nie mogłam zaoferować jej niczego, czego sama nie miałam... Pogodziłam się z sytuacją. Córce życzyłam jak najlepiej, a skoro miało być jej lepiej bez mnie, w innym, piękniejszym świecie, nie miałam prawa jej zatrzymać...

– Ale jej wcale nie jest lepiej, babciu. I przypuszczam, że gdziekolwiek by była, byłoby tak samo. Ona taka już jest, wiecznie niezadowolona, wciąż wymagająca więcej i więcej.

– Przynajmniej za to, co było potem, już mnie winić nie może.

– Może gdyby choć ona miała ojca, byłoby inaczej? Ja coś o tym wiem, bo mnie go od zawsze bardzo brakowało.

– Na pewno. Rozumieliby się bez słów, bo to karierowicz był i snob. Miał wybór, awans i kariera w dużym mieście albo my. Studiował też wtedy zaocznie, miał dwa lata do magisterki. On się od ojcostwa nie migał, ale chciał prowadzić życie na dwa domy, od przypadku do przypadku. A mnie taki układ nie pasował, wiesz, że zjawi się dwa razy w miesiącu, przywiezie jakąś zabawkę, a całe uroki macierzyństwa, kolki, ząbkowanie, choroby, sraczki i tym podobne zostawi mnie. Tak się nie bywa rodzicem. Tego stanu trzeba zaznać i w dobrym, i w złym.

– A ty? Nie chciałaś się przeprowadzić do niego?

– Na jego warunkach? W życiu!

– Czyli?

– Dopiero jak skończy te swoje studia, żeby mu dzieciak w nauce nie przeszkadzał...

– Słabe...

– Słabe? Skurwysyńskie! – podjarała się babcia. – Twój tatuś przynajmniej chciał się tobą zajmować, chciał się z twoją matką ożenić, ale widocznie i mnie, i Alince pisane było samotne macierzyństwo. Mam nadzieję, że chociaż ty przerwiesz ten zaklęty krąg, bo i ja ojca nie miałam. Mój dla odmiany umarł, jak miałam pięć lat, i tylko to go usprawiedliwia!

– Co ty gadasz, babciu! Przecież nie umarł wam na złość...

– Bo ja wiem? Po facetach można się wszystkiego spodziewać.

Pola wolała zignorować ten temat i przejść do własnych spraw.

– Może gdyby sprawy ułożyły się inaczej, ja miałabym normalną rodzinę, z taką zwyczajną, kochającą mamą i ojcem, na którego obie zawsze mogłybyśmy liczyć... – Pola westchnęła.

– Masz kochającą mamę, tego jestem pewna.

– Tylko że ja tego nigdy nie odczułam. Zawsze tylko oczekiwania, krytyka, ocenianie na każdym kroku.

– Widać ona inaczej nie umie. Może to i moja wina... Musiałam być uparta i twarda, żeby w pojedynkę wszystkiemu podołać: praca, dom, nieślubne dziecko, bo na takiej zapadłej wsi jak nasza podobne rzeczy wciąż jeszcze były tematem do kpin i docinków. Chciałam, żeby Alinka też była twarda, odporna na wszystko, co może o sobie usłyszeć i czego może doznać. I była, ale oprócz tego budowała sobie jakiś własny świat, zupełnie inny od tego, w którym żyła i... którego nienawidziła serdecznie.

– Dziwne to wszystko, babciu... Życie jest dziwne.

– Bo życia nie można się nauczyć zawczasu, z jakichś mądrych teorii. Tylko w praktyce, a ta bywa bolesna zazwyczaj.

– To fakt. Ale ty... też jesteś kochającą mamą, prawda?

Pola spojrzała z uwagą w babciną twarz.

– A jak to sobie inaczej wyobrażasz? Alina jest moim dzieckiem, krwią z krwi i nic nie jest w stanie tego zmienić. Jestem pewna, że ona kocha mnie też, bo nie w miłości czy jej braku leży problem.

– Tylko?

– W tym, że my nie potrafimy się polubić takimi, jakie jesteśmy...

* * *

– Masz tu co nieco ode mnie. – Babcia wcisnęła Poli w rękę wypakowaną siatkę. – Może twoja matka też się skusi i przypomni sobie smaki dzieciństwa...

Dziewczyna zajrzała do środka. Były tam jakieś zawiniątka, słoiki oraz butelki. Ale na tym się nie skończyło, pani Carmen wręczyła jej również kosz z owocami, każdego z pozostałych obdarowała flaszką wina, przy czym Gieniu otrzymał dodatkowo butlę bimberku.

– Otwórz bagażnik – poprosiła krzątającą się koło auta Dziunię. – Nie upchnę tego w środku...

– W bagażniku też nie będzie łatwo – mruknęła Dziunia i obie zaczęły przestawiać i tak już z trudem wciśnięte walizy i torby.

– Coś taka zła? – zagaiła Pola. – Nie chce ci się wracać?

– Sama nie wiem, co mi się chce. Ale może dowiem się już na miejscu. Nie bierz tego do siebie.

– No to... może do przyszłego roku? – powiedziała Aurelia, gdy w końcu przyszło do pożegnań.

– Na pewno! – Babcia się roześmiała, jednocześnie robiąc unik przed wylewnym uściskiem. – Nikt stąd nie wyjeżdża sobie ot tak, na zawsze. Historia nie odnotowuje takich przypadków.

Kobieta poprzestała na podaniu Aurelii ręki, podobnie pożegnała się z całą resztą, nie wyłączając własnej wnuczki. Gieniu, nie pytając nikogo o zdanie, zajął miejsce z przodu, zapiął pas i oznajmił:

– Komu w drogę, temu koń.

Dziunia spojrzała na niego zdziwiona.

– No co? To się nazywa **parafraza**. Wiesz?

– Okej. Komu w drogę, temu parafraza. – Aurelia oczywiście musiała postawić kropkę nad i.

– Ruszajmy, zanim babcia się rozklei. – Pola spojrzała w stronę, gdzie jeszcze przed chwilą stała staruszka, ale jej już nie było.

– Szymon i pani Basia już wyjechali? – zapytała.

– Tak, wczoraj wieczorem – odparła Dziunia. – Na rano miała umówione badanie i chciała je zrobić jak najszybciej.

– Coś się stało? Pogorszyło się jej?

– Nie, przeciwnie. Ciocia czuje się znacznie lepiej, ale być może dolega jej coś zupełnie innego, niż twierdzili lekarze. Gdyby tak było, miałyby szanse na całkowite wyleczenie, i to w dość krótkim czasie.

– Czyli co? – zapytał bezceremonialnie Gieniu.

– Miała zdiagnozowane reumatoidalne zapalenie stawów, na to ją leczono, ale ani leki, ani zlecone zabiegi fizykoterapii niewiele pomagały. Aisza natomiast podejrzewa, że to po prostu borelioza, objawy są bardzo podobne, ale leki już nie. I wbrew wszelkim mitom można ją wyleczyć.

Poczytałam trochę na ten temat, czasem wystarczy po prostu silny antybiotyk.

– I wsiowa znachorka to odkryła? – Chłopak był mocno sceptyczny.

– Tak, Gieniu. Wsiowa znachorka. Mało tego, wdrożyła kurację odpowiednimi ziołami i zaczęło pomagać. Bardzo podniosła też ciocię na duchu, bo sama chęć do walki z chorobą już wiele daje.

Spojrzenia Dziuni i Poli skrzyżowały się we wstecznym lusterku. Tylko one znały bowiem sekret Aiszy-Iwony.

– Patrzcie, jak to życie się dziwnie składa... Jakby ktoś pociągał za sznurki... A wszystko to dzięki niechęci Poli do tytułu magistra. – Aurelia popadła w jakiś uduchowiony ton.

– Idąc dalej twoim tokiem myślenia, wykształcenie wyższe jest dla człowieka zbędnym balastem – wtrącił się Gieniu. – I to właśnie Absolut postanowił wam przekazać z nadzieją, że będziecie tę informację szerzyć, chodząc od domu do domu.

– Fakt. A ty jesteś tego żywym przykładem – odparowała jego była dziewczyna. – Tobie ewidentnie zaszkodziło.

Przez dalszą część drogi rozmowa już się nie kleiła, a to dlatego, że Dziunia zabroniła pasażerom rzucania złośliwościami. Gieniu więc spał, dziewczyny na tylnym siedzeniu obżerały się śliwkami, Dziunia skupiona była na własnych, sobie tylko znanych myślach.

* * *

– Wejdiesz ze mną? – zapytała Pola przyjaciółkę, gdy samochód zatrzymał się pod jej blokiem.

– A co? Boisz się?

– Nie, tylko... zyskałam... jak by ci tu powiedzieć... nowe spojrzenie na matkę i nie wiem, jak mój organizm zareaguje.

– Lepsze czy gorsze?

– No właśnie nie wiem. To się dopiero okaże.

– Mam się tarabanić do ciebie z bagażem? Trochę bez sensu.

– W tamtą stronę się tarabaniłaś, w dodatku pociągiem. Teraz masz więcej tylko o jedną flaszkę.

Aurelia przez chwilę się zawahała, ale w końcu uznała chyba, że zostawienie Poli sam na sam z krwiożerczą rodzicielką nie byłoby w porządku, i wysiadła z auta razem z nią.

Pani Alina, nie mając pojęcia o powrocie córki, była na widok dziewczyn autentycznie zaskoczona, a może nawet przestraszona.

– Chryste Panie, myślałam, że ktoś mi się włamuje – takie były jej pierwsze słowa.

– Za pomocą klucza? – spytała rzeczowo Pola.

– Nie wiem, za pomocą czego, słyszałam tylko tupanie, sapanie i jakieś złowrogie knucie za drzwiami.

– Ani knucie, ani złowrogie, proszę pani – odezwała się Aurelia. – Co najwyżej wyraz radości Poli z powrotu do domu.

Pani Alina spojrzała na dziewczynę bez cienia sympatii.

– Wchodźcie. Jesteście głodne? – spytała dość niechętnie.

– Nie, przeciwnie – odpowiedziała Pola, wciąż jeszcze czując śliwkowy balast w żołądku.

Pola poszła do siebie, by pozbyć się bagażu, Aurelia podreptała za nią.

– I jak organizm? – zapytała szeptem.

– Nie wiem, matka go nie dopuściła do głosu. Okaże się później.

– To może ja już pójdę?

– Ani mi się waź! Wypijemy we trójkę herbatę i wtedy dopiero będziesz wolna. Chodź, pójdziemy do kuchni.

– Chyba się dobrze bawiłyście, skoro nie było was prawie miesiąc – rzuciła pani Alina, stawiając na stole trzy kubki z herbatą.

– Świetnie – odparła Pola. – I zostałybyśmy jeszcze dłużej, ale szefowa musiała już wracać.

– A co ona tam robiła, jeśli można spytać?

– No... to samo, co wszyscy. Ale generalnie to przyjechała do znachorki.

– Jakiej... znachorki?

– No tak, ty jej pewnie nie miałaś okazji poznać, ale mieszka tam taka cudotwórczyni od wszystkich boleści. Bardzo skuteczna, i szefowa ściągnęła do niej jeszcze trochę swojej rodziny.

Pani Alina przybrała nieodgadniony wyraz twarzy, który Pola uznała za złość pomieszaną z niesmakiem, choć ktoś patrzący na nią obiektywnie mógłby go odczytać jako troskę i smutek. Aurelia dopijała swoją herbatę w pośpiechu, by móc jak najszybciej wymiksować się z tej sytuacji. Równocześnie z ostatnim łykiem wstała od stołu, pożegnała się i zanim Pola zdążyłaby zaprotestować, wrzuciła plecak na ramię i ruszyła ku drzwiom.

– Nie musisz mnie odprowadzać – rzuciła w stronę przyjaciółki i po prostu wyszła.

Przy stole zapadło milczenie.

– Byłabym zapomniała – bąknęła po chwili Pola i przytaskała ze swojego pokoju siatkę wiktuałów od babci. – Włóżę to do lodówki...

Pani Alina z uwagą przyglądała się tej czynności, pewnie ciekawa, co też córka z wojaży przywiozła. Na widok i zapach gliwionego sera jej twarz na moment się ożywiła. Dziewczyna to dostrzegła, położyła ser na talerz i postawiła na stole.

– Może zjemy po kawałku?

– Nie. Nie chcę tego oglądać. – Kobieta odwróciła wzrok, który mówił coś zupełnie innego.

– To może po lampce wina? – Dziewczyna schowała ser i postawiła w jego miejsce butelkę babcinego trunku. – Aroniowe. Pewnie znasz jego smak.

Zanim pani Alina zdołała odmówić, bo zbierała się do tego zbyt długo, córka wyjęła dwie lampki i napełniła je niemal czarnym płynem. Matka nie zaprotestowała, przy drugim kieliszku ani żadnym kolejnym również, wskutek czego wypily w kompletnej ciszy całą butelkę. Pola zastanawiała się, co też dzieje się teraz w głowie jej rodzicielki, z jakimi walczy myślami, uczuciami, bo to jej milczenie nie było rzeczą zwyczajną. Normalnie zasypałaby córkę setką pytań przeplatanych krytyką i wyrzutami, ale nic takiego się nie stało.

Dziewczynnie nagle zrobiło się jej żal. Nigdy dotąd nie zaznała podobnego odczucia, ale teraz, wraz z wiedzą, którą przywiozła ze sobą, jej stosunek do matki zaczął ewoluować w zaskakującym dla niej samym kierunku. Tu i teraz, przy tym stole.

– Mamo... ja... – zaczęła i urwała, bo tak naprawdę nie wiedziała, co chciała jej powiedzieć.

To znaczy wiedziała, ale było tego zbyt wiele na jedno zdanie, a na dłuższą tyradę nie miała ani siły, ani ochoty, a przede wszystkim odwagi.

Kobieta spojrzała na córkę jakimś innym niż zwykle wzrokiem.

– Martwiłam się o ciebie – powiedziała. – Napisałaś raptem jedną wiadomość, nie odbierałaś telefonów ode mnie...

W Polę nagle jakby diabeł wstąpił.

– Martwiłaś się o mnie? Tak? Bo nie miałaś ze mną kontaktu raptem przez trzy tygodnie? A co byś powiedziała, gdybym go urwała na zawsze? Wyjechała nie wiadomo dokąd i przepadła?

– Nawet tak nie mów – kobieta nie dała się sprowokować. – Mam przecież... tylko ciebie...

– Jeśli to jest powód, żebym miała tutaj tkwić, w twoich ustach brzmi jak hipokryzja. Nie sądzisz?

– Oczywiście wiem, do czego zmierzasz, ale moja sytuacja była zupełnie inna, a decyzja o wyjeździe podyktowana głównie twoim dobrem. Nie chciałam, żebyś dorastała tam, gdzie ja, bez szans i perspektyw na lepsze życie.

– Ja nie mówię o wyjeździe, bo to da się zrozumieć. Mówię o tym, jak potraktowałaś babcię. Ona się o ciebie nie martwiła? Nie myślała?

– Nie sądziłam, że mogłaby się martwić. Miała swój świat, swoje życie, w którym moja obecność nie była konieczna.

– A to zabawne, wiesz? Bo ja dokładnie tak samo myślałam o tobie. I też nie sądziłam, że mogłabyś się martwić.

– Pola! Jak możesz?

– No cóż... Sama nieraz mi powtarzałaś, że niedaleko pada jabłko od jabłoni...

– Nie oceniaj, jeśli nie wiesz, o czym mówisz. I... nie masz... pojęcia...

– Mam. Teraz już mam – córka weszła jej w słowo. – Szkoda tylko, że nie dowiedziałam się niczego na swój temat od ciebie.

– O? A czegoś to się dowiedziałas? – matka zaczęła ironizować. – Plotek? Domysłów? Bo fakty z mojego własnego życia znam tylko ja.

– Niezupenie. Bo w tym, że przyszłam na świat, musiał brać udział ktoś jeszcze. Tak to natura ułożyła.

Pani Alina na moment zastygła w bezruchu.

– O czym... ty mówisz...

– Wiem, kto jest moim ojcem – dziewczyna przestała wreszcie owijać w bawełnę. – Poznałam go nawet osobiście.

– Pojechałaś grzebać w mojej przeszłości?

– Nie. Absolutnie nie. To był kompletny przypadek.

– Bzdura. Tak po prostu wpadliście na siebie i intuicja ci podpowiedziała, że to twój tatuś?

– Jemu podpowiedziała. Na podstawie dwóch przesłanek: adresu babci i mojego uderzającego podobieństwa do niej.

– Nie wierzę.

– Nie musisz. – Pola wstała od stołu, zostawiając matkę w kompletnym osłupieniu.

I dziewczynie znów przez chwilę zrobiło się jej żal...

– Mamo... – powiedziała cicho, muskając palcami jej dłoń. – Zostawmy to tak na dzisiaj, okej? Wrócimy do tematu, jak będziesz gotowa. Bo teraz już nie da się go zignorować, choćbyśmy nawet obie chciały.

ROZDZIAŁ XV

Dziunia nie jest taka, jak każdy widzi?

Pola omal nie spóźniła się do pracy. Ta noc nie sprzyjała odpoczynkowi, dziewczyna była niewyspana, z głową wciąż pełną chaotycznych myśli.

Aurelia ścierała kurze i układała towar, Dziunia siedziała na zapleczu nad papierami. Był koniec miesiąca, musiała ogarnąć rachunki, faktury i wszelakie rozliczenia.

– Nawet tam nie wchodź – uprzedziła ją przyjaciółka. – Zła jest jak sto diabłów i warczy.

– Warczy?

– Opryskliwa jest, znaczy się. Bez kija nie przystap.

– A nie wiesz, co się stało?

– Skąd mam wiedzieć, skoro warczy?

Pola nie posłuchała przestrogi i udała się na zaplecze.

– Cześć – powiedziała. – A może raczej dzień dobry pani, skoro wszystko wróciło na służbowy grunt.

– No właśnie nie wróciło. – Dziunia na moment uniosła głowę znad biurka. – I przestań z tą panią, dobrze?

– Co się dzieje? – Dziewczyna nie dała się zbyć i przysiadła obok.

– Czemu pytasz?

– Bo... może mogłabym ci w czymś pomóc?

– A wiesz? To niewykluczone, tylko że to nie jest rozmowa na tu i teraz.

– Może więc się spotkamy po pracy gdzieś na kawie? Jeśli chcesz, oczywiście.

Szefowa popatrzyła na Polę zaskoczona i trochę jakby nieufna.

- Dzisiaj? – spytała po chwili wahania.
- Kiedy zechcesz.
- Wobec tego może wieczorem, gdybyś znalazła czas? U mnie?
- Dobrze, zapisz mi tylko adres.
- Jest na pieczętce. A teraz bardzo cię przepraszam, ale muszę wrócić do swojego zajęcia.

Dziewczyna było lekko zdziwiona tak prywatnym zaproszeniem szefowej, pomyślała, że skoro do tego doszło, jej problem musi być naprawdę spory i wymagający szybkiej reakcji. Ale co takiego mogło się stać, że pomocna w jego rozwiązaniu mogła być Pola?

- Udzieliło ci się? – zapytała Aurelia na widok marsowej miny przyjaciółki.

- Tak, ale nie wiem jeszcze co.
- Możesz jaśniej?
- No przecież mówię, że nie mogę.

Aurelia nie przestawała się krzątać, teraz zabrała się do ubierania manekinów i wciąż niezdecydowana co do ostatecznej koncepcji, nadal coś zmieniała i ulepszała.

- Myślisz, że beret z futkiem do wieczorowej sukni to dobry pomysł? – zagała Pola.

- Dobry nie dobry, ale na pewno oryginalny.

W sklepie zaczął się umiarkowany ruch i jeszcze bardziej umiarkowana sprzedaż, stałe klientki liczyły bowiem na jakieś nowości, a tych nie było. Prawie każda natomiast zwróciła uwagę na stylizację na manekinie. Aurelię zaczęło to w końcu irytować, ale trwała w milczącym uporze. Zareagowała dopiero na uwagę Dziuni.

- Sądzisz, że tak się to powinno nosić? – spytała gotowa już do wyjścia.

- Nie, z czapką uszanką, ale niestety nie mamy w ofercie – odburknęła dziewczyna.

Szefowa, wbrew wszelkim oczekiwaniom, tylko się roześmiała.

- Dziewiętnasta? Może być? – zwróciła się do Poli.

- Jasne.

– A, i gdybyś mogła, nie przyjeżdżaj samochodem, weź taksówkę, okej?
– Przecież ty nie masz samochodu – zauważyła Aurelia, gdy zostały już same.

– I właśnie dlatego pojedę taksówką.

– Jakaś imprezka się szykuje? Z pańczyą?

– Nie. Ona chce ze mną o czymś porozmawiać. Nie mam pojęcia, o co może chodzić, i mam pewne obawy, ale sprawa wyjaśni się dopiero wieczorem.

– Myślisz, że może coś z tą jej ciotką?

– Może, ale gdyby tak było, to w czym ja bym mogła jej pomóc?

– Załatwić jeszcze jeden turnus u babci?

– Ja nie jestem do tego potrzebna, mają z sobą bezpośredni kontakt.

– Powiesz mi jutro, o co chodziło?

– Jeśli to nie będzie zbyt intymne, to jasne, że ci powiem.

– Zbliżyłyście się do siebie w tym Zaciążu...

– Nie sądzę. Ja po prostu zaczęłam ją inaczej postrzegać, mniej powierzchownie i tyle.

– A ja postrzegam ją zupełnie tak samo. – Aurelia wzruszyła ramionami.

Pola nie odpowiedziała, bo nie miała ochoty przekonywać Aurelii do zweryfikowania swojego poglądu na szefową. Już próbowała, a poza tym nie widziała w tym żadnego sensu.

* * *

– Wybierasz się dokądś? – zapytała matka, widząc Polę stojącą przed lustrem.

– Tak, szefowa mnie zaprosiła.

– O? Powiększyło ci się grono przyjaciółek? – skomentowała z ironią.

– Nie. Szefowa to szefowa, ale ma do mnie jakąś sprawę.

Kobiety nie wróciły do rozmowy prowadzonej przy babcinym winku, pani Alina nie wspomniała już ani razu o pobycie córki na wsi. Wszystko wyglądało, jakby wróciło do normy, czyli... chłodnych relacji i rozmów

przypominających szermierkę na ironię, docinki i złośliwości. Jednak od tamtego wieczoru dało się wyczuć między nimi coś znacznie większego, nabrzmiewającego pełnym napięciem milczeniem i nieuchronnością gwałtownej eksplozji.

– Nie wiem, kiedy wrócę – powiedziała Pola po otrzymaniu informacji, że taksówka już czeka na dole. – Więc się o mnie nie martw, jakby co – dodała złośliwie.

Dziunia mieszkała na eleganckim, nowo wybudowanym osiedlu. Nie było tam bloków mieszkalnych, tylko małe bliźniacze domy, identyczne, stojące ciasno jeden obok drugiego. Dziewczyna spodziewała się raczej dużej wypasionej willi z ogrodem, bo jej szefowa lubiła rozmach i przepych we wszystkim, co do tej pory dało się zauważyć.

– Jesteś – powiedziała na jej widok, jakby lekko zdziwiona. – Wejdz.

O ile sam dom zaskoczył Polę skromnością, jego wnętrze już nie. Było na bogato: marmury, nikiel i skóra. Ale tym samym nie było tu ani odrobiny przytulności i domowego ciepła. Szefowa zakrzętnęła się szybko i postawiła na szklanej ławie przekąski, słodycze i napoje, między którymi znalazła się butelka wina od pani Carmen.

– Nie odmówisz chyba? – zapytała z lekkim uśmiechem na twarzy.

– No pewnie, że nie. Ja już swoje obaliłam. Razem z matką, jak tylko wdepnęłam do domu.

– To zrozumiałe. Pewnie się zdążyła stęsknić, przy dobrym trunku zresztą lepiej się gada, a wy musiałyście mieć sobie wiele do opowiedzenia...

– I łatwiej czyni się wyrzuty...

– Posprzeczałyście się?

– Nie... wiesz, trudno to nawet nazwać, ale powiem ci tylko tyle, że w naszej rodzinie matki i córki nie bywają psiapsiółkami. Poza tym miałyśmy rozmawiać o twoich problemach, o ile dobrze zrozumiałam. Coś się stało?

Pola szybko sprowadziła rozmowę na właściwy grunt, bo ostatnią rzeczą, jakiej by teraz chciała, było zwierzenie się Dziuni ze swojego życia.

Nie po to tu przyszła.

– Taaak... stało się i nie wiem, jak z tego wybrnąć. Ty znasz Aurelię o wiele lepiej niż ja, więc może będziesz umiała coś mi poradzić.

– Coś z nią nie tak?

– Chodzi o mnie, nie chciałabym być wobec Aurelii nie w porządku.

– Nalej może tego winka, skoro ma być łatwiej – zaproponowała Pola.

Dziewczyna w pierwszej chwili pomyślała, że Dziuni nagle zaczął przeszkadzać sposób bycia przyjaciółki i że chciałyby się jej jakoś dyplomatycznie pozbyć. Ale Dziunia szybko wyprowadziła ją z błędu.

– Mój problem dotyczy Gienia. On... przez cały czas się koło mnie kręci, adoruje, mówiąc prościej: podrywa. Nie mam pojęcia, czy traktuje te swoje zaloty poważnie i o co mu tak naprawdę chodzi, bo trzymam go na dystans i nie dopuszczam do głosu...

– Chcesz go spławić, jeśli dobrze rozumiem?

– No właśnie że nie... – Szeffowa wychyliła swoją lampkę, nie czekając, aż gość zrobi to samo, i napełniła ją ponownie. – Rzecz w tym, że on mi się podoba, ale wiem, co mnie w nim pociąga. Może ta jego chłopaczkowatość? Bezceremonialność i szczerłość we wszystkim, co mówi i robi, nawet jeśli czasem bywa zbyt obcesowa czy wręcz niesmaczna... Bo Gieniu jest, jaki jest, niczego nie ukrywa, ma wypisane na czole zalety i wady.

Pola milczała.

– Ja wiem, że są różne przesłanki przemawiające przeciw naszej relacji, masa różnic, w tym różnica wieku, ale dla mnie najważniejszą jest Aurelia. Pary się kłóca, rozstają, wracają do siebie, a ja nie chciałabym stawać jej na drodze do szczęścia.

– Do szczęścia z Gieniem? – parsknęła śmiechem Pola. – Nie ma takiej opcji, a raczej wręcz przeciwnie. To nie wypaliło i nie wypali, już nie. Aurelia miała okazję w Zaciążu przyjrzeć mu się w różnych sytuacjach i poznać jego strony, o których wcześniej nie wiedziała. Widać wcześniej nie było odpowiednich okoliczności, by mogło z niego wyleźć to, co wylaźło.

– To znaczy?

– Jego ekscentryczność okazała się być egoizmem, poczucie własnej wartości samouwielbieniem graniczącym z narcyzmem, a deklarowana przez niego potrzeba spokoju i natchnionej ciszy zwykłym, śmierzącym lenistwem. Aurelia już wcześniej widywała pewne sygnały, ale nie dopuszczała do głosu prawdy, dopóki ta sama się nie obnażyła do gołych pośladeków.

– Właśnie o tym mówię... Że Gieniu jest, jaki jest, i jeśli o mnie chodzi, mam tego świadomość od samego początku. Gdybym się na niego pisała, to z całym tak zwanym dobrodziejstwem inwentarza, bo mnie nie zaskoczy ani nie rozczaruje. Nie on. Jeśli już, to ja samą siebie.

– I przeszkodą jest wyłącznie Aurelia?

– Nie przeszkodą. Powodem, tak bym to nazwała.

– Wobec tego szczęścia wam życzę, bo ona skończyła z Gieniem definitywnie, ale jeśli chcesz, postaram się o błogosławieństwo dla was od niej samej.

– Mogłabyś? Serio?

– No pewnie. Ale w sumie sama mogłaś z nią o tym porozmawiać.

– Brałam to pod uwagę, ale nie miałam śmiałości, bo Aurelia mnie nie lubi. Nie wiem, jak by zareagowała, wolałam podpytać ciebie.

– Czemu uważasz... że cię nie lubi?

– Ty też mnie nie lubisz, ale nie w tym rzecz, to nie jest konieczne w układzie szef–pracownik. Z tobą po prostu lepiej mi się rozmawia.

– Beata... To nie tak. – Poli zrobiło się głupio nie tylko z powodu odkrycia Dziuni, ale też dlatego, że zaczęła się przed nią tłumaczyć. – Jeśli chodzi o mnie, owszem, nie darzyłam cię jakąś szczególną sympatią, ale w Zaciążu to zaczęło się zmieniać. Ja po prostu wcześniej kompletnie cię nie znałam i wyrobiłam sobie na twój temat opinię chyba tylko na podstawie... wyglądu.

– A co jest z moim wyglądem nie tak? – spytała Dziunia, patrząc Poli prosto w oczy, ale bez cienia pretensji, przeciwnie, z uśmiechem na twarzy.

– No... wiesz... może jest taki... zbyt ostentacyjny? – jąkała się dziewczyna. – Sprawiałaś wrażenie damuli, dla której największym życiowym problemem jest odprysk na paznokciu albo odwołany termin w salonie kosmetycznym...

Kobieta się roześmiała.

– A teraz? Już nie robię takiego wrażenia?

– Nie wiem, bo nie patrzę już na ciebie w ten sposób. Bardzo mnie zaskoczyłaś, jak byliśmy u babci, potrafiłaś się zaadaptować do życia bez żadnych wygód, pomagałaś przy gadzinie, a nawet czerpałaś wodę ze studni...

– Bo to dla mnie nic nowego – odparła Dziunia i po raz kolejny, już ostatni, napełniła kieliszki, bo butelka pokazała dno. – Urodziłam się i wychowałam na takiej wsi, tyle że w Bieszczadach. Do dziś się w moim rodzinnym domu niewiele zmieniło, jest łazienka i to cały luksus.

Kobieta umilkła i wpatrzyła się w trzymaną w ręku lampkę z winem.

– Najmłodszy brat mamy jako jedyny się stamtąd wyrwał, wykształcił i zamieszkał w mieście. To był tata Szymona. Zabrał mnie do siebie, gdy skończyłam siedemnaście lat, miałam zajmować się Szymonem, wiesz, oboje z cicią pracowali, robili kariery... Wysłał mnie też do zaocznego liceum, bo moja edukacja zatrzymała się na podstawówce, potem pomógł znaleźć pracę, mieszkanie i tak jakoś on i ciocia Basia w końcu zastąpili mi rodziców, a Szymon stał się bratem.

– A twoi rodzice? Nie mieli nic przeciwko temu?

– Nie.

Pola spojrzała na szefową, ale szybko odwróciła wzrok, bo kobieta była wyraźnie wzruszona.

– I wierz mi, znam o wiele większe problemy niż odprysk na paznokciu. Nie zapomniałam, co znaczy ciężka fizyczna praca, jak smakuje chleb z masłem i ziemniaki ze zsiadłym mlekiem, bo często niczego innego nie było, donaszanie ciuchów po starszym bracie i pięć kilometrów na piechotę do szkoły, w upały, deszcze i mrozy. Dziś mam wszystko, ale dzięki cici i wujkowi nie przewróciło mi to w głowie.

Sprawiło tylko taki... dysonans poznawczy, bo kiedyś mi się wydawało, że gdybym miała dużo pieniędzy, moje życie byłoby wspaniałe...

– Masz jeszcze jakieś wino? – zapytała Pola.

Dziunia wstała bez słowa i przyniosła butelkę czerwonego fresco.

– A nie jest? – Pola wróciła do tematu.

– Co?

– Twoje życie. Wspaniałe.

– No wiesz... Każdy ma jakieś niedostatki. Pieniądze dają jedynie pewien rodzaj poczucia bezpieczeństwa, ale nie w każdej dziedzinie. Jest takie powiedzenie, banalne, ale prawdziwe: są rzeczy, których kupić nie można. To znaczy można, ale nie każdego satysfakcjonuje takie kupione szczęście.

– Mówisz o czymś konkretnym?

– O miłości na przykład?

Dziewczyna nie wiedziała, co na to powiedzieć. Bo Dziunia, jakkolwiek by na nią krytycznie patrzeć, była atrakcyjną kobietą. To znaczy... takim rodzajem atrakcyjności, która mogła się podobać, miała wszystko, co kobieta mieć powinna, nawet jeśli większość tych rzeczy była dziełem medycyny estetycznej i talentów kosmetyczek oraz fryzjerów.

– Nigdy bym nie pomyślała, że mogłabyś mieć problem ze znalezieniem faceta – powiedziała Pola, całkowicie szczerze, choć może nieco obcesowo.

– Bo nie mam. W tym sensie, że mogłabym przebierać w adoratorach, tyle że tak naprawdę nie ma w czym. A ja nie spuszczam z tonu, mimo że czas leci. Nie chcę byle kogo, po to tylko, żeby był. Wiesz, może mnie samej by ten „jakikolwiek” wystarczył, ale ja chcę założyć rodzinę, może jeszcze... mieć dzieci, a to już podwyższa standardy.

– I myślisz, że Gieniu dałby radę je spełnić? – Podchmielona już nieźle Pola waliła prosto z mostu. Ale i Dziunia miała już na tyle w czubie, że nie miała problemu ze szczerością.

– Nie zrozumiesz...

– A mogę spróbować?

– Trochę ci już mówiłam, jakie widzę w nim zalety, a w zasadzie jedną: nieukrywanie wad. Prostolinijność. To dla mnie bardzo cenne, wiesz? Bo faceci... potrafią być cholernie interesowni, manipulacyjni, okrutni... I ja to wiem. Zbyt dobrze, żeby po raz któryś z rzędu dać się nabrać.

– No tak. Gieniu, jakikolwiek by był, jest prawdziwy. I taki wyraźny, że z kilometra widać wszystko, co mógłby chcieć ukryć. Ale nie chce, nie widzi potrzeby, bo wszystko go w nim samym zachwyca.

Dziunia się roześmiała.

– Dlatego myślę, że mogłoby dojść między nami do świetnej transakcji.

– Tran... sakkji?

– Wszystko w życiu jest transakcją, nawet te najbardziej romantyczne relacje między ludźmi, bo opierają się na dawaniu i braniu. Ja nie mówię o wyrachowaniu ani chłodnych kalkulacjach zysków i strat, ale nawet największa miłość, choćbyś nie chciała, jest po prostu wymianą dóbr. A jeśli chodzi o mnie i o Gienia, rzecz byłaby jeszcze prostsza, oprócz miłości, bo wierzę, że naprawdę mogłaby się nam przydarzyć, świetnie uzupełnialibyśmy swoje braki. Z całą świadomością takiego stanu rzeczy.

* * *

– I tego się właśnie obawiałam. – Słowa pani Aliny były pełne wyrzutu, krytyki i potępienia.

– Możesz uściślić? – spytała Pola, doskonale wiedząc, co matka ma na myśli.

– Że twoja własna babka zaszczepi w tobie umiłowanie do używek i knajackiego stylu życia. Takiego, jakie sama zawsze prowadziła.

– Przesadzasz. Alkohol to jeszcze nie używki, tylko używka, a dobre wino nigdy nie jest złe, sama się ostatnio przekonałaś. Co zaś do stylu życia, to niestety, miałam za mało czasu, żeby osiągnąć babciny poziom. Ale staram się, jak widzisz.

Matka zrobiła taką minę, która powinna była uśmiercić córkę na miejscu. A przynajmniej czasowo sparaliżować.

– Popatrz, mamó – zaczęła Pola łagodniej. – Ostatnio, kiedy siedziałyśmy razem przy stole, przez chwilę miałam nadzieję, że uda nam

się jakoś dogadać. Może nie zaprzyjaźnić, ale podjąć próbę wzajemnego zrozumienia, zaufania... I wydawało mi się, że wszystko idzie w tym kierunku, ale szybko pozbawiłaś mnie złudzeń. Stoimy po obu stronach jakiegoś cholernego muru, którego budowanie zaczęłaś sama, ale potem już obie, codziennie, zajęłyśmy się dokładaniem kamienia po kamieniu. Czy tak musi być? Tak jest dobrze twoim zdaniem?

Wypity z Dziunią alkohol dodawał dziewczynie... może nie tyle odwagi, bo tej w sprzeczkach z matką nigdy jej nie brakowało, ile w ogóle chęci podjęcia rozmowy na ten temat. Nie potyczek słownych i prześcigania się w złośliwościach, ale rozmowy, która mogłaby do czegoś konstruktywnego doprowadzić.

– A twoim zdaniem jest niedobrze? – odparła matka. – Lepiej by było, gdybym znalazła sobie w tobie powiernicę i od najmłodszych lat częstowała cię swoimi porażkami i frustracjami?

– Mamo...

– Co?

– Nic. Kocham cię. I zapamiętaj, co mówię, bo być może już nigdy mi się to nie zdarzy.

Dziewczyna po raz pierwszy w życiu usłyszała z ust matki coś, co zabrzmiało tak szczerze i tak osobiście – pani Alina natomiast po raz pierwszy usłyszała od córki podobne wyznanie. Bo słowo „kocham” w tym domu nie padało nigdy, jakby było niebezpiecznym zaklęciem, mogącym zagrozić ustalonemu porządkowi świata. Ich świata...

Kobieta stała przez dłuższą chwilę jakby porażona, bez ruchu, bez słowa. A kiedy już odzyskała władzę nad swoim ciałem, odwróciła się na pięcie i poszła do siebie. Pola zrobiła to samo, ale czuła w sobie taką pustkę, że musiała z kimś pogadać. Zadzwoiła do babci, z którą od powrotu do domu była w systematycznym kontakcie.

– Śpisz? – zapytała cicho.

– Gdzie tam. Roboty masę mam, sprzątam po gościach.

– O? A cóż to za balety urządziłaś? I z kim?

– Spytaj raczej bez kogo. Wbiła się do mnie prawie cała wieś. Jak się rozniosło, że kumpluję się z samym ministrem, nagle wszyscy przeszli na moją stronę. Już nawet nie z powodu lasu, tylko po prostu taka atrakcyjna się nagle dla wszystkich stałam.

– No to zgaduję, bez kogo się obyło: bez Adasia i jego mamusi...

– I tu się mylisz. Oni przylecieli pierwsi, w charakterze moich najlepszych przyjaciół. Mówi się, że gdy przyjdzie oficjalny szlaban na wycinkę, Adaś będzie musiał oddać sporą łapówkę i że czeka go jeszcze szereg innych nieprzyjemności, bo wściekły inwestor może ujawnić jego machlojki.

– A jaki to ma związek z jego napływem uczuć w stosunku do ciebie? Nie liczy chyba na to, że pomożesz mu się wyplątać, jakby co?

– Na to właśnie liczy. Ale nie chcę teraz o nim gadać, są ważniejsze sprawy.

– Co się stało?

– Przyszedł na mój adres list do twojej matki. A raczej elaborat, sądząc z grubości koperty, odesłałam go do ciebie.

– Od mojego... ojca?

– Tak.

– Nic nie dostałam.

– Bo wysłałam dziś w południe.

– Czemu do mnie nie zadzwoniłaś?

– Wolę, jak ty dzwonicz, przynajmniej wiem, że możesz rozmawiać. A teraz mów, o co chodzi. Słyszę po twoim głosie, że coś cię żre.

– Nic konkretnego, to co zawsze: matka. Chciałabym coś zmienić w naszym układzie, ale to chyba niemożliwe. Wiesz, chyba już bym nie chciała toczyć z nią wojen każdego dnia, wysłuchiwać krytyki na swój temat i znajdować przyjemność w odpłacaniu jej pięknym za nadobne. Bo ona jest chyba... bardzo nieszczęśliwa. Dziś mi to przyszło do głowy, wcześniej myślałam, że jest po prostu jędzą, bo tak lubi.

– Jedno drugiemu nie przeczy, to są naczynia połączone. Tylko nie wiadomo, co tu jest skutkiem, a co przyczyną. Ja do tego nie byłam

w stanie dojść, ale może tobie się uda? Może jak przeczyta list od Krzysztofa, coś się w niej otworzy?

– Taką mam nadzieję, babciu, bo ja też mam... swoje naczynia połączone. Niepewność i frustrację.

– Nie sprawiłaś na mnie takiego wrażenia.

– Kwestia klimatu, no i zabrakło bodźca w postaci mamy. A tak w ogóle to pobyt u ciebie był dla mnie superterapeutyczny, wiesz? Dał mi też szerszy ogląd na sprawy i ludzi... Nigdy bym się nie spodziewała, że to powiem, ale Hiszpania się do Zaciąży nie umywa.

ROZDZIAŁ XVI

List

Aurelia skręciła nogę w kostce. Z telefonicznej relacji wynikało, że zbiegała po schodach, źle ustawiła stopę i zwała się z kilku stopni.

– Winda nie działała? – spytała rzeczowo Pola.

– Działała, ale kursowała w tę i nazad, całkowicie ignorując moje piętro, a ja nie mogłam czekać. A weź lataj po schodach w szpilkach. Ba, lataj po prostej drodze, już samo to zagraża twojemu życiu i zdrowiu.

– Latałaś w szpilkach? – zdziwiła się Pola, bo w takim obuwiu widziała przyjaciółkę jedynie raz w życiu, na studniówce.

– I w spódnicy. A to już naprawdę śmiercionośny zestaw...

– Jezu, zacznij może od początku, bo się gubię. Pytania pomocnicze: dlaczego miałas na sobie ten zestaw i po co tak w nim gnałaś z czwartego piętra?

– Eeechch... – westchnęła Aurelia. – Bo są takie sytuacje, gdy rozsądek śpi, a rozum pilnuje, żeby nikt go nie obudził. A on właśnie szedł na parking pod moim własnym blokiem i miałam jakieś dwie minuty, żeby rzucić mu się w oczy.

– Rozum szedł? Czy rozsądek?

– Mafiek.

– Co takiego?

– Ma... fiak!

Dziewczyna mówiła bardzo powoli i dziwnie artykułowała niektóre słowa.

– Wiesz co, Aurelia? Streść się może, bo nie mam czasu, właśnie Dziunia przywiozła nowy towar i nie wszystko mam rozpakowane.

– Maciek! – wrzasnęła Aurelia w słuchawkę.

– A, Maciek... Co ty tak świszczesz? Golnęłaś sobie z rozpaczy?

– Nie bądź złośliwa, bo ja tu cierpię...

– Nie jestem złośliwa, tylko wkurzona. Dostaję wieczorem od ciebie SMS-a, że miałaś wypadek i nie przyjdiesz do pracy, potem nie odbierasz telefonu, a jak w końcu udaje mi się złapać z tobą kontakt, przez dziesięć minut usiłuję się dowiedzieć, co się stało. Bezskutecznie.

– Nie mogłam rozmawiać, sorry.

– Bo?

– Bo nie... Wpadnij do mnie po pracy, okej?

– Dobrze. Pojadę stąd prosto do ciebie – obiecała Pola, bo i ona miała do Aurelii sprawę. Nie swoją, Dziuni.

Dziewczyna krzątała się przy rozpakowywaniu ciuchów, eksponowała je w odpowiedni sposób na wieszakach, odkładając co ciekawsze stylizacje do włożenia na manekiny. Śpieszyła się, bo do otwarcia butiku nie było wiele czasu, a została z tą robotą sama.

– I co z nią? – spytała Dziunia, która właśnie skończyła jakąś papierologię na zapleczu. Ona też się śpieszyła, miała jeszcze coś pilnego do załatwienia na mieście.

– Nie wiem dokładnie, pewnie będzie musiała wziąć parę dni wolnego. Ale zamierzam ją odwiedzić, to się dowiem. Dowiem się wszystkiego – dodała Pola, dając szefowej do zrozumienia, że podpyta również przyjaciółkę o jej zamiary względem Gienia.

– Super, będę ci wdzięczna. Zadzwońisz potem?

– Pewnie.

Dziewczyna zdziwiła się, że szefowej tak pilno, ale być może dla niej pośpiech był całkiem uzasadniony? Wiek Dziuni był bowiem kwestią nie do odgadnięcia, wygląd zaś w dzisiejszych czasach o niczym jeszcze nie świadczył.

Pola ostatnio tak bardzo zaangażowana była w sprawy innych, że niemal zapomniała o sobie, a ściślej o swoich własnych, damsko-męskich potrzebach uczuciowych. Ale powrót do pracy w butik w jakiś naturalny sposób pobudził jej myślenie o kliencie, którego tutaj poznała i który przyprawiał ją o szybsze bicie serca. I to wcale się nie zmieniło, po prostu jej uczucie do Szymona dostało się na chwilę pod grubą warstwę wszystkich innych spraw. Teraz jednak w zwykłym babskim odruchu podeszła do lustra, poprawiła włosy i pociągnęła usta błyszczkiem. I wówczas, jak to w powiedzeniu o ściągnięciu kogoś myślami, do sklepu wkroczył bohater jej rozmyślań razem ze swoją mamą.

– Cześć – przywitał się wesoło, a Pola jak zwykle na widok jego uśmiechu straciła na moment kontrolę nad swoim organizmem.

– Mama już teraz sama będzie robiła dla siebie zakupy – powiedział, nie doczekawszy się odpowiedzi.

Pani Basia weszła za ladę i uścisnęła Polę jak starą dobrą znajomą.

– Cześć – odpowiedziała dziewczyna Szymonowi, oddała uścisk pani Basi i wróciła do życia. – Miło mi panią widzieć w tak dobrej kondycji, naprawdę, bardzo się cieszę...

– To widać, prawda? – zapytała kobieta z uśmiechem.

– Mało powiedziane. Emanuje od pani radość i energia.

– Bo tak się właśnie czuję. – Pani Basia od razu zaczęła rozglądać się po sklepie, odkładając na ladę jedną sukienkę po drugiej.

Pola szybko przeszła do roli ekspedientki z zamiarem odniesienia ciuchów do przymierzalni.

– Zostaw, ja sama – zaprotestowała kobieta. – A wy sobie tymczasem pogadajcie. Nie masz pojęcia, jak bardzo mnie cieszy możliwość wykonywania każdej samodzielnej czynności. Poza tym... jestem tu jakby u siebie. – Zaśmiała się w głos i ruszyła do kabiny.

– Niewiarygodne – szepnęła Pola, odprowadzając ją wzrokiem.

– Prawda? – Na każdy kolejny uśmiech Szymona Pola była już przygotowana. – Ta wasza wróżka jest niesamowita, położyła na łopatki wszystkich lekarzy, którzy zajmowali się mamą do tej pory. To

rzeczywiście borelioza, z szansą na całkowite wyleczenie, w przeciwieństwie do reumatoidalnego zapalenia stawów, choć terapia będzie jeszcze długa. Ale powiem ci... – ściszył głos – sprawa nie jest aż tak różowa, na jaką wygląda, mama po wdrożeniu leczenia rzeczywiście czuje się fizycznie lepiej, ale to, co teraz wyprawia, to raczej kwestia psychiki. Bo odzyskała wiarę i nadzieję.

Dziewczyna przyłapała się na tym, że patrzy mu w oczy w sposób wyrażający o wiele więcej, niżby chciała. Szybko spuściła wzrok i zaczęła niezręcznie poprawiać leżące na ładzie apaszki. Szymon przytrzymał jej dłoń i niemal zmusił do tego, by spojrzała na niego ponownie.

– Jestem ci bardzo, bardzo wdzięczny – powiedział.

– Mnie? Za co?

– Bo to ty zapoczątkowałaś cały ten zbieg zdarzeń. I nawet jeśli przypadkiem, bez twojego udziału nic takiego by się nie wydarzyło. Winien ci jestem co najmniej kawę. Dasz się zaprosić?

– Chętnie – bąknęła Pola, bo nie spodziewała się takiego obrotu sprawy.

I nawet jeśli chodziło tylko o wdzięczność, spotkanie z Szymonem sam na sam, takie... tylko dla niej, było spełnieniem zapomnianych już nieco marzeń.

– Dziś wieczorem?

– Oj... dziś jestem zajęta do późna, to znaczy nie wiem czy do późna, ale jest taka perspektywa...

– Jutro? Pojutrze? – naciskał Szymon.

– Jutro. Jutro nic mi nie wypadnie.

– Świetnie, zadzwonię do ciebie na numer butiku, chyba że dasz mi swój prywatny?

Dziewczyna naskrobała na kartce swój numer i wręczyła mu ją szybko, jakby miała się rozmyślić.

– Wezmę te dwie. – Pani Basia wyszła w przymierzalni dokładnie w czasie, jaki był im potrzebny do umówienia się na... randkę?

– I doberz mi, proszę, do nich coś z biżuterii, ale takiego wyrazistego, ekstrawaganckiego. Szymon zawsze chwalił twój gust i profesjonalizm.

– Naprawdę?

– Nieraz o tobie wspominał. – Kobieta puściła do syna oko, wprawiając go tym w zakłopotanie.

Pola zastanawiała się, jak ma to odczytać, a kobieta całkiem swobodnie kontynuowała pakowanie Szymona w kłopotliwą sytuację.

– A skoro teraz bez obawy może zostawić mnie samą w domu na dłużej, powinien zacząć korzystać z życia, on nie ma żadnych bliższych znajomych, że już o dziewczynie nie wspomnę, dasz wiarę?

– Twoja mama jest równie **subtelną** dyplomatką? – zapytał ze śmiechem Szymon.

– Moja nie bawi się w dyplomację, nawet tę niesubtelną. Jest... bardzo bezpośrednia.

Pola z przerażeniem pomyślała, że gdyby to jej mama nagle zaczęła wymagać całodobowej opieki, rozważyłaby pewnie oddanie jej do jakiejś instytucji. Dla dobra ich obydwu. Poczuli się z tym strasznie.

– Coś się stało? – zapytał Szymon na widok jej wyrazu twarzy. – Uraziłem cię czymś?

– Nie, skłoniłeś do pewnej refleksji, ale to nieważne.

Nie było już czasu na dalsze dywagacje, bo do butiku zaczęły przychodzić klientki. Największy ruch trwał bowiem tuż po otwarciu, potem był bardzo umiarkowany i nasilał się znowu w godzinach popołudniowych. Znajome i stałe bywalczyńce, które chciały wpaść nie tylko na zakupy, ale i na ploteczki, wybierały właśnie tę porę, w której niewiele się działo.

– Zdzwonimy się, tak? – zapytał mężczyzna, odbierając pakunki z rąk matki.

– Jasne – potwierdziła Pola i z dość wymuszoną serdecznością zajęła się klientkami.

– Ja cię chyba zabiję! Zostawiłaś mnie samą z kupą roboty, ale mniejsza z tym, weź pod uwagę, że się o ciebie zamartwiałam! Myślałam, że jesteśmy przyjaciółkami, a przyjaciółce się nie łąże, choćby nie wiem co!

Pola była naprawdę wściekła. Po drodze do Aurelii kupiła jeszcze siatek owoców, soków i słodczy, bo przecież ona biedna powinna się wartościowo odżywiać, a z nogą w gipsie nigdzie się nie ruszy... Ta natomiast pomykała po mieszkaniu jak młoda sarna, bez śladu jakiegokolwiek urazu.

– Nie drzyj się, jak nie wiesz, o co chodzi. Chcesz kawę?

– Chcę.

Aurelia nastawiła wodę, podeszła do Poli tak blisko, jak się dało, i otworzyła usta.

– O w mordę... – Dziewczynę dosłownie замуrowało.

– I co? Łyso ci teraz?

– Nie, bo mogłaś mi przecież powiedzieć prawdę.

– Tak? A jakby stała koło ciebie Dziuni albo nie daj Boże Gieniu? Mieliby ze mnie polewkę do końca życia. On na pewno.

– Myślisz, że bym im powiedziała?

– Świadomie może nie, ale mogłoby ci się wyrwać.

Pola w duchu przyznała jej rację, bo sama nie była pewna swojej reakcji na wieść, że przyjaciółka wybiła sobie obie jedynki.

– A ta cała reszta to prawda? Z tym jakimś... Maćkiem?

– Najprawdziwsza. Ten chłopak to moje życiowe odkrycie. Wyobraź sobie, że widywałam go od zawsze, mieszka w bloku obok i nigdy by mi nie przyszło do głowy, że jest takim ciachem.

– Czemu? Widywałaś go z daleka? Albo jakoś... niewyraźnie?

– Wyraźnie, ale się ukrywał. Aż tu po powrocie od twojej babci ujrzałam go w pełnej krasie.

– Trochę to... dwuznaczne...

– Głupia jesteś. Normalnie, w ubraniu był, a mnie zatkało.

– Może wcześniej miałaś wzrok przyćmiony Gieniem i nie zwracałaś na nikogo innego uwagi?

– Nie! Rzecz w tym, że on zawsze się nosił jak włóczęga, długa broda, długie kudły...

– ...wzrok dziki, suknia plugawa – rzuciło się Poli na usta.

– Nie, suknia nie, portki raczej, ale i owszem. Taki miał styl. A tu raptem facet jak z „Vogue’a”: krótka fryzura, przycięty modnie zarost, idealny garnitur, a jak pachniał! W pierwszej chwili go nie poznałam, dopiero jak się odezwał.

– Nie powiedział, co mu się stało?

– Nie pytałam przecież. To znaczy jego nie, ale podobno dostał jakiś superkontrakt i kazali mu wyglądać jak człowiek. On jest nieprawdopodobnie zdolnym informatykiem, siedział z nosem przy monitorze i robił te swoje rzeczy, aż tu nagle bum: wygrał jakiś projekt, posypały się propozycje, kasa, ale i wymagania. Takie dziś czasy, że nawet wyglądać ci nie pozwolą, jak chcesz, choć co do niego akurat słusznie...

– I wcześniej nie wpadł ci w oko. A ty jemu?

– Też nie, ale się nie starałam.

– No to się postarałaś, nie ma co...

– Jutro już będę miała nowe jedyńki. Takie na sztyftach, może nawet ładniejsze niż moje własne. A pojutrze wracam do pracy.

– Czyli Gieniu cię już nie interesuje?

– Absolutnie. Nie mogę nawet pojąć, jak mogłam zmarnować dla niego tyle czasu?

– Moim zdaniem tyle, ile było trzeba. Akurat do ujawnienia się urody informatyka.

– Racja... A co ty tak z tym Gieniem?

– No wiesz, jeśli jest oficjalnie wolny, to może mógłby zacząć nowy związek?

– A co? Nie czuje się wolny? Żalił ci się?

– Nie rozmawiałam z nim. Ale może ktoś inny ma wątpliwości i ta osoba chciałaby wiedzieć, czy nic jej z twojej strony nie grozi?

– Nie mów! – Aurelia wybuchnęła głośnym śmiechem, plując dookoła przez szparę między zębami. – Dziunia? A niech go sobie bierze choćby

dziś! Zobaczysz, jaki będziemy miały ubaw. Dostanie dupkę za swoje, bo nie będzie dla niego taka łagodna jak ja. A i ona szybko przestanie się puszyć, bo ten artysta od siedmiu boleści potrafi dać popalić. Lalunia się nawet nie kapnie, że ma utrzymanka na stanie...

– Aurelia... ona wcale nie jest taka, jak nam się wydawało.

– No widzę.

– Co widzisz?

– Że się zakumplowałyście.

– Nie aż tak, ale znalazłam z nią wspólny język.

– Ja nie znalazłam. Ale nie szukałam i nie zamierzam szukać. Nie lubię jej.

– Twoje prawo, a ja nie mam zamiaru cię do niej przekonywać.

W tym momencie zadzwoniła komórka Poli. To była matka, więc dziewczyna w pierwszej chwili miała zamiar nie odbierać, ale telefon był tak długo i upierdliwie, że skapitulowała.

– No gdzie ty jesteś? – Pani Alina zaczęła od pretensji.

– U Aurelii. Nie mówiłam ci? Wybiła sobie... eee... nogę...

– Nie, nie mówiłaś. Coś do ciebie przyszło, myślałam, że pilne, bo kurierem. List. Bardzo gruby. Bez nadawcy.

– Aaa, faktycznie, całkiem zapomniałam... Otwórz go, proszę, i przeczytaj.

Pola nie powiedziała matce, że list tak naprawdę jest do niej, bo wzbudziłby jej podejrzenia, mogłaby się zaprzecić i nawet do niego nie zajrzeć. A tak była szansa, że jeśli już zacznie, doczyta go do końca. I nawet lepiej, że została z nim sam na sam...

– Mam grzebać w twojej korespondencji?

– Tak, to rzeczywiście pilne, a ja nie wiem, kiedy wrócę.

– Rozumiem, że powinnam cię natychmiast powiadomić, co zawiera, tak?

– Dokładnie.

– Aaaa... powiedz mi jeszcze raz, co sobie zrobiła Aurelia, bo nie zrozumiałam.

- Uszkodziła się, ogłędnie mówiąc. W wypadku. Muszę się nią chwilowo zająć.

Matka, tak jak spodziewała się Pola, nie oddzwoniła. Jej prośba była zresztą tylko pretekstem, mającym ją skłonić do otwarcia koperty.

Tak naprawdę dziewczyna nie miała już co robić u przyjaciółki, tym bardziej że atmosfera spotkania nie skłaniała do jego przedłużenia. Chcąc jednak dać matce więcej czasu, postanowiła powłóczyć się po galerii i być może kupić coś na jutrzejsze spotkanie z Szymonem. Coś, czego nie znalazła w butik.

Już po wyjściu z pierwszego sklepu Pola natknęła się na Gienia. Chłopak niespodziewanie bardzo ucieszył się na jej widok, choć według wszelkiego prawdopodobieństwa powinien był raczej strzelić fochem i zwiać.

- Z nieba mi spadłaś, kobieto - rzucił się na nią z niedźwiadka. - Nie mów tylko, że nie znajdziesz dla mnie pół godzinki na kawę!

Nie czekając na odpowiedź, złapał ją za rękę i pociągnął w stronę pierwszej widocznej z tego miejsca kafejki.

Pola miała więcej niż pół godziny, ale obcesowość Gienia nie pozwoliła jej na zbyt łatwą kapitulację.

- Niestety, Gieniu, bardzo się śpieszę i nie mam tyle czasu - odparła, stawiając czynny opór.

- Piętnaście minut? - targował się chłopak.

- Osiem - zgodziła się łaskawie.

- Ale czekanie w kolejce po kawę się nie liczy?

- Dobrze. Może być.

- Zakochałem się! - oznajmił jeszcze w drodze do tej kafejki.

Kilka osób obejrzało się za nimi, gdyż nie było to dyskretne wyznanie.

- O? A w kimże? - Pola udała zdziwienie.

- W Beatrycze. Jeszcze nigdy dotąd nie zostałem aż tak rażony miłością. To najcudowniejsza kobieta w świecie!

Dziewczyna ustawiła się przy ladzie kafejki, bo Gieniu chyba już zapomniał, dokąd i po co idzie. Stało przed nimi kilka osób, które

natychmiast zaczęły dyskretnie przysłuchiwać się jego gorącym opowieściom, a ponieważ on nic sobie z tego nie robił, w końcu całkiem jawnie.

– Wiesz? Nie zaprzepaszczę tego uczucia, choćby nie wiem co, choćbym miał... walczyć o nią na armaty!

– Z kim? O ile wiem, Dziu... Beata jest singielką.

– Ona tak, ale ja nie.

– Będziesz pan walczył z samym sobą? – zarechotał stojący najbliżej nich staruszek. – To całkiem optymistyczne, bo ktokolwiek by wygrał, pan będziesz górą.

– I nie ma innej możliwości – odparł Gieniu. – Ale chodzi o to, że ja też jestem wolny, tylko że wybranka mojego serca o tym nie wie.

– To było jej powiedzieć – dorzucił chłopak, który w międzyczasie przysunął się bliżej.

– Mówiłem, ale ona potrzebuje deklaracji od mojej byłej. Inaczej mnie nawet nie tknie.

– Porządna dziewczyna – stwierdził staruszek.

Facet miał chyba spore poczucie humoru, bo trącając lekko stojącą razem z nim żonę, zapytał, a raczej stwierdził:

– Ty byś tknęła, jakby ci się kto jeszcze trafił, no nie?

– Byś się zamknął, a nie wtrącał w cudze sprawy – skrytykowała go starsza pani.

– Ale mnie to nie przeszkadza – wziął go w obronę Gieniu. – Bywają takie stany, o których chciałoby się krzyknąć, a nie mówić szeptem.

W kolejce zrobił się zator, obsługująca ją dziewczyna zaczęła stanowczo zapraszać do złożenia zamówienia i tym samym dyskusja się urwała. Pola zajęła miejsce przy małym, dwuosobowym na wszelki wypadek, stoliku i Gieniu musiał zrobić to samo.

– No i już wiem, o co chodzi – powiedziała. – Mam wydusić z Aurelii, że już cię nie chce, czy tak?

– Ja bym to ujął inaczej. – Chłopakowi chyba nie w smak było takie sformułowanie. – Raczej że zwraca mi wolność.

- Już dawno ci zwróciła, nie przejmuj się. Daję ci na to moją gwarancję.

- Ty?

- A nie o to ci chodziło?

- O to, ale wolałbym, żeby ona cię do tego upoważniła.

- Upoważnia mnie jej stan. Też jest zakochana, znalazła sobie świetnego faceta, przystojnego, wykształconego, z kasą, willą, basenem i jaguarem. Autem takim.

Pola nie darowała okazji do ukłucia go w sam środek przerośniętego ego. On zaś, zamiast mimo wszystko się ucieszyć, nadał się jak rybi pęcherz. Musiał coś jednak powiedzieć dla utrzymania dobrego samopoczucia.

- No i sama widzisz, z kim ja byłem przez tyle lat? - powiedział po chwili z dramatycznym wyrazem twarzy. - Z kobietą prymitywną, dla której liczą się tylko materialne dobra... Zero duchowości, wrażliwości, głębi...

- W przeciwieństwie do Beaty - rzuciła Pola dość sarkastycznie. - Z którą będziesz dzielił wzniosłą nędzę oraz przymierał szlachetnym głodem, ale za to wzrastał duchowo i mentalnie.

- Żebyś wiedziała, że będę wzrastał. Może nie na głodnego, ale jestem pewien, że Beatrycze potrafi stworzyć godne warunki zdolnemu artyście i wartościowemu mężczyźnie. Docenić go przede wszystkim...

Pola nie miała ochoty tego słuchać. Spojrzała na zegarek w komórcie i uznała, że pora wracać do domu.

- Dobra, Gieniu, osiem minut minęło z nawiązką, ja spadam - oznajmiła, wstając od stolika. - Bądź uprzejmy to odnieść. - Wskazała na puste filiżanki i oddaliła się tak szybko, jak tylko mogła.

Po drodze kupiła pierwszą lepszą sukienkę, która wpadła jej w oczy, jadąc w dół ruchomymi schodami, zadzwoniła jeszcze do Dziuni i uroczyście oznajmiła, że jej chłopak jest bardziej wolny niż ptak na niebie.

Po powrocie do domu Pola pomyślała, że matki nie ma, nigdzie nie paliło się światło, w kuchni nie było znać śladów jakiegokolwiek działania. Trochę ją to zaniepokoiło w kontekście wiadomości, z jakimi się, chcąc nie chcąc, zmierzyła. Dziewczyna zajrzała jeszcze do pokoju pani Aliny, zaświeciła światło i zanim ujrzała leżącą w łóżku kobietę, usłyszała:

– Zgaś. I zostaw mnie samą.

Jej głos brzmiał, jakby miała katar, i to była pierwsza myśl Poli, bo przecież... jej mama nigdy nie płakała... W pierwszym odruchu zamierzała spełnić jej prośbę, ale zamiast tego podeszła i usiadła na brzegu łóżka.

– Nie, nie zostawię cię samej. Chcę z tobą porozmawiać, ale tak jak nigdy dotąd. Wydarzyły się pewne sprawy i to jest właśnie moment, w którym chcemy czy nie, decyduje się nasza przyszłość. Twoja, moja i może... czyjaś jeszcze. I od nas zależy, co z tym zrobimy, bo albo otworzymy się na inne, normalne życie, albo się rozejdziemy, bo ja już tak dłużej nie chcę... nie potrafię. Życ w tej... emocjonalno-uczuciowej lodówce. A ty jak chcesz, bo od ciebie teraz wszystko zależy.

– Czego ty ode mnie oczekujesz? – Matka przestała już ukrywać opuchnięte oczy i zaczerwienioną twarz. – Że związę się z człowiekiem, którego kompletnie nie znam? Ot tak? Bo ty byś tego chciała?

– Ja nie powiedziałam, że tego bym chciała. To tylko jedna z możliwości, która mogłaby sprawić, że coś się zmieni. Ale to będzie twoja i tylko twoja decyzja, ja wiem jedno, że jeśli nadal ma być między nami tak, jak jest, to ja mam dość.

– Wiedziałam...

– Co?

– Że jak do niej pojedziesz, poprzewraca ci w głowie.

– Ale przecież to ty chciałaś mnie tam wysłać!

– Bo nie znałam własnej córki. Myślałam, że jak na własnej skórze odczujesz, z czym i z kim musiałam się zmagać, zrozumiesz... I staniesz po mojej stronie.

- Mamo! Tu nie ma żadnych stron, jest rodzina, taka, jaka jest, ale łączą nas jakieś więzi, które są ponad wszystko! A poza tym... wiesz, co ja tam odczułam? Swobodę, radość, otwartość i luz. I jeszcze to, że mogłam rozmawiać o wszystkim, pytać, o co zechcę...

- I przed tą swobodą i luzem właśnie chciałam cię chronić. Żebyś nie musiała się wstydzić, wysłuchiwać co dnia w szkole, w sklepie, na ulicy o wyczynach swojej matki, potrzebę na ironiczne miny i złośliwe uśmiechy.

- Widocznie ja jestem po prostu inna, mnie to nie przeszkadzało, przeciwnie, imponowało mi, nawet jeśli zdarzyło się coś, z czym nie do końca się utożsamiałam. A ty nigdy nie wzięłaś tego pod uwagę, że mogę widzieć, czuć, chcieć inaczej...

- Wiesz? To śmieszne... Bo dokładnie to samo ja mogłabym powiedzieć jej.

- Teraz. A powiedziałaś kiedykolwiek wcześniej? Jak jeszcze był czas, żeby coś zmienić? Babcia by zrozumiała.

- Nie rozumiałyby i dlatego nie mówiłam.

- No widzisz... Ja też wątpię, że ty zrozumiesz, ale próbuję. Mam świadomość, że nie jest łatwo ot tak zmienić swój sposób myślenia, postępowania, stosunku do wielu spraw i ludzi, ale warto swoje oczekiwania wyrazić słowami. To przynajmniej daje jakąś szansę.

- Zostaw mnie samą - poprosiła pani Alina i tym razem córka posłuchała.

Zgasiła światło i poszła do kuchni zrobić sobie spóźnioną kolację.

ROZDZIAŁ XVII

Sezon na love story

Kolejny dzień upłynął Poli pod znakiem czekania, najpierw na telefon od Szymona, a potem na umówione z nim spotkanie. Bała się pomyśleć „randkę”, choć miała na to ogromną ochotę i jeszcze większą nadzieję...

Te emocje wyparły z niej prawie zupełnie wczorajsze, po rozmowie z matką. Chwilowo, bo nie było opcji, żeby tak ważne sprawy w końcu nie upomniały się o swoje, ale dziś jej „tu i teraz” stanowił Szymon.

W południe wpadła do sklepu Dziunia z sernikiem z najlepszej cukierni w mieście i butelką wina.

– Wiesz, od czasu powrotu z Zaciąża czuję się nieswojo, gdy mam kupić coś gotowego w sklepie – oznajmiła radośnie, kładąc owe luksusy przed Polą. – Ale niestety, na razie ani nie piekę, ani nie pędzę.

– I pewnie bez większej szkody dla ludzkości – odparła równie zadowolona Pola. – Jeśli jesteś na takim kulinarnym poziomie jak Aurelia...

– Oj, może ten jej zakalec smakowity nie był, ale dla mnie będzie miał zawsze wartość emocjonalną. A co tam u niej? Podobno ułożyła sobie życie? I jak się czuje, bo od tego powinnam chyba zacząć...

– Widzę, że Gieniu przybiegł do ciebie z nowiną?

– Niezupełnie, to znaczy nie był to główny powód jego wizyty.

– Aurelia czuje się nie najgorzej, jutro wraca do pracy.

– To prędko jak na taki wypadek.

– Diagnoza okazała się nieco inna. A nawet bardzo inna, dlatego skończyło się na chwilowej nieprzyjemności. A co do życia, to na razie

znalazła odpowiedni obiekt, układanie to dłuższy proces.

– Fakt. Otwieramy? – Dziunia uniosła butelkę na poziom oczu Poli.

– Ej, jestem w pracy! A ty przyjechałaś samochodem – napomniała szefową podwładna.

– Nie przyjechałam samochodem, a na dziś wpisuję ci w zakres obowiązków obalenie połowy butelki wina. Zaraz wywieszam kartkę, że chwilowo nieczynne.

– Sorry, Beata, ale chyba nie dziś. Jestem umówiona na wieczór i na to spotkanie muszę być bystra, inteligentna, interesująca i trzeźwa, a jedno z drugim się u mnie wyklucza.

– Kurczę... To mam pecha, ale nie namawiam. Przełożymy to po prostu. Ale wielka szkoda, bo nie mam z kim świętować.

– Zdradzisz chociaż powód?

– Gieniu mi się oświadczył. I ja go przyjąłem. Co prawda bez pierścionka, bo jak stwierdził, zaskoczył tym samego siebie, ale na pewno nadrobi to małe faux pas.

– Liczyłam się z tym, że nie nadrobi. Gieniu już taki jest, eee... niekonwencjonalny.

– Nic nie szkodzi – odparła Dziunia z beztroską. – W końcu nie o pierścionek tu chodzi.

– Szybki jest, skurczybyk. Aurelia nie była w stanie przez cztery lata wymóc tego na nim.

– Może czuł, że do siebie nie pasują?

– A teraz poczuł?

– Pola, nie psuj wszystkiego. Gieniu jest artystą, takim z głębi całego siebie, i nie można go podporządkować zwyczajnemu sposobowi myślenia i odczuwania. Jedno wiem: kocha mnie i to wystarczy.

– Wiem, że cię kocha. I nie tylko ja, bo darł się na ten temat na pół galerii. Bo mówił ci, że tam na siebie wpadliśmy?

– Mówił. Serio? Darł się?

– Jak opętany. Tak czy inaczej, cieszę się twoim szczęściem i życzę ci, by było dozwonne.

- Będzie, zobaczysz. Bo oprócz miłości do szczęścia w związku potrzebne jest odpowiednie podejście, realne, bez wygórowanych oczekiwań, i daleko idący kompromis. Nawet jeśli niezupełnie po równo, bo ja mam tego świadomość.

- Super. Naprawdę się cieszę i myślę, że z twoim podejściem do rzeczy może wam się udać.

- Zostaniesz moją świadkową? Razem z Szymonem?

- No pewnie, tylko nie mów mi, że dziś wieczorem, bo oboje jesteśmy zajęci. - Pola się zaśmiała.

- O kurczę... A więc to z nim się masz spotkać?

- Tak.

- Wreszcie...

- Co wreszcie?

- Się zdecydował. Zawsze mu się podobałaś, ja myślę, że przychodził tu nie tylko po ciuchy dla cioci.

- Co ty opowiadasz? Coś bym wyczuła przecież.

- Nie po nim. Taki typ. Nigdy się z niczym nie wyrwie, dopóki nie uzna, że to mu nie grozi totalną porażką.

- I uznał, że mu nie grozi?

- Pewnie tak. Poznał cię trochę bliżej, co nie?

- No, jeśli to jest według niego bliżej, lata świetlne upłyną, zanim coś między nami zaistnieje.

- E nie. On tylko tak na początku, później już umie brać sprawy w swoje ręce.

- Mówisz o kobietach?

- A skąd. Tak ogólnie, bo od czasu, jak ciocia zachorowała, stronił od bab jak od zarazy. Może się bał, że któraś skradnie mu większość tego czasu, który chciał poświęcać mamie?

- To miał chyba trochę roboty. Z babami znaczy.

- Owszem, dobrze ustawiony singiel po trzydziestce to łakomy kąsek.

- Tylko tyle w nim widzisz? - zgorszyła się Pola.

- A co mam w nim widzieć? To prawie mój brat.

– Jego osobiste zalety.

– To mu ich nie umniejsza. Przeciwnie nawet. Ale skoro tak się rzeczy mają, zostawiam ci sernik, zabieram wino i idę do domu. Zdzwonimy się, jak będziesz miała ochotę oblać moje zaręczyny.

– No pewnie, nie ma innej opcji. Zaręczyny z Gieniem, powinnaś dodać, bo to jeszcze dodaje sprawie specjalnego smaczku.

– Czy to było troszkę złośliwe?

– Skądże. Po prostu, Gieniu to Gieniu, a nie jakiś tam... narzeczony z wolnego wybiegu.

– Takie wytłumaczenie jestem w stanie przyjąć. – Dziunia puściła do Poli oko, dając jej tym samym do zrozumienia, że ma dystans do jej opinii, jakakolwiek by była.

– Nie wypij sama – rzuciła jeszcze Pola w stronę wychodzącej ze sklepu szefowej.

– Pewnie, że nie. Nie oblewa się przecież zaręczyn w pojedynkę.

* * *

– Wychodzę dziś wieczorem, mam – oznajmiła Pola zaraz po powrocie z pracy.

Pani Alina spojrzała na córkę z rozczarowaniem. Nie ze złością, ale z dość wyraźnym zawodem.

– Coś się stało? – spytała zdziwiona tą niecodzienną reakcją, a raczej brakiem reakcji matki, która normalnie miała jej wszystko za złe.

– Nie... Ale myślałam, że może...

– Co?

– Nic. Idź, jak musisz.

– Nie muszę, ale tym razem to dla mnie bardzo ważne, wiesz? Idę na randkę, być może z mężczyzną mojego życia.

– Masz kogoś?

– Jeszcze nie, ale myślę, że dzisiejsze spotkanie o tym zdecyduje. Bo ja nie zamierzam powielać naszego rodzinnego schematu i niańczyć niechcianego dziecka.

Pola nie darowała sobie tej uwagi, ale szybko pożałowała tych słów, widząc wzbierające w oczach matki łzy.

– Dobrze już, idź i rób, co chcesz – powiedziała kobieta, odwracając się, by ukryć tę „słabość”, na którą do tej pory sobie nie pozwalała.

Dziewczyna zjadła prędko zupę, drugie danie sobie darowała w obawie o płaski brzuch w dopasowanej do ciała nowo nabytej sukience i zaczęła szykować się do wyjścia. Szymon prędko zdominował jej myśli i odwrócił uwagę od niezręcznej wymiany zdań z matką.

Suknia była aksamitna, ciemnozielona, z dość śmiałym dekoltem z przodu i jeszcze śmielszym z tyłu. Pola zazwyczaj nosiła się na sportowo, dziś jednak chciała podkreślić wyjątkowość tego wieczoru, dać mężczyźnie do zrozumienia, że wygląda tak tylko i wyłącznie dla niego. Upięła nawet włosy i założyła bogatsze niż zazwyczaj kolczyki. Kiedy stanęła przed lustrem w przedpokoju, by rzucić okiem na całość, za jej plecami cicho pojawiła się matka. Zlustrowała córkę od stóp do głów. Pola była przekonana, że rzuci jakimś ironicznym komentarzem, ale nic takiego się nie stało.

– Zaczekaj chwilę – powiedziała tylko, poszła do swojego pokoju i zaraz wróciła.

Pani Alina wyjęła z małego blaszanego puzderka misterny złoty naszyjnik z czerwonymi kamieniami i także kolczyki.

– Załóż – powiedziała. – Aż się prosi do tej twojej kreacji.

– Co to takiego? – Pola nigdy dotąd u swojej matki nie widziała takiej biżuterii.

– To od niej. Dostałam na osiemnaste urodziny, podobno dostała to od swojej matki. Jest stare i cenne, te kamyki to prawdziwe rubiny.

– Mamo...

– Weź i zatrzymaj. Może dla ciebie będzie miało większe znaczenie niż dla mnie.

Wyrób rzeczywiście wyglądał na stary i cenny. Pola postanowiła przy najbliższej okazji podpytać o niego babcię, teraz jednak nie miała czasu się nad tym zastanawiać, bo Szymon mógł już czekać na nią pod blokiem.

I rzeczywiście czekał, na widok dziewczyny wysiadł z auta i jak prawdziwy dżentelmen otworzył przed nią drzwi od strony pasażera.

– Przepraszam, nie przywitałem się nawet – powiedział, wsiadając. – Ale słów mi na chwilę zabrakło. Wyglądasz... bardzo pięknie. Nigdy dotąd cię takiej nie widziałem.

– Pięknej? – Pola zaśmiała się, maskując zmieszanie.

– O Boże, ale ja gafy na początek strzelam! Miałem na myśli, że w takim wydaniu. I wiesz co? W takim razie zmienimy plan. Pojedziemy w inne miejsce...

Według wcześniejszego pomysłu Szymona mieli spędzić dzisiejszy wieczór w kawiarence Cyganeria w samym centrum miasta, małej, przytulnej, o mocno artystycznym klimacie. Zamiast tego przejechali dobrych kilkanaście kilometrów, by w końcu znaleźć się w podmiejskim zajęździe o nazwie Stary Dworek, urządzonej faktycznie w iście dworskim klimacie.

Nie było łatwo o stolik, ale Szymon jakoś to załatwił. Pola czuła się coraz dziwniej, bo nie przestawał się jej przyglądać, nawet gdy kelner przyniósł już zamówioną kolację i przyszła pora, by złapać za widelce, on wciąż siedział w jakimś dziwnym natchnieniu.

– Coś nie tak? – zapytała w końcu. – Jesteś czymś zmartwiony? Pani Basia poczuła się gorzej?

– Nie, wszystko w porządku, nawet o wiele bardziej i chyba to mnie trochę wytrąciło z rytmu...

– To znaczy?

– To niewiarygodne, wiesz? Jesteś dziś moim... déjà vu...

– Mógłbyś przestać być taki tajemniczy? Od czasu, gdy wsiedliśmy do auta, nie odezwałeś się do mnie ani słowem, patrzysz tylko, jakbyś mnie pierwszy raz na oczy widział. Ja rozumiem, można się zdziwić, gdy się do tej pory widywało kogoś wyłącznie w džinsach i trampkach i nagle wyskoczy w wieczorowej kiecce i szpilkach, ale bez przesady...

Dziewczyna wyrzuciła z siebie to, co zaczynało ją powoli irytować, nie zważając na fakt, że siedzi naprzeciw wymarzonego mężczyzny.

– Wiesz... widziałem cię już kiedyś taką.

– Mnie?

– To znaczy... niezupełnie. Ale mam w pamięci obraz, portret kobiety, która wyglądała na nim zupełnie jak ty teraz. Jak byłem mały, jeździłem przez kilka lat z rzędu na kolonie, na Mazury. Był tam taki kompleks dworski przerobiony na ośrodek wypoczynkowy, nazywał się Uroczysko. Pięknie położony, dookoła lasy, tuż obok jezioro. W głównym budynku, tak zwanym Białym Dworku, była jadalnia, świetlica, pokoje rekreacyjne typu bilard, tenis stołowy, biblioteka, sala telewizyjna. A w holu wisiało kilka portretów, między innymi piękna młoda kobieta o wielkich orzechowych oczach. Miała włosy upięte jak ty teraz, zieloną suknię, a nawet podobny naszyjnik i kolczyki. Ten obraz pozostał mi w oczach i już jako dorosły facet nosiłem się z zamiarem odwiedzenia tego miejsca i rzucenia na niego okiem raz jeszcze. Ale jakoś nie było czasu ani okazji...

Pola się roześmiała.

– Wyolbrzymione sentymenty dzieciństwa. Ja z kolei jak byłem mała, raz jeden w życiu byłem na wycieczce z klasą, w górach. Odwiedziliśmy kilka miejscowości, więc nie wiem, gdzie to było konkretnie, ale zapamiętałam wówczas ogromną grotę skalną, był w niej krzyż, kamienne głązy ułożone w krąg i ślady paleniska pośrodku. Przewodnik opowiadał, że była to kryjówka zbójników. I też mi to miejsce utkwiło w głowie, ale ja byłem bardziej konsekwentna. Trzy lata temu wygooglałam je sobie i odwiedziłam ponownie. Wiesz, co zobaczyłam?

– No?

– Wnękę w skale, o powierzchni nie większej niż kilka metrów. Reszta się zgadzała, oczywiście w odpowiedniej skali.

– Może więc nie warto konfrontować wspomnień z rzeczywistością. – Szymon westchnął. – Nie pomyślałem o tym, ale wołałbym się dziś nie przekonać, że owa kobieta z portretu była tylko kiczowatym wyobrażeniem pięknej szlachcianki malarza amatora z pobliskiej wsi. Ale masz te same oczy. I nieważne, czy na portrecie są takie same, czy tylko mi się wydaje. Napijesz się wina?

– Chętnie, ale ty raczej nie możesz, bo prowadzisz...

– Nie szkodzi. Myślę, że jeszcze nie raz będzie okazja wypić lampkę razem z tobą. Prawda?

Poli zrobiło się ciepło na sercu, bo i ona miała taką nadzieję. Szymon w konfiguracji „sam na sam” stawał się dla niej jeszcze bardziej interesujący. Nie sądziła, że taki z niego romantyk, ale spodobało jej się to.

– I ja tak myślę...

– Białe czy czerwone?

– Czerwone, wytrawne.

Wino było cierpkie, dokładnie takie, jakiego dziewczyna nie lubiła, ale dziś miała ochotę poczuć w ustach właśnie ten smak. Może dla orzeźwienia, żeby nie stracić poczucia rzeczywistości, która jeszcze wczoraj była tak nierealna...

– Jedna okazja czeka nas na pewno. – Roześmiała się, odstawiając kieliszek. – Ślub, a może nawet wesele...

– Mówisz serio? Bo chyba masz na myśli Beatę, tak?

– O kurczę, chyba zrobiłam jakiś falstart – strapiła się dziewczyna. – Ona powinna ci była powiedzieć.

– I z pewnością powie, nie przejmuj się, najpierw chciała się pewnie podzielić nowiną z kobietą, bo nikt was nie rozumie tak jak wy same. Jutro już będę wiedział oficjalnie.

– Chcesz powiedzieć, że ty nie rozumiesz jej decyzji?

– Właśnie. Ale rozumiem, czym ona się kieruje, i nie zamierzam tego krytykować. Chcę, żeby Beata była szczęśliwa, takim szczęściem, jakie ona widzi dla siebie, nie ja. Beata jest kimś bardzo ważnym dla mnie, najważniejszym tuż po mamie. To ona mnie wychowała.

– Wychowała? – Pola się zaśmiała. – Wiem, że u was mieszkała i zajmowała się tobą jak starsza siostra, gdy twoi rodzice pracowali, ale...

– Tak. Wychowała – powtórzył Szymon. – Od czwartego miesiąca życia, gdy mama wróciła po urlopie macierzyńskim do pracy. Beata była moją niańką, towarzyszką zabaw, powiernicą, gdy zaczynałem dorastać.

– Jak to...

– Rodzice sprowadzili ją do nas, gdy miała siedemnaście lat. To była transakcja wiązana, mama nie mogła sobie wówczas pozwolić na dłuższy urlop od pracy, więc zaproponowali Beacie układ, ona miała z tego przyzwoity dach nad głową, utrzymanie i zapewnioną edukację.

– No tak, to była dla niej jakaś szansa na start – przyznała Pola. – Bo z tego, co wiem, pochodzi z jakiejś nieciekawej wiochy...

– Wiocha to akurat najmniejszy problem. Zdecydowanie większym był jej rodzinny dom. Alkohol, bieda, przemoc. Jej matka, siostra mojego taty, tak sobie urządziła życie. Sobie i dzieciom, bo Beata ma czworo rodzeństwa, ale tylko ją jedną udało się stamtąd wyrwać.

– Niesamowite – szepnęła Pola.

– Myślałem, że znasz tę historię...

– Owszem, ale nie aż tak dokładnie. I to naprawdę niesamowite, jak wiele rzeczy, które nigdy by nam nie przyszły do głowy, mogą skrywać ludzkie losy.

– Właśnie. Rzadko się nad tym zastanawiamy, ale trudno analizować każdą osobę przez pryzmat bagażu jej doświadczeń.

– Ale możemy starać się być ostrożniejsi w ocenach, rozważniejsi w krytykowaniu i wyciąganiu wniosków.

– Prawda. A jakie opinie nasunęły ci się na mój temat? – zapytał Szymon na półserio, chcąc chyba wprowadzić do ich rozmów lżejszy klimat.

– Tajemniczy. A pod tym może kryć się wszystko, od ideału po ostatniego drania – odparła Pola zadziornie. – Teraz ja proszę o odpowiedź na to samo pytanie.

– Interesująca. Co również może zawierać w sobie całkowite skrajności.

– Jednym słowem, ostrożność w ocenach i rozważa w wyciąganiu wniosków. – Pola się roześmiała.

– No to mamy pierwszy konsensus – zawtórował jej śmiechem Szymon.

– A jak to widzisz dalej?

– Mam nadzieję, że tak samo jak ty...

Mówiąc to, położył dłoń na jej dłoni i spojrzał w taki sposób, że dziewczyna nie miała już wątpliwości, czy to jest randka, czy tylko koleżeńskie spotkanie.

* * *

Pola starała się wejść do mieszkania jak najciszej, dochodziła już północ i matka powinna była o tej porze spać. Ale nie spała, siedziała w kuchni nad laptopem. Na widok córki zamknęła szybko coś, co oglądała, ale dziewczyna kątem oka zdążyła wyłapać hasło w wyszukiwarce: „Krzysztof Budas minister klimatu i środowiska”.

– Chyba nie czekałaś na mnie?

– Nie. Miałam coś do zrobienia w komputerze i tak mi zeszło – odparła matka nieświadoma, że Pola zdążyła się zorientować, czym była do tak późna zajęta. – Jak spotkanie z mężczyzną życia?

Kobieta nie darowała sobie lekkiej uszczypliwości.

– Rokująco. Chcesz o czymś porozmawiać? Takie miałam wrażenie, jak wychodziłam...

– O czym?

– Nie wiem, o tobie, o mnie, o... sprawach, które dotyczą nas obu?

– Jedyne, czego chcę, to położyć się spać i zasnąć. Miałam... trudny dzień.

– Oczywiście, rozumiem. Też uważam, że powinnaś odpocząć.

– Aaaa... mam pytanie. – Pani Alina wyjęła spod laptopa mały skrawek kartki. – Kto to jest Beata Kłósarek?

Pola rzuciła okiem na kartkę. Była na niej przybita pieczętka butiku z adresem Dziuni.

– Nie grzebałam w twoich rzeczach, leżała na mikrofali...

– To? Dziunia, moja szefowa. Można już wyrzucić, pamiętam, gdzie mieszka.

– Znałam kiedyś Beatę Kłósarek.

– Tak? Skąd?

– Pracowałyśmy razem przez chwilę w fabryce firanek. To była moja pierwsza praca tutaj.

– To chyba niemożliwe. – Pola się zaśmiała. – Musiałaby wobec tego być po pięćdziesiąt... ce... O kurde!

Dziewczyna dodała szybko w myślach wiek Szymona do dzielącej go z Dziunią różnicy i stanęła jak wryta.

– Ta twoja Dziunia to jakaś młoda osoba, tak?

– No właśnie że nie, chyba...

– To znaczy?

– To znaczy, że według sporego prawdopodobieństwa może mieć pięćdziesiąt dwa lata.

– Dziś też przeholowałaś z winem? – Matka patrzyła na nią zdezorientowana.

– Nie, przeciwnie. Tylko nigdy w życiu bym nie pomyślała, że Dziunia może być w takim wieku. Teraz to sobie uświadomiłam i teoretycznie mogłaby być osobą, o której mówisz, ale gdyby tak było, skojarzyłyby coś po moim nazwisku. Sowiłow to nie Kowalska w końcu.

– O ile zapamiętała moje. Bo nasze spotkanie w fabryce to był epizod, raptem trzy tygodnie, potem się zwolniła i tyle ją widziałam.

– Ale ty ją zapamiętałaś.

– Czasem tak bywa, możesz kogoś znać kilka lat i całkiem wymazać go z pamięci, a kogoś innego będziesz pamiętać do końca życia, choć spotkałaś go na bardzo krótko.

– Mam ją o ciebie zapytać? Jesteśmy umówione na jutro z okazji jej zaręczyn.

– Zaręczyn?

– Właśnie. Bo Dziunia postanowiła ułożyć sobie życie, bez względu na swój wiek. – Pola rzuciła aluzją w stronę matki.

– Jak uważasz. Jak zechcesz, to zapytaj...

ROZDZIAŁ XVIII

Świat bywa czasem bardzo, bardzo maleńki

Witaj ponownie na pokładzie – zagaiła Pola radośnie na widok Aurelii, która przyszła dziś do pracy pierwsza.

– Cześć. Nie wiem tylko, z czego się tak cieszysz, bo ja powodu nie widzę.

– Że jesteś? Że wszystko u ciebie okej?

– Skąd wiesz, że okej?

– Bo na przykład posiadasz już komplet uzębienia w paszczy. To nie jest powód?

– Nie. Raczej norma.

– Coś się stało? – Pola przyjrzała się przyjaciółce uważniej.

– Nic! No właśnie nic się nie stało. Myślę, że powinnam kupić sobie psa.

– Tak bardzo ci doskwiera samotność?

– Nic mi nie doskwiera! Ale Maciek ma psa i wychodzi z nim wieczorami na spacer. To mogłoby mi pomóc się do niego zbliżyć, a przecież nie będę latała za nim z pustymi rękami, co nie?

– Jakoś nie wyobrażam sobie takiego duetu.

– Mnie z Maćkiem?

– Nie, ciebie z psem. Znajdź sobie lepiej jakiś inny pretekst. Poproś na przykład o skonfigurowanie laptopa.

– To jest jednorazowa akcja. Bo jeśli o niego chodzi, to nie wystarczy.

– Skąd wiesz?

- Intuicja.

- Aha. I dlatego masz taki podły nastrój?

- A jaki mam mieć? W każdej wolnej chwili czatuję na niego odstrzelona przy oknie, a potem lecę pod byle pretekstem, żeby mu się rzucić w oczy, i nic. Oczywiście o ile niczym można nazwać wybite zęby i guza na czole.

- Może jest po prostu gejem?

- Wypluj to słowo. Nie ma takiej opcji, za bardzo się nim podjarałam.

- No to opowiedz mi, jak wyglądają te wasze spotkania pod blokiem.

- Nijak. Lecę na przykład ze śmieciami albo niby do sklepu, on mówi mi cześć i na tym się kończy.

- Nie próbowałaś go jakoś zagadać?

- Na pytanie, „co u ciebie”, odpowiada: „dziękuję, dobrze”. Może nie wyglądam wystarczająco.

- Wyglądasz bardzo wystarczająco. - Pola spojrzała na wystrojoną od stóp do głów dziewczynę, bardzo elegancko, ale i po kobiecemu. - Seksapil wali od ciebie na kilometr.

- Na niego nie działałam.

- I cóż ja ci mam powiedzieć... może znajdzie jakichś wspólnych znajomych i wkręć się w jego środowisko?

- Informatyczne?

- Nie ma innego?

- Nie wiem. Bo ja o nim nic nie wiem tak naprawdę, więc sama widzisz, że mam prawo być sfrustrowana.

Pola już nie ciągnęła tematu, bo rzeczywiście nie była w stanie nic przyjaciółce poradzić. Poza tym miała głowę napakowaną własnymi sprawami, a w planie na dziś jeszcze oblewanie zaręczyn z Dziunią. Nie wyrwała się jednak z tą informacją, bo nie była pewna, czy szefowa by sobie tego życzyła, a poza tym mogłoby to podziałać na Aurelię jeszcze gorzej. Nie pochwaliła się też randką, z dokładnie tego samego powodu. Ale kiedy skończył się w sklepie poranny ruch, zjawiała się Beata i sama powiedziała o zaręczynach, bo Gieniu kupił jej pierścionek. Wielki, złoty,

pretensjonalny, z koralem i... w lombardzie. Uznał, że powinien to być pierścionek z duszą, nietuzinkowy, piękny natomiast być już nie musi. Dziunia była zachwycona tą motywacją, bo precjozem już niekoniecznie.

– Ma parcie chłoptaś – burknęła Aurelia. – Ciekawe na co...

Pola zdrętwiała. Bo mimo niechęci przyjaciółki do szefowej nie spodziewała się po niej takiej odzywki, ale tu Dziunia rozłożyła ją na łopatki.

– Na kasę, moja droga. Luksusowe mieszkanie, wypasioną furę, zagraniczne wczasy dwa razy do roku i może jeszcze własną pracownię. To czysty i klarowny układ z obopólnymi korzyściami, ale jest jeszcze niewielki bonusik: my się kochamy.

– Gieniu nie umie kochać bezinteresownie. – Aurelia jeszcze próbowała popsuć jej nastrój.

– Mnie może kochać interesownie. – Dziunia się zaśmiała. – Jestem świetną partią na taki deal. To co, Pola, wieczorem u mnie?

– Jasne. Jesteśmy przecież umówione. Opowiem ci przy okazji o randce.

Dziewczyna przestała już zważać na uczucia Aurelii, przeciwnie, celowo i świadomie zachowała się równie obsesowo jak ona.

– Jakiej randce? – spytała dziewczyna po wyjściu szefowej. – Czemu ja nic o tym nie wiem?

– Chciałam ci powiedzieć, ale trudno ci przerwać wywody na swój własny temat. Poza tym ostatnio strach się do ciebie odezwać, bo warczysz i toczysz pianę.

– Niczego nie toczę! Jestem... załamana.

– Aurelia... – Pola w odruchu przytuliła mocno przyjaciółkę. – Bardzo mi przykro z tym Maćkiem, ale to może wymagać trochę czasu, a ty byś chciała złapać go przy śmietniku, przydusić do ziemi i wywlec z niego miłosne wyznanie. To tak nie działa, spójrz, jak ja długo wdychałam do Szymona, będzie ze dwa lata...

– To z nim byłaś na randce?

– Tak.

– Ale ja nie chcę czekać dwa lata.

– Nikt nie powiedział, że będziesz. Ale tygodniowe polowanie to trochę za krótko. Zwłaszcza jeśli on jest taki zamknięty.

– Myślisz, że się otworzy? Na mnie?

– No jasne. Spójrz tylko w lustro, nie ma opcji, żeby taka laska nie skruszyła w końcu jego serca. Nawet jeśli jest zbudowane z samych tylko procesorów...

* * *

Dziunia do północy pokazywała Poli strony internetowe z sukniami ślubnymi i innymi gadżetami służącymi do tego celu. Była tak podekscytowana, że nie było tu już miejsca na żadne inne dywagacje ani ploteczki. Termin zresztą był dość nagły, bo para ustaliła dzień ślubu na ostatni weekend września, czyli już za trzy tygodnie.

Kobieta mocno się nagimnastykowała, żeby wszystko pospinać, bo z tą datą musiała się jeszcze zgrać sala na niewielkie przyjęcie i... podróż poślubna tuż po nim. Egzotyczna, rzecz jasna, a że w ofercie na ten czas był tylko Cypr lub Kenia, za namową Gienia wybrała Cypr, choć sama wolałaby tę drugą opcję.

– Potem już nie będę mu aż tak ulegać – powiedziała, widząc minę Poli. – Ale to ma być wyjątkowe dziesięć dni, więc gdziekolwiek, ale będzie.

– Pewnie, że będzie – potwierdziła dziewczyna. – Z twoim podejściem do sprawy na pewno.

Beata się roześmiała.

– A potem ty i Szymon...

– Co ty mówisz? On mi się nie oświadczył na pierwszej randce i pewnie nie będzie taki, hmm... spontaniczny jak Gieniu.

– On może nie, ale ciocia go ciśnie.

– Ej, chcesz powiedzieć, że umawia się ze mną, bo mama mu kazała?

– Ależ skąd. Robi to z własnej i bardzo nieprzymuszonej woli, ciocia może jedynie, że tak powiem... przyspieszyć pewne procedury. Bo chyba

nie chciałybyś się z nim tak bujać parę lat, potem na kolejne zamieszkać razem, żeby zobaczyć, czy do siebie pasujecie, a potem jeszcze wynająć salę w jakimś pałacu, na którą czeka się następne kilka?

– Nie! Pewnie, że nie, ale bez przesady z tym pośpiechem. Na razie jeszcze niczego szczególnego między nami nie ma.

– Chemia jest. A to nieuchronny początek, eee... dalszego ciągu.

– Ładnie powiedziane. Oględnie.

– Żeby nie zapeszyć. Ja tam co prawda przesądna nie jestem, ale na widok czarnego kota zawsze splunę przez lewe ramię. O! Taką chcę!

Dziunia postukała palcem w ekran laptopa. Suknia była tak bogata, że aż bolało...

– Tak właśnie myślałam.

– Że jest piękna, prawda?

– Że się tobie spodoba.

Beata się roześmiała.

– Masz rację. Nie jest piękna, ale to mój styl. Drogo, ostentacyjnie i niekoniecznie z gustem. Te dwa pierwsze aspekty mają przewagę nad ostatnim, jeśli nie da się wszystkich razem pogodzić.

Pola spojrzała na szefową zdumiona.

– Naprawdę? Takie masz kryteria w ubiorze?

– Nie tylko w ubiorze, we wszystkim. Jeśli chodzi o rzeczy materialne, bo tak w głębi ducha nie mam parcia na ceny ani na prostacki szpan. Tak po prostu mam, wiesz? Najważniejsze, że działa.

– Na co?

– Na ludzi.

– Ale... w jakim sensie?

– Kiedy przyjechałam do tego miasta, byłam prostą, zahukaną, zakompleksioną wiejską dziewczyną i tak odstającą od wszystkich, że z jakąś niepojętą satysfakcją wciąż dawano mi to do zrozumienia. W szkole, w pracy, w autobusie, na ulicy, wszędzie. Zastanawiałam się nawet, czy nie wrócić do domu, gdzie było, jak było, ale przynajmniej tam nie różniłam się od nikogo. Ale w którymś momencie powiedziałam sobie

dość, bo niby dlaczego? Nie będę ci tu streszczała całej mojej ewolucji, powiem tylko, że w którymś momencie wzięłam sprawy w swoje ręce. Jak Szymon skończył cztery latka i poszedł do przedszkola, podjęłam pracę i zapisałam się do liceum zaocznego. To była praca w fabryce, na pół etatu, zmiany były elastyczne, więc mogłam godzić ze sobą wszystko, łącznie z opieką nad dzieciakiem między odebraniem go z przedszkola i powrotem cioci do domu. Epizod, który zdarzył się w fabryce, był ostatnim, gdy pozwoliłam sobie na niesprawiedliwe potraktowanie i spuszczenie głowy w momencie, gdy powinnam była walić z pięści.

– Co to była za fabryka?

– Z firanami. Odeszłam stamtąd, ale to był dobry czas na rozkręcanie własnych biznesów. Pożyczyłam od wujka trochę kasy i zaczęłam kupować te firany wprost z fabryki i sprzedawać do sklepów.

– I tak zarobiłaś swój pierwszy milion. – Pola się zaśmiała.

– Ba! Setki milionów, bo to było przed denominacją złotego. Pięłam się w górę szybko i łatwo, wtedy właśnie zauważyłam, jakie kasa robi na ludziach wrażenie. Więc budowałam swoje poczucie... nie, nie wartości, ważności, obwieszając się złotem, nosząc drogie futra i markowe ciuchy. Wiesz, to robi samo za siebie i nie ma opcji, by ktoś potraktował cię z góry. Przeciwnie, ludziom same się nogi w kolanach uginają, a ja mam satysfakcję. Nie ze względu na siebie, ale na nich, jeśli rozumiesz, co mam na myśli.

– Rozumiem. Bardzo rozumiem. Beata... a mówi ci może coś nazwisko Alina Sowiłow?

– No ty tak się nazywasz. To znaczy Pola, ale Sowiłow. Czemu pytasz?

– Moja mama pracowała w tej fabryce.

– Alina? Pani Alina? – wykrzyknęła Dziunia.

– Tak.

– Była tam taka, troszkę ode mnie starsza, ale dobrze ją pamiętam. Ona jedna nie urządziła sobie ze mnie kpin, broniła, a kiedy zarzucono mi coś, czego nie zrobiłam, zaryzykowała swoje stanowisko, żeby prawda ujrzała światło dzienne. To mogła być twoja matka?

– Jest takie prawdopodobieństwo. Duże prawdopodobieństwo.

* * *

Pola nie wróciła na noc do domu. Powiadomiła tylko matkę zdawkowym SMS-em, że zostanie u szefowej, zresztą matka pewnie i tak, jak przez ostatnie dni, zaraz po przyjściu z pracy zaszyła się w swoim pokoju i obecność córki w domu nie miała dla niej znaczenia. Tak myślała Pola.

To nie było planowane, ale gdy temat ze ślubu Dziuni przeszedł na peany na cześć wspaniałomyślnej Aliny, coś się w dziewczynie otworzyło i wylała całe swoje rozgoryczenie postawą matki wobec niej samej, od najwcześniejszego dzieciństwa. Wypiły przy tym całe drugie wino i pół trzeciego. Beata słuchała z wielką uwagą, ale nie komentowała niczego. Widać było jednak po jej twarzy, że historia Poli zrobiła na niej duże wrażenie.

Dzień w pracy był dla dziewczyny długi i nużący, modliła się tylko w duchu, by nie przyszedł Szymon i nie zobaczył jej takiej: bladej, pobieżnie uczesanej, z podkrążonymi oczami. Za to Aurelia była cała w skowronkach, wyglądała kwitnąco i rześko. Nie była już zrobiona w stylu glamour, miała na sobie swoje zwykłe ubranie: dżinsy, koszulkę i tenisówki.

– Coś lepszy humorek chyba mamy? – zagaiła Pola.

– A my gorszy? – odpowiedziała pytaniem.

– Zwykle zmęczenie materiału. Wieczór panieński nam się przeciągnął do rana.

– O? Był wieczór panieński? Wielka pompa, czipendejls i zespół disco polo?

– Nie. Tylko my same i litry alkoholu, disco polo leciało z płyt – burknęła dziewczyna.

Coś się wyraźnie między przyjaciółkami psuło. Polę coraz bardziej irytowało bezrefleksyjne podejście Aurelii do szefowej, mimo że miała wszelkie powody, by zweryfikować swoją opinię. Ta zaś miała wyraźnie za złe przyjaciółce, że tak bardzo się ze sobą zbliżyły, i nie przyjmowała do

siebie żadnych prób wyjaśnienia. Dziunia po prostu zawsze była po drugiej stronie barykady i tak jej zdaniem miało pozostać.

– Sądząc z twojego nastroju, coś obiecującego wydarzyło się na linii Maciek i ty? – zapytała Pola, raczej z grzeczności.

– Już myślałam, że moje sprawy zupełnie cię przestały obchodzić. – Aurelia zaczęła od wyrzutu, ale szybko przeszła w stan ekscytacji. – Wyobraź sobie, wczoraj postanowiłam dać sobie z Maćkiem spokój, przynajmniej na jakiś czas. Przestałam widzieć sens w próbach zwrócenia na siebie uwagi, wpadłam w jakiś dół. I naprawdę nie zamierzałam mu się rzucić w oczy, ale tuż przed zamknięciem warzywniaka matce coś się uwidziało i wysłała mnie po żurek w butelce. Tak się uparła, że musi ugotować ten żurek na jutrzejszy obiad, że już zaczęłam się zastanawiać, czy czasem nie jest w ciąży. Strasznie byłam zła, ale poszłam. W dresie, kłapkach, rozmemłana jak nieboskie stworzenie. No i lecę z tym żurkiem, żeby jak najprędzej schować się przed światem, a tu nagle bęc, leżę. Butelka się stłukła, zawartość spryskała mnie od stóp do głów wonią zgniłego czosnku, skądś leciała mi krew. Potknęłam się o coś, czego normalnie na mojej trasie nie było i nie miało prawa być. I wiesz, co się okazało?

– No?

– To była smycz. Rozciągnięta na maksa, więc pies był już za śmietnikiem, a jej drugi koniec razem z Maćkiem za rogiem warzywniaka.

– O mamó, więc cię taką zobaczył... A to peszek...

Poli chciało się śmiać, ale jakoś zachowała powagę.

– Jaki peszek? Szczęście właśnie! Bo on wtedy dopiero wystarczająco porządnie mnie zauważył. Pomógł mi wstać, opatrzył ranę chusteczką i otarł twarz z glutów. I strasznie przeproszał, więc ja, żeby dostosować się do dramaturgii sytuacji, zaczęłam jęczeć i utykać.

– Był w garniturze?

– Nie, też w dresie i też rozmemłamy. Odprowadził mnie pod samą klatkę, a po drodze powiedział coś takiego, cytuję: „Jak dobrze, że jeszcze czasem możemy być sobą, prawda?”. Zdziwiłam się, a on ciągnie: „Widziałem, jak bardzo się męczysz w tych korpociuchach, spódniczki,

w których nie da się usiąść, pantofelki z obcasami jakby za karę, paznokcie, które same z siebie mogą cię zaatakować i wydłubać ci oko...”. Zauważył nawet paznokcie, dasz wiarę? I mówi, że normalnie szlag go trafia, gdy pracodawca narzuca człowiekowi coś tak osobistego jak sposób ubierania, fryzurę, a nawet wyraz twarzy.

– A wyglądał na takiego, co całe cię nie widzi...

– Właśnie. A tu nagle okazuje się coś innego. Im bardziej starałam się być elegancka, tym bardziej go od siebie odstręczałam. I... słuchaj teraz uważnie: umówił się ze mną! Idę z Maćkiem na randkę!

– O? Kino, knajpka, spacer?

– Nie. Muzeum cyfryzacji.

– No, super!

– Tak uważasz? Ja byłam trochę sceptyczna, ale przecież nie będę wybrzydzać... – Aurelia nie dostrzegła ironii, a Pola jej nie oświeciła.

Bo w gruncie rzeczy cieszyła się jej radością i życzyła jak najlepiej.

* * *

Wbrew spodziewaniu Poli matka nie siedziała zamknięta w swoim pokoju. W ogóle nie siedziała, robiła jakieś bardzo zaawansowane gruntowne porządki.

– Stało się coś? Sanepid do nas przyjeżdża? – rzuciła dziewczyna uwagę w stylu ich zwyczajnych dialogów.

– Nie. Ale być może będę spodziewała się gościa. Tak czy inaczej, trzeba było tu posprzątać.

– Jeszcze bardziej? To w ogóle możliwe?

Matka nie skomentowała.

– Co to ma być za gość?

– Nie wiem, czy ma być. To niewykluczone, po prostu.

– Kto? – Pola zaczęła się irytować, bo miała pewne przypuszczenie, ale na tyle wątpliwe, że chciała się upewnić.

– Krzysztof.

– Minister???. Rozmawiałaś z nim?

– Tak. Po to chyba była cała ta szopka, czyż nie?

– Jeśli masz na myśli mój wyjazd do Zaciąża, to nie. W życiu bym nie pomyślała, że tak się to potoczy.

– Mówisz do niego panie ministrze?

– A jak mam mówić? Od niego się prawdy nie dowiedziałam, więc może sobie nie życzy. A poza tym w ogóle nie mówię, bo nasz kontakt się urwał. Po co ma tu przyjechać?

– Nie wiem. Porozmawiać, wyjaśnić, zobaczyć starą babę, w której się kiedyś kochał...

– Bredzisz... Jaka starą babę? Cokolwiek by o tobie mówić, żąb czasu zostawił cię w spokoju.

– Myślałam, że to zrobi na tobie większe wrażenie. – Matka puściła uwagę mimo uszu.

– I zrobiło. W szoku jestem, nie? Głównie dlatego, że zgodziłaś się z nim spotkać.

– Nie zamierzałam. Ale ktoś mnie przekonał.

– Babcia? Zadzwoiła do ciebie?

– Ona? Nie, między nami wszystko domknęło się już dawno temu i tak jest najlepiej dla nas obu.

– Mamo, nie bądź taka tajemnicza, nie teraz, gdy już powiedziałaś, ile powiedziałaś. Zaczynam mieć już powoli dość tych tajemnic, gierek, niedomówień.

– Dałaś mój numer telefonu Beacie Kłósarek.

– Owszem, bardzo nalegała. Dzwoniła?

– Nie. To znaczy tak, ale byłam jeszcze w pracy, umówiliśmy się na kawę. Wróciłam pół godziny przed tobą.

– Miała wpaść do butiku, ale nie wpadła... Trochę się martwiłam, ale teraz już wiem dlaczego.

– Ona się nie martwiła. Podobno świetnie dajesz sobie radę.

– Też tak uważam. Może to nie jest posada godna podziwu ludzkości, ale jakakolwiek by była, trzeba być najlepszym, jak się da. Ale może już

skończmy to gadanie o niczym, okej? Albo po prostu zadzwonię do Dziuni i od niej się dowiem wszystkiego.

– Pola, nie przeginaj.

Dziewczyna miała ochotę wyrazić zdziwienie tym wyrażeniem, ale się powstrzymała, by znowu nie sprowadzić rozmowy na inny tor.

– Słucham więc.

– Nie wiem, od czego zacząć... A, wczoraj wieczorem zadzwoniłam do Krzysztofa...

– Ty zadzwoniłaś?

– Tak, w liście podał swój numer, mojego nie miał przecież. Chyba.

– Nie miał. I co?

– Porozmawialiśmy chwilę, nie było to ani łatwe, ani wesołe. Prosił, żebym się z nim spotkała, ale kategorycznie odmówiłam, uznałam, że wszystko sobie wyjaśniliśmy. A dziś zadzwoniła Beata i wyciągnęła mnie do kawiarni. Przyznam, że gdybym spotkała ją na ulicy, nigdy bym jej nie poznała. Jest teraz piękną kobietą, nie wygląda na więcej niż trzydzieści lat.

– Nic dziwnego, prawie nie wychodzi spod skalpela.

– Nie bądź złośliwa, w stosunku do niej przynajmniej. Ona bardzo cię lubi.

– Ja ją też i to nie złośliwość, tylko fakt. Wcześniej... nie była piękna?

– Nie. Miała paskudny nos, krzywe zęby i cofnięty podbródek. Ale nie dlatego zaczęła się operować. Na prawym policzku aż po dekolt miała rozległą bliznę po oparzeniu. Jej ojciec o mało nie puścił z dymem domu razem w żoną i dziećmi, gdy zasnął pijany z zapalonym papierosem. To ona podniosła alarm i zadbała, żeby wszyscy bezpiecznie mogli uciec, ale też najwięcej ucierpiała. Zaraz potem brat matki zabrał ją tu, do Łodzi, i spotkałyśmy się w fabryce. Szybko jednak odeszła i kontakt się urwał.

– Mówiła, że bardzo jej pomogłaś...

– Każdy by tak postąpił. Byłam świadkiem zdarzenia, za które odpowiedzialność próbowano zrzucić na Beatę. Nie ma się co rozwodzić nad szczegółami, w każdym razie mnie próbowano przekonać, że

widziałam zupełnie coś innego, bo winna była żona kierownika technicznego.

– Podobno dużo ryzykowałeś...

– Tak by się mogło wydawać, ale na szczęście nie od niego zależało rozstrzygnięcie sprawy i karę poniosła prawdziwa winowajczyni. Mniejsza z tym, z Beatą spotkałam się bardzo chętnie, ciekawa byłam, co u niej, oprócz tego, że należy do niej butik, w którym pracujesz. Byłam w szoku, gdy zobaczyłam piękną, pewną siebie bizneswoman, elokwentną, dowcipną i... bardzo szczęśliwą. Opowiadała mi, jak dochodziła do obecnego statusu, ile musiała znieść przeciwności, ile włożyć wysiłku w swoją pracę, ile siły, której... ja nigdy nie miałam. Moją jedyną receptą na życie było uciekanie. Nigdy nawet nie próbowałam podejmować walki, zamykałam wszystko w sobie, a gdy miarka się przebrała, uciekałam. Beata powiedziała mi jednak coś bardzo ważnego: że są rzeczy, których nigdy nie zostawimy za sobą, bez względu na odległość od miejsca, w którym się zdarzyły. A to, kim jest teraz i jak wygląda, nadały im wiarygodności. Dlatego spotkam się z twoim ojcem, być może tylko po to, żeby zamknąć tamten niedokończony epizod, a może nawet pozostać w jakimś okazjonalnym kontakcie.

ROZDZIAŁ XIX

Kobieta z portretu

Beata, tak bardzo, bardzo ci dziękuję – szeptała Pola w słuchawkę jeszcze tego samego wieczoru. – Dokonałaś cudu...

– Nie. Co najwyżej spłaciłam dług, ale to się dopiero okaże. Bo... to twoja mama była dla mnie przez całe życie wzorem siły, odwagi i konsekwencji. Nigdy bym nie przypuszczała, że w rzeczywistości jest tak krucha i uległa losowi.

– Jeżeli wierzyć w karmę, może teraz właśnie do niej wraca. Trochę późno, ale łatwo nie miała, bo trudno walczyć z uporem mojej matki. Aż tu nagle sama jej pomogła, wysyłając mnie za karę do Zaciąża.

– Kiepsko jej wyszło...

– No co ty? Patrz, ile tam się rzeczy wydarzyło!

– Z tą karą. Bo ogólnie jestem takiego samego zdania jak ty. Wydarzyło się... dużo. I mam nadzieję, że w każdym wypadku będzie to miało ciąg dalszy.

– Z kim tak gadasz od pół godziny? – usłyszała Pola tuż za drzwiami swojego pokoju.

– Muszę kończyć – rzuciła w słuchawkę i się rozłączyła. – Mamo! Aż tak bardzo ci to przeszkadza?

Krzyknęła w stronę drzwi, po czym wstała z łóżka i postanowiła ponowić pytanie *face to face*.

– Nie, nie przeszkadza, irytuje – powiedziała matka. – Nie chciałabym, żebyś załatwiała za moimi plecami coś, co mogłoby dotyczyć mnie.

– Niczego nie załatwiam. Twoje sprawy to twoje sprawy, gadałam sobie z Beatą.

– Aaa... chciałam cię o coś zapytać, ale wyleciało mi z głowy...

– No?

– Ten naszyjnik, który ci dałam, schowałaś go gdzieś czy zgubiłaś?

– Schowałam. Myślałam, że to prezent.

– Jest twój. Ale to bardzo cenna rzecz, więc chciałabym, żeby był u ciebie bezpieczny.

– I jest. W szkatułce razem z inną moją biżuterią. No właśnie, nie miałam cię wtedy czasu zapytać, skąd moja babcia proletariatka miała cacko godne nie tyle jakiej szlachcianki.

– Nie opowiadała ci?

– O naszyjniku?

– Nie o naszyjniku, o sobie.

– Opowiadała dużo rzeczy. Wyobraź sobie, że wiem o babci więcej niż o tobie.

Matka się roześmiała. Tak jakoś dziwnie, ni to z goryczą, ni z satysfakcją.

– No i tu się mylisz, moja droga. Bardzo się mylisz.

Pola nic więcej już z matki nie wyciągnęła, w związku z czym rozstały się przed snem w niezbyt sielskiej atmosferze. Pani Alina uważała bowiem, że to nie ją córka powinna wypytywać o przeszłość swojej babki, lecz ją samą. I niby racja, ale Pola chciała poznać tę historię tu i teraz, poza tym babcia mogła nie być skłonna do zwierzeń przez telefon.

Dziewczyna przewracała się jeszcze przez chwilę z boku na bok, w końcu postanowiła nie dać za wygraną. Wyjęła naszyjnik wraz z kolczykami ze szkatułki, poszła do pokoju matki i położyła je przed nią na kołdrze.

– Ja tak nie mogę, nie dam rady, więc mów.

Matka milczała.

– Czy ty wiesz, co podpowiada mi wyobraźnia? – Pola niemal krzyczała. – Że moja własna babka może być morderczynią! I że to jest

prawdziwy powód, dla którego zerwałaś z nią kontakt.

– Co ty bredzisz...

– Bredzę? Spójrz, jak to się układa: zawsze jej zarzucałaś, że była zagorzałą komunistką, nad wyraz czynną i bardzo aktywną. A może ona brała udział w rozparcelowywaniu pałaców i dworów, demolowaniu, mordowaniu i okradaniu znieawidzonej szlachty...

Pani Alina wolno wstała z łóżka i ruszyła ku drzwiom.

– Chodź, pójdziemy do kuchni. Musimy jednak o tym porozmawiać. Teraz.

Wyjęła z szafki butelkę wina, które leżało w niej nieruszane przez nikogo od Bóg wie kiedy, dwie lampki, po czym postawiła to wszystko na stole.

– Ale miej na uwadze, że będzie to twoja druga z rzędu nieprzespana noc – powiedziała. – A jutro dzień jak co dzień. Trzeba iść do pracy.

* * *

Pola, zupełnie nie zważając na fakt, że była już czwarta nad ranem, wybrała w komórce numer Szymona. Czekwała do skutku, czyli do chwili, gdy po drugiej stronie usłyszała jego zaspany głos.

– O Boże, Pola, to ty? Coś się stało? – zapytał wystraszony.

– Tak. Stało się. Przepraszam, że o tej porze, ale muszę. Po prostu muszę cię o coś zapytać...

– Pytaj.

– Jak nazywała się ta miejscowość, wiesz, tam, gdzie jeździłeś na kolonie? Do tego kompleksu dworskiego?

– Nieborek, na Mazurach, okolice Mrągowa. A czemu?

– Moglibyśmy... moglibyśmy tam po... oje... jechać? W najbliższy wee... ek... kend?

– Jeśli tego chcesz... Sam ci mówiłem, że miałem ochotę obejrzeć to miejsce raz jeszcze. I tamten portret, ryzykując nawet, że okaże się totalnym kiczem.

– Nie ooo... każe się raczej...

- Bo? Dowiedziałaś się czegoś na jego temat? Pola! Ty płaczesz?
- Tak. Bo... na tym portrecie jest... jest...
- Jest...?
- Moja prababka.